

Alejandro Palomas

O matko!



Alejandro Palomas

O MATKO!

Dobry linoskoczek wie, że prawdziwa przepaść to ta w górze.

*Wszystkim utrzymującym równowagę.
Mojej mamie. Rulfowi,
na zawsze.*

Księga pierwsza
Kilka światła i wiele cieni

Nie można odnaleźć spokoju, unikając życia, Leonardzie.

Virginia Woolf w filmie *Godziny*, na podstawie powieści Michaela Cunninghama o tym samym tytule

Jeden

Kwiaty miała kupić mama, ale przez to całe zamieszanie zapomniała pójść po południu do kwiaciarni i będziemy musieli obyć się bez nich. Teraz siedzi obok mnie i liczy winogrona¹. Delikatnie odrywa je z kiści, słuchając przy tym radia, które rozbrzmiewa w jej maleńkim mieszkaniu potrójnie: jeden odbiornik stoi na półce w kuchni, drugi w jej sypialni, a trzeci – ten, którego prawie nigdy nie wyłącza – w łazience. Siedzimy przy stole w jadalni; ona liczy winogrona, a ja składam czerwone serwetki ze świątecznym nadrukiem. W piekarniku stygnie krem ze szparagów i pieczeń z czegoś, co ma być indykiem, ale wcale na niego nie wygląda.

Za oknem panuje ciemność. Na podłodze, obok kanapy, śpi zwinięty w kłębek Max. Jego głowa pływa w małej kałuży śliny, a łapy młóć powietrze. Shirley, suczka mamy, drzemie tuż obok, w swoim koszyku, przykryta kocem w kratkę.

Barcelona. 31 grudnia.

– Będzie nas pięcioro – mówi mama. – Nie licząc Olgi, rzecz jasna. – Olga to dziewczyna Emmy albo, jak nazywa ją Silvia, kiedy Emmy nie ma w pobliżu, „ta ekstra plus”. Mama zawsze liczy Olgę osobno, ale wcale nie robi tego złośliwie. Liczy po prostu tak, jak robią to matki: moi po tej stronie, a inni po drugiej. Tutaj moja krew, a tam nie moja. – Wujek Eduardo trochę się spóźni, bo jego samolot miał poślizg – dodaje, wkładając pierwsze dwanaście winogron do miski, po czym opowiada dalej. Gdy widzi, że nie odpowiadam, milknie i odwraca się do mnie. – Coś ci jest?

Zaprzeczam ruchem głowy. Mama jest naraz zdenerwowana i podekscytowana. Trwa to już od kilku tygodni, a dokładnie od dnia, w którym się dowiedziała, że tej nocy zbierzemy się wszyscy. W końcu, po latach nieudanych prób, my, krew z jej krwi, zasiądziemy razem do stołu, żeby wspólnie uczcić nadchodzący rok. To dla niej wielkie wydarzenie i wcale tego nie ukrywa, bo nawet nie wie jak. Od czasu jej rozvodu z tatą data 31 grudnia zawsze przynosiła nam pecha – co roku tego dnia pojawiał się jakiś problem i sylwestrowe kolacje kończyły się fiaskiem. Przy okazji pierwszej z nich Emma utknęła na miesiąc w Argentynie, gdyż linie lotnicze, którymi miała wrócić, akurat zbankrutowały i uziemiły wszystkich swoich pasażerów. Rok później zabrakło wujka Eduarda, który postanowił wyprowadzić się do Lizbony i w czasie świąt musiał czekać na przyjazd mebli, które zaginęły w czasie transportu, po czym pojawiły się w Tangerze. W zeszłym roku przyszła kolej na mnie i Maxa. 31 grudnia w południe bawiłem się z nim w parku, kiedy jedna z piłek odbiła się nagle od drzewa i poszybowała na ulicę. Max zrobił wtedy coś, czego nie robił nigdy wcześniej – rzucił się za nią, jakby od tego zależało jego życie, i kiedy wybiegł na jezdnię, potrącił go samochód terenowy. Tamtą noc spędziliśmy na pogotowiu weterynaryjnym: on, prawie nietknięty, choć na obserwacji, a ja z podwójną dawką leku uspokajającego w żyłach, na noszach między Maxem a shar peiem z pyskiem zezłoszczonego buddy, który nie przestawał wycić, bo miał coś, nie wiem co, w jelitach. Sylwestrowa kolacja po raz kolejny okazała się dla mamy morzem świateł i wielu cieni.

W tym roku sylwestrowa noc w końcu należy do niej i to ona od szóstej rano gra pierwsze skrzypce. Emocje, nerwy, jej zwykła niezdarność i niedowidzenie stały się jednak przyczyną rekordowych wręcz strat, a przy koszu na śmieci piętrzyła się góra trupów.

– Fernandezie, proszę cię, wynieś to, zanim przyjedzie Silvia – poprosiła mnie ze zmartwioną miną, po czym zabrała się za liczenie winogron. – Wiesz, jak ona reaguje, kiedy coś zbije – dodała, spoglądając kątem oka na torbę ze skorupami porcelanowej lampy, trzech szklanek, dwóch ramek na zdjęcia, dzbanka na wodę i rzekomo chińskiego dzbanka do herbaty, który aż do dzisiaj był gwiazdą jej kolekcji miniaturowych potworków, załączanych do gazety,

której nie czyta, ale którą kupuje właśnie „dla tych prezentów”.

Patrzy na mnie zza stołu i nagle w jej oczach zauważam tyle powstrzymywanych emocji, tyle chęci, żeby tej nocy wszystko się udało i żebyśmy spędzili ją razem, że pomimo wycisku, jaki dała mi w ciągu dnia, muszę się hamować, aby jej nie objąć i nie powiedzieć, by się nie martwiła i że wszystko będzie dobrze.

– Myślisz, że będzie jej smakowało? – pyta teraz po raz setny, patrząc na piekarnik. – Bo wiesz... tak sobie właśnie pomyślałam, że może jednak nie starczy jedzenia. Chociaż są przecież jeszcze sałatki, a wujek Eduardo na pewno przywiezie coś ze strefy wolnocłowej. No i zostały turrony, które Silvia kupiła na Wigilię, i...

– Mamo, uspokój się – przerywam jej delikatnie. – Jedzenia jest aż za dużo.

Przeprowadzaliśmy tę rozmowę chyba ze sto razy w ciągu ostatnich trzech godzin. Czy wszystko zdąży się upiec? Czy na pewno wystarczy jedzenia? Czy będzie jej smakowało? Czy w mieszkaniu nie jest przypadkiem za gorąco? Może wyłączyć na chwilę ogrzewanie? Zapalić świece teraz czy kiedy wszyscy przyjadą? A co z przystawkami? To co, bez przystawek, tak? Myślisz, że...? Pytania. Mama zadaje te pytania, jakby powtarzała sobie składniki jakiegoś przepisu, którego nie można już zmienić, bo robi się późno i wszyscy są już w drodze. Pobrzmiewają w nich inne, głębsze troski i to właśnie one sprawiają, że tak się zachowuje, że zamartwia się na zapas, zawieszona między zdenerwowaniem a niemal dziecinnym wzruszeniem, których nigdy, pomimo swojego wieku, nie nauczyła się kontrolować. Dręczą ją niewiadome, których ani ona, ani żadne z nas nie potrafi wyjaśnić, gdyż niektóre rodziny takie po prostu są, my tacy po prostu jesteśmy – nieobliczalni i nieprzewidywalni. Gdyby mama odważyła się wypowiedzieć te pytania na głos, brzmiałyby tak: „Myślisz, że Silvia będzie umiała się powstrzymać, żeby nie dokuczyć Oldze? I że nie zaczniesz mówić o polityce, przeklinać banków albo twojego ojca, i że uda nam się zjeść kolację w spokoju? I że wujek Eduardo nie będzie opowiadać nam sprośnych historii ze swoich podróży, na które Olga reaguje tak... tak...? I obiecaj mi, że nie pojawi się żaden sąsiad, tak jak dwa lata temu, kiedy przyszedł pan Samuel, ten z pierwszego piętra, zapytać, czy nie mamy butelki rumu, z tą biedną, na wpół rozneglizowaną kubańską Mulatką, która potem wróciła, bo chciała z nami zostać, i... Och, powiedz, synku, że tak nie będzie”.

Problem polega na tym, że nawet jeśli od momentu odejścia taty rozwiązało się wiele spraw i zniknęło wiele napięć, którymi na szczęście nie musimy się już martwić, a sylwestrowe kolacje zaczęły przebiegać w nieco większym spokoju, to koniec roku jest datą, która staje naszej rodzinie w gardle. Dlatego właśnie wszyscy jesteśmy zdenerwowani, a jednocześnie bardzo nam zależy, by w miarę możliwości zatrzeć złe wrażenie minionego roku i spędzić miło wieczór, rozmawiając o drobnostkach i śmiejąc się razem, bo akurat poczucie humoru jest tym, co nas łączy i czyni z nas rodzinę.

Do tej pory wszystkie nasze zamiary spełzały na niczym.

Kilka tygodni temu, na dodatek, coś postawiło mamę w stan pogotowia. Jest niespokojna, zmartwiona. Nieświadomie przeczuwa rzeczy, które na razie jej nie dotyczą – prawdy, które jeszcze nie mają kształtu. Światła i cienie. Jest niezdarna. Robi wiele hałasu.

Nawet sobie nie wyobraża, że może mieć ku temu powody. Powody, które na razie ignoruje.

Na razie.

– Nie, nic mi nie jest – odpowiadam, próbując wyrzucić z pamięci ostatnią wspólną kolację, na której wujek Eduardo chciał zaskoczyć nas „prezenciozem”. (Kiedy go zapowiadał, uderzał łyżeczką w kieliszek szampana tak niefortunnie, że wraz z trzecim uderzeniem kieliszek rozbił się w drobny mak, a na stół spadł deszcz szkła. Prezentem tym okazały się kolorowe teckki

z ulotkami na temat tego, jak zostać członkiem Dignitas, szwajcarskiej spółki pomagającej ludziom w popełnianiu samobójstw. Do każdej teczki załączono formularz, który miał pomóc w zredagowaniu testamentu. Olga, zagorzała katoliczka, zzieleniała na widok tego prezentu, a Emma zaczęła płakać, cichutko, jak to ona, gdyż dopiero co zdechła jej suczka Lua i nagle poczuła się winna, już nie pamiętam czemu). Potem starsi trochę za dużo wypili, wujek Eduardo spadł ze schodów (mama mieszka na pierwszym piętrze) i musieliśmy zadzwonić po pogotowie. W drodze do szpitala wymachiwał kopią swojego testamentu i krzyczał bez przerwy na pielęgniarkę, rozwlekając słowa jak stary pijak: „Wszyscy jesteście mordercami i pedałami, ale mi nie dacie rady! Szatany, gorzej niż szatany!”.

Tak, pomijając Olgę, jest nas piątka. Rodzeństwo dwóch pokoleń: pokolenie mamy – czyli wujek Eduardo i ona sama – i moje – czyli Silvia, Emma i ja. Dwa równoległe tory przecinające czas, oddzielone tej nocy stołem, talerzami, kieliszkami i wieloma interpretacjami naszej wspólnej historii.

Bez taty. Bez dziadków.

Oni – umarli. On – odszedł. Wszyscy są nieobecni.

Liczę z mamą winogrona w salonie, jak gdyby nigdy nic, ale w głębi duszy boję się – jak i ona – co też przyniesie nam noc. „Żeby był spokój, żeby był spokój”, odgaduję jej cichą modlitwę. Przypomina mi się zwierzenie Slivii sprzed zaledwie czterdziestu ośmiu godzin i zaczynam nagle odczuwać na barkach cały jego ciężar.

Na moim osobistym radarze migocze od jakiegoś czasu dobrze mi znane czerwone światełko. Światełko, które dostrzegam coraz wyraźniej na prostokątnym ekranie mojego umysłu, odbija się jaskrawo od białego tła, jak serwetki, które właśnie składam, od białego obrusa.

Po przeciwnej stronie stołu mama wzdycha głęboko i powoli wypuszcza powietrze nosem. Patrzą na nią i czuję jej bliskość. Jest częścią mnie, tego, co w sobie lubię, i tego, czego nie lubię. „Jest wieloma rzeczami naraz. Czasem zbyt wieloma”, myślę w duchu, nakrywając do stołu. W mieszkaniu rozlega się śmiech spikera radiowego. W programie mówią o winogronach, minionych latach i sprawach, które nikogo nie interesują. Wspólne miejsca. Puste miejsca. Sylwestrowy szum.

To już niedługo.

Zaraz powinni przyjechać.

Dwa

Mama odwraca się w stronę kuchni i mruży oczy. Zbyt wiele lamp pali się naraz i jej fotofobia daje o sobie znać. Sześćdziesiąt cztery procent niepełnosprawności; tym właśnie, między innymi, jest mama, nawet jeżeli ONCE² nie przyjęła jej w swoje szeregi, twierdząc, że musi mieć zaświadczenie o fotofobii i że przyjmują tylko ludzi z niepełnosprawnością wzrokową powyżej sześćdziesięciu pięciu procent. Kiedy wyszliśmy od lekarza, który mamę badał (okropny typ z brązowymi zębami i wielbłądzim garbem, który nawet nie wstał, żeby się z nami przywitać, i ani razu na mamę nie spojrzął), usiedliśmy w ogródku letnim, by się czegoś napić. Był sierpień i żar lał się z nieba. Mama była w swoim świecie, cieszyła się piwem jak dziecko. Asfalt parzył stopy. Powietrze płuca.

– Cóż – powiedziała z wąsami od piany i uśmiechem szczęśliwości zapowiadającym jeden z tych jej wysoków, które Silvię doprowadzają do białej gorączki, a które wujek Eduardo, chcąc wydać się młodzieżowym i na czasie, określa mianem „odjechanych”. – Widzisz? Nic mi nie jest.

Spojrzałem na nią.

– Nie – wycedziłem przez zęby. – Miałaś doprawdy wspaniały rok. Wycięto ci tylko dwa czerniaki z pleców, jesteś ślepa jak kret i mieszkasz w mieszkaniu socjalnym dla osób powyżej sześćdziesiątego piątego roku życia z miniaturową suczką, która zjada zużyte chusteczki higieniczne, i sąsiadką Eugenią, która sprzedaje pojemniki Tupperware i wyrzuca śmieci przez okno. Jesteś w re-we-la-cyj-nej formie. Wszyscy jesteśmy w rewelacyjnej formie. Jesteśmy Rewelacyjną Rodziną. Nie wiem, dlaczego jeszcze nie zadzwonili do nas z dodatku specjalnego do gazety.

Zmarszczyła lekko czoło i pociągnęła łyk piwa.

– Przesadzasz, synku – powiedziała, kręcąc głową. – Jest w tobie gniew. Czuję to. – Gdy zauważyła, że przewracam oczami, dodała: – Wyczuwam strumień energii w tym miejscu. – Dotknęła kciukami klatki piersiowej.

Tak, był we mnie gniew. I to niemały. Z powodu garbatego uzdrowiciela niewidomych, z powodu piekielnego upału i tego, że nie potrafiłem podchodzić do wszystkiego z humorem i beztrąską mamą. „Powinienem znowu zacząć palić”, pomyślałem w przypiływie złego humoru, patrząc na mamę moczącą usta w piwnej pianie z radością dziecka wymalowaną na twarzy. Nie mogłem powstrzymać się od złośliwości:

– Proszę, od kiedy wiesz, że masz tylko sześćdziesiąt cztery procent niepełnosprawności, stałaś się, mamó, bardzo spostrzegawcza.

– Chi, chi, chi. – Jej chichot przerodził się w kaszel, a ten w prawdziwy deszcz piany, który zalał cały stół. Mama wyciągnęła rękę po serwetkę, ale przy okazji zmiotła wszystko, co napotkała na swojej drodze, w tym również butelkę, która spadła na chodnik i potoczyła się do studzienki kanalizacyjnej. Dwóch wytatuowanych chłopaków, którzy siedzieli na oparciu ławki i wymieniali się czymś, co na pewno nie było kartami do gry, słuchając przy tym rapu płynącego z telefonu kupionego w komisie, zaczęło bić brawo.

– Jacy fajni chłopcy – powiedziała mama, pozdrawiając ich ręką. Odpowiedzieli jej uśmiechem. W ustach tego z lewej mignęło kilka złotych koronek i brylant. Ten z prawej zapalił skręta i zaciągnął się nim tak głęboko, że pewnie spopielił sobie połowę mózgu. – Widzisz, wcale nie jest ze mną tak źle.

Roześmiałem się mimowolnie. W tym momencie odezwał się jej telefon – ogromny rupieć przywieziony z Hongkongu przez wujka Eduarda, z fluorescencyjnym wyświetlaczem

i klawiszami jak talerze, z którego za każdym razem, gdy ktoś dzwoni, wydobywa się wrzaskliwy żeński głos deklamujący po chińsku pierwszą stronę z *I Ching*.

– Eduardzie! – krzyknęła mama, kiedy w końcu udało jej się odebrać, a Chinka w jej komórce przestała zawodzić. – Tak, tak. Jestem z Fernandem, tak, siedzimy sobie w ogródku. Tak. Nie. Aha. To dobrze. Nie, nie dostanę zapomogi, bo zabrakło mi jednego punktu. Fantastycznie, co? Wiedziałam, że tak będzie. Jestem w doskonałej formie. Oczywiście. Tak, opijam to piwkiem. Nawet nie wiesz, Eduardzie, ile nerwów mnie to kosztowało. Wyobrażasz sobie, że zamykają mnie z psem w jednym z tych kiosków i każą sprzedawać zdrapki? Wiesz przecież, jak lubię grać na loterii.

Kiedy skończyła rozmawiać, włożyła telefon do futerału z różowej skóry z obrazkiem SpongeBoba i popatrzyła na mnie.

– Coś nie tak?

Chciałem jej powiedzieć, że tak, że coś jest nie tak, że siedzieliśmy tego pięknego sierpniowego dnia w tym ogródku letnim, w żarze tropików, bo czegoś szukaliśmy, a tym czymś była jakakolwiek pomoc, która mogłaby ułatwić jej życie; że poprawną odpowiedzią było „Tak, proszę pani, możemy pani pomóc”, a niepoprawną „Nie, proszę pani, nie możemy pani pomóc”, ale widziałem, że była tak zadowolona i szczęśliwa, przysłaniając sobie ręką oczy, żeby cokolwiek zobaczyć, i miała tak niewinny wyraz twarzy, że ograniczyłem się do stwierdzenia:

– Chciałbym lubić piwo.

Zmarszczyła się lekko i westchnęła.

– Mm... Wszystko jest kwestią praktyki. – Wypiła kilka łyków, a z ławki wytatuowanych dealerów doleciała do nas toksyczna chmura dymu ze skrętów, która mnie wycisnęła łyż z oczu, a mamie nawet nie zakręciła w nosie. – Ja na początku, choć było to oczywiście wiele lat temu, też nie lubiłam piwa, w ogóle nie mogłam go pić. Aż mnie skręcało z obrzydzenia... a teraz popatrz. – Pociągnęła duży łyk i dodała: – Słuchaj, mógłbyś poprosić Ingrid, żeby zrobiła ci reiki. Jeżeli pracuje z alkoholikami i zwierzętami, to dlaczego nie z abstynentami.

Przełknąłem ślinę. Ingrid to szwedzka przyjaciółka mamy. Ma pięćdziesiąt lat, pracuje jako pilot wycieczek przygodowych do byłych krajów ZSRR i jest zakochana w jakimś Arundelu, fizjoterapeucie młodszym od niej o dwadzieścia pięć lat, którego widywała kiedyś przez tydzień, pół godziny dziennie. Arundel leczył bowiem kontuzję, jakiej nabawiła się podczas jednej ze swoich sesji szamanizmu, kiedy to szaman zwichnął jej biodro metalową grzechotką. Chłopak był żonaty, miał dziecko i po ukończeniu studiów wrócił do Wenezueli, ale Ingrid, przekonana, po lekturze *Sekretu*, że los zabierze ją do Arundela i że on na pewno będzie na nią czekał, nawet jeśli jeszcze tego nie wie, oszczędza od roku jak szalona, żeby latem polecieć do Caracas z jakąś organizacją pozarządową. Oprócz tego Ingrid jest mistrzynią reiki dla zwierząt domowych, ale prawie zaprzestała tej działalności, kiedy kilka miesięcy wcześniej pewien ogier arabski w czasie leczenia próbował ją ugryźć, a gdy zaczęła się bronić, wyrwał jej połowę włosów z głowy.

– Mamo, Ingrid jest wariatką, która pewnego dnia spłonie poćwiartowana na stosie jednego z tych swoich szamanów, co to ją publicznie biczują. Nie ma mowy.

Położyła rękę na policzku i powoli pokręciła głową.

– Tak myślisz? Biedaczka, ma takie złote serce... Wiesz, że nie bierze od swoich pacjentów pieniędzy?

– Nie wiem, ale wcale się nie dziwię. Dziwię się raczej, że w ogóle ma pacjentów.

– Opowiadała mi niedawno, że pewien pan poprosił ją, żeby zrobiła mu reiki na... wiesz na czym... bo mu zawodził... sprzęt, a ona się zgodziła, i to bez zastanowienia.

– I?

- Zaczęła go masować.
- I?
- I wyglądało na to, że jego sprzęt jednak działa.
- Mamo...
- I wszystko miała na rękach.
- Mamo!
- No co, powtarzam tylko, co mi opowiadała.

Cóż. Mama niedowidzi. O tym właśnie mówiłem. Zwłaszcza w silnym świetle. A kiedy niedowidzi, tak jak teraz przy stole, trzeba na nią uważać, bo zaczyna wymachiwać rękoma i wszystko wokół niej ląduje wtedy na podłodze. Czasem z nią włącznie.

- Mamo, chcesz, żebym zgasił którąś lampę?

Mruży powieki i wkłada sobie do ust winogrono. Potem zaprzecza ruchem głowy i robi ręką daszek nad oczami, mówiąc:

- Czuję nosem, że twoja siostra ma jakiś problem.

Kulę się trochę w sobie. Kiedy mama wyskakuje z tym swoim „czuję nosem”, wiem, że to się dobrze nie skończy – że coś właśnie zaczyna być nie w porządku. Zaczynam się zastanawiać, czy nie wie przypadkiem więcej, niż daje po sobie znać, i nie próbuje wydobyć ze mnie szczegółowych informacji. Nie, to niemożliwe, żeby Silvia jej o tym powiedziała. Nie mamie.

– Mamo, mam dwie siostry – mówię, wstając jak gdyby nigdy nic, żeby wyłączyć jedno radio. – O której z nich mówimy?

- O Emmie oczywiście.

Oddycham z ulgą.

- Emma zawsze ma jakieś problemy.

Kręci przecząco głową i cmoka językiem.

– Co za życie – mówi i patrzy niewidzącym wzrokiem przez okno. – Zawsze wszystko przytrafia się tylko Emmie. – Ma rację. Prawdy, produkowane w jej umyśle, o dość specyficznym mechanizmie działania, brzmią czasem jak wymierzone policzki, wobec których jesteśmy bezbronni. Zawsze tak było. – A ty... kochanie... pora, żeby tobie też coś zaczęło się przytrafiać, nie sądzisz?

Wiedziałem, że do tego nawiąże. I nawet wiem dlaczego. Ona zresztą też.

Nie nalega. W radiu jakiś znany piosenkarz śpiewa kolędę, a prowadząca opowiada zupełnie nieśmieszną anegdotę o swoim sylwestrze w Rzymie, soczewicy i czerwonych majtkach. Jest już prawie dziewiąta.

– Chciałbym lubić sylwestra – zagajam, żeby zmienić temat. – Chociaż trochę. Jak wszyscy ludzie. Jak wszyscy normalni ludzie.

Mama marszczy czoło i przechyla lekko głowę. Potem wyłącza radio i w pokoju zapada cisza.

– Taaaak – mówi. – A ja tam bardzo lubię. Sylwestra, oczywiście. – Przypatruje się uważnie jednemu winogronu przez lupę, którą zawsze nosi przy sobie, i dodaje, jakby mówiła sama do siebie: – Ludzi normalnych trochę mniej.

Śmiejemy się oboje – ona tym jej szczerym śmiechem, którym zawsze mnie zaraża, a ja tym moim, na który nie zawsze potrafię się zdobyć.

- Jakbym słyszał wujka Eduarda.

- Bo to wujek Eduardo kiedyś powiedział.

Z mojego iPhone'a bez przerwy dobiegają dźwięki czterech różnych dzwonek, które mamę bawią: Facebook, Twitter, e-maile i wiadomości na WhatsAppie, zwłaszcza od grupy ze

squasha, powiększającej się z tygodnia na tydzień i liczącej obecnie jakieś trzydzieści osób, które teraz próbują się ze sobą dogadać. Ludzie nigdy nie odpoczywają, nawet w sylwestra.

– Pamiętaj, żeby kieliszki do szampana podać tylko mnie i Silvii, dobrze? – prosi mama.

– A wujkowi Eduardowi nie?

Kręci przecząco głową.

– Przestał pić. – Gdy widzi, że nabieram powietrza, żeby coś powiedzieć, podnosi dłoń. –

A przynajmniej tak twierdzi.

Unoszę pytająco jedną brew.

– Nie pytaj. Wiem tylko, że już nie pije. – Wzrusza ramionami. – Znasz wujka. Kilka świateł i wiele cieni. Zawsze po swoim. – Odlicza kolejny tuzin winogron i dodaje: – Podobno ma dla nas jakąś nowinę.

– Jaką?

– Nie wiem – odpowiada, nawet na mnie nie patrząc. – Po twoim wujku wszystkiego można się spodziewać. Aż strach się bać.

Kilka świateł i wiele cieni. To takie nasze powiedzonko, całej naszej rodziny. Pierwszy raz użyła go babcia Ester, kiedy ostatecznie przegrała wojnę z zaćmą, ale nie chciała poddać się operacji. Spodobało nam się i powoli zaczęliśmy używać go na co dzień, w różnych sytuacjach, na przykład kiedy mama pytała, co u nas słychać, a my nie mieliśmy ochoty wdawać się w szczegóły albo gdy próbowaliśmy opisać pokrótce kogoś, kto pojawił się w naszym życiu, ale nie byliśmy pewni, co z tego wyniknie. Z czasem zaczęliśmy określać tym wyrażeniem dosłownie wszystko: owoce, które wydają nam się nieświeże, restaurację, która trochę zawiodła nasze oczekiwania... tego typu rzeczy.

Słowa mamy, tych kilka świateł i wiele cieni, sprawiają, że myślę o tacie. I to wcale nie dobrze. Nie muszę nawet wypowiadać tego na głos, bo kiedyś już z mamą o tym rozmawiałem. O tym, co niedobre, znaczy się.

– Nie mogę uwierzyć, że to już cztery lata, od kiedy taty nie ma – mówię, sam nawet nie wiedząc dlaczego; zupełnie jakbym zobaczył siebie samego z góry, z pustym kieliszkiem w dłoni, i nie przyszło mi do głowy nic lepszego do powiedzenia. Od razu tego żałuję.

Mama przestaje liczyć winogrona.

– Ach tak? – pyta roztargnionym głosem. – To już tyle czasu? – Co roku, przy okazji sylwestrowej kolacji, ktoś z nas do tego nawiązuje i co roku mama udaje zaskoczoną.

– Tak.

– No popatrz. – Wzdycha. – Kto by pomyślał. – Wkłada winogrona do miseczki i odstawia ją na bok. – Dzisiaj w radiu mówili, że to był najsuchszy grudzień od trzydziestu lat. A w jednej stacji mają odliczać do północy jakieś postacie z kreskówki, Simpsonowie czy coś. Co ty na to?

Mama jest specjalistką w unikaniu rozmów, które jej nie interesują. Słaby wzrok i niezdarność ruchów są pełnym przeciwieństwem łatwości, z jaką potrafi wymigać się od niewygodnych dla niej tematów. Ma niespotykany wręcz dar prowadzenia rozmowy równoległej do tej, która akurat toczy się przy stole, jakby grała w scrabble. Od kiedy zamieszkała sama, ze swoją suczką, zaczęła przerywać w połowie rozmowy, na które nie ma ochoty, zmieniając zupełnie temat. Teraz na przykład, omiatając wzrokiem salon, mówi zaalarmowana:

– Mam nadzieję, że nie zapomniałam niczego posprzątać. Wiesz, jak reaguje Lady Ścierka, kiedy najdzie ją na sprawdzanie palcem kurzu.

Lady Ścierka, czyli Silvia. Nadanie jej tego szlacheckiego tytułu było moim pomysłem, a używamy go z mamą, od kiedy wyznała mi w tajemnicy, że Silvia, w każdy czwartek, kiedy przychodzi do niej na obiad, całuje ją najpierw na powitanie potarciem policzka o policzek,

a następnie robi szybki przegląd kuchni i łazienki. Zazwyczaj kończy się to założeniem fartucha, gumowymi rękawicami i ścierką w dłoni. I klótnią. Z mamą, oczywiście. „Nie możesz tak żyć, mamo”, powtarza raz za razem napięta jak struna, zaciągając się papierosem. „Zginiesz w tym syfie”.

Zawsze ta sama scena: Silvia przeżuwająca gniew i nikotynę i mama pałaszująca przed telewizorem lody lub ciastka w mlecznej czekoladzie, oglądająca w skupieniu telenowelę na pierwszym programie. Jakąkolwiek. „Och, kochanie”, powtarza mama z anielskim uśmiechem, który w rzeczywistości znaczy tyle, co „nie obchodzi mnie to nic a nic”, i głosikiem niewinnej emerytki prosi: „Nie bądź taka surowa dla swojej starej matki”. A na koniec, widząc morderczy wzrok rozwścieczonego smoka, próbuje załagodzić sytuację jednym ze swoich „przecież odrobina kurzu nikomu nie zaszkodzi. Uspokój się i pooglądaj ze mną telewizję. No, chodź, kochanie, chodź”. Poklepuje przy tym poduszki na kanapie i dalej szczerzy zęby w uśmiechu, jakby rozmawiała z kimś niedorozwiniętym.

– Jesteś pewna, że nie przyjdzie z Peterem? – pytam, rozkładając łyżeczki deserowe i kieliszki do wina. Peter to mąż Silvii, który jest nie tylko Norwegiem i informatykiem, lecz także osobą tak małomówną, że czasami aż napawa nas wszystkich strachem. Poznali się na sympozjum o optymalizacji środków, czy czymś takim, dziesięć lat temu, kiedy Silvia mieszkała, również od dziesięciu lat, z Sergiem – kolegą z pracy, uwielbianym przez mamę i tatę, którego porzuciła dla Petera, gdyż jak sama to ujęła: „Trzeba umieć w porę zmienić bieg, nawet jeśli cel podróży i prędkość są te same”. Wujek Eduardo ochoczo przetłumaczył mamie to zdanie za pomocą swojego własnego słownika: „Czyli że Norweg lubi biegać. Miejmy tylko nadzieję, że nie ucieknie zbyt szybko, jak ten poprzedni”. Mama spojrzała na niego, jakby właśnie zobaczyła taksówkę na środku pustyni. Kiedy w końcu zrozumiała przekaz, wujek Eduardo dokończył swoje przemyślenie dobitnym: „Chociaż ja tam wcale biedaka nie winię. Powiedz mi, który mężczyzna wytrzymałby z takim nerwusem jak twoja córeczka”.

Problem w tym, że od kiedy Peter i Silvia zamieszkali razem, on każde święta zaczął spędzać w Tromsø – „mieście, w którym studentów wysyła się do solarium, żeby nie popełnili samobójstwa, a półek z alkoholem pilnują w sklepach ochroniarze”, opowiedziała nam Silvia po swojej pierwszej wizycie – ze swoją matką i bratem Adamem, który podobno był aktywistą Greenpeace’u na Morzu Północnym, dopóki policja nie przyłapała go z dwoma kilogramami kokainy w pentrze statku, na którym w dzień najwidoczniej ścigał wielorybniki, a w nocy zaopatrywał je w porcie w sztuczny śnieg. Optymistyczna wersja mamy jest taka, że Silvia i Peter zawsze spędzają święta osobno, bo „są bardzo nowoczesną parą” i jak mówi Ingrid, „ich czakry muszą się przewietrzyć, a aury pooddychać”. Wersja wujka Eduarda jest nieco inna: „Peter jest z Marsa, a Silvia z Nibylandii, ale trochę to podejrzanę, że po tylu latach nie przedstawił nam jeszcze swojej rodziny. Co za dziwak; z tymi swoimi oczami dorsza i brudnymi włosami na pewno ma w krainie lodu jakiś szalas, w którym przetrzymuje trupy wysuszonych emerytów”.

Kiedy pytam mamę, czy jest pewna, że Peter dzisiaj nie przyjdzie, patrzy na mnie i przytakuje.

– Całkowicie – odpowiada, układając resztę deserowych sztućców. Silvia podobno zadzwoniła do niej po południu i potwierdziła, że przyjdzie sama, bo Peter wraca z Norwegii dopiero drugiego.

– Co za szkoda – mówię. – Znowu nie będzie nam dane cieszyć się jego towarzystwem i poczuciem humoru. Co za nieodżałowana strata.

Patrzy na mnie z uśmiechem. Potem kręci delikatnie głową.

– Nie bądź taki – mówi. – Peter to dobry chłopiec. – Ponieważ widzi, że nie jestem do końca przekonany, dodaje: – W obecnej sytuacji i tak jest nieźle.

Kiedy rozkładamy szklanki, nagle spogląda na mnie zza stołu, osłaniając dłonią oczy.

– Lepiej je umyjmy – wzdycha zrezygnowana. – Lady Ścierka na pewno będzie chciała włożyć je do zmywarki. Przy okazji przynieś mi, proszę, coca-colę z lodówki.

Już mam ją zapytać, czy nie opłukać też sztućców i kieliszków, gdy rozlega się dźwięk domofonu, a psy zaczynają szczekać jak szalone i rzucają się do drzwi.

– Już jest – mówi mama zdenerwowanym głosem. – Twoja siostra przyjechała. – Idzie w stronę domofonu i podnosi słuchawkę, po czym wraca do salonu, uchylając po drodze drzwi wejściowe. Potem siada znów przy stole, otwiera puszkę coca-coli, wypija łyk i zaczyna wpatrywać się w obraz wiszący nad kanapą z białej skóry. Jest to olbrzymi portret babci Ester, w ramie z ciemnego drewna. Babcia siedzi wyprostowana, ubrana w elegancką zieloną sukienkę z odsłoniętym ramieniem. Pozuje na tle drewnianej biblioteczki, patrząc w obiektyw z powagą.

Psy szczekają jak oszalałe, chcą przywitać się z wchodzącą po schodach Silwią, a mama odwraca się do mnie i mówi:

– Nie wiem dlaczego, ale od kilku dni mam przecucie, że tej nocy czeka nas wiele niespodzianek. – Wykonuje ironiczny gest, jakby wahała powietrze, i podniecona macha ręką. – To jak takie... holistyczne wibracje. Nie czujesz ich?

„Holistyczne...?”

Powstrzymuję wybuch śmiechu, ale nie udaje mi się w porę ugryźć w język.

– Przesadzasz, mamó, to samo powtarzałaś w zeszłym roku i jeśli dobrze pamiętam, to wasza kolacja raczej nie była holistyczna.

Krzywi usta i wzdycha zniecierpliwiona, a ja zapisuję sobie w pamięci, że trzeba zdwoić wysiłki, by mama i Ingrid zbyt często się nie widywały. Mama ponownie zerka na portret babci, wznosi puszkę w stronę obrazu i żegna się raz, drugi, trzeci.

– Oj, mamó, dobrze, że odeszłaś na czas i nie musisz patrzeć na to, co z nas zostało. Chociaż i tak wiem, że nas rozumiesz, prawda? – mówi cicho w tym samym momencie, w którym drzwi wejściowe otwierają się na oścież, a Max rzuca się na Silwię, śliniąc ją i przypierając swoimi siedemdziesięcioma pięćcioma kilogramami do ściany.

Trzy

Rok 2009 był okresem ważnych zmian w naszej rodzinie. Pewnego listopadowego, wyjątkowo ciepłego dnia miało miejsce przełomowe wydarzenie: z rusztowania, podtrzymującego nas wszystkich na powierzchni rzeczywistości, wypadła mała śrubka. Słyszeliśmy, jak toczy się po ulicy, ale nie zwróciliśmy na nią uwagi.

To był nasz błąd.

Po jakimś czasie zdaliśmy sobie sprawę, że od początku istnienia całej tej konstrukcji nie dokonaliśmy jej przeglądu ani razu i że zagubiona śrubka była jej kluczowym elementem. W przeciągu tygodni rusztowanie naszego życia, zwłaszcza mojego i mamy, zawaliło się z hukiem, a my – każdy z worem własnych nieszczęść na barkach – zmuszeni byliśmy zacząć wszystko od początku, ratując ze zgliszczy, co się da, i układając poszczególne elementy naszej egzystencji na nowo.

W przypadku mamy początkiem końca okazał się, jak zawsze, tata. Tym razem jednak, ku naszemu zaskoczeniu, wszystko potoczyło się inaczej niż zwykle. Pewnego dnia posprzecwali się po tym, jak od jakiejś firmy windykacyjnej otrzymali pismo, w którym grozono im konfiskatą mienia na poczet jednego z tysiąca kredytów, jakie tata zaciągnął w czasie swojej długiej kariery aktywnego oszusta, i w którym mama, jakżeby inaczej, widniała jako jego jedyny poręczyciel. Wszystko by się rozeszło po kościach (oboje byli już wtedy bez grosza przy duszy), gdyby mama nie odkryła, że chodzi o pożyczkę na kwotę dziesięciu tysięcy euro, udzieloną przez bank na rzekomą instalację klimatyzacji, która nigdy do domu nie dotarła i z której tata nie chciał się wytłumaczyć. Wtedy mama, w nietypowym dla niej przypiływie rozpacz i bezsilności, wrzuciła kilka ubrań do walizki i powiedziała mu, że wyprowadza się na jakiś czas do syna – czyli do mnie – bo musi sobie to wszystko przemyśleć.

– Jestem wykończona – powiedziała. – Potrzebuję kilku dni spokoju.

Po czym zjawiała się u mnie w mieszkaniu.

Na tym cała historia by się skończyła, gdybym sam kilka dni wcześniej nie przekroczył progu pustyni i nie postanowił, że tym razem, w odróżnieniu od moich poprzednich przejęć z mężczyznami, po których szukałem pocieszenia w rodzinie i wśród przyjaciół, poradzę sobie ze wszystkim sam i w milczeniu. Czterdzieści osiem godzin przed zjawieniem się mamy z walizką Andres, mój chłopak, przyjechał do domu z Maxem – dwuipółmiesięczną kulką czarnej sierści, uratowaną rzekomo z hodowli, którą miano zamknąć.

– Wiem, że zawsze chciałeś mieć psa, więc pomyślałem sobie „teraz albo nigdy” – oznajmił.

To, czego mi nie powiedział, to to, że za kulką sierści kryła się jeszcze jedna niespodzianka. Czas na drugą część prezentu przyszedł jeszcze tej samej nocy, podczas kolacji.

– Myślę, że powinniśmy dać sobie trochę czasu – zasugerował, przeżuając jak gdyby nigdy nic mieszankę sałat z torebki, którą zjadał codziennie przed kolacją. Pamiętam, że nie zrozumiałem od razu, o co mu chodzi: „Czasu na co? Na to, żeby spokojnie przełknąć jedzenie, żeby wyjechać na wakacje, żeby się pobrać, teraz, kiedy już możemy...?”. Spojrzałem na niego. Uśmiechnął się. Przykleił mu się do zęba kawałek sałaty i przypominał starą Cyganekę z cyrku, z czarnym kłem i ogromnymi kolczykami. Wtedy zrozumiałem. Zrozumiałem, że jego słowa, wypowiedziane właśnie w ten sposób, zaraz po podarowaniu mi psa i z tym przepraszającym uśmiechem na ustach, dopuszczają tylko jedną interpretację. „Musimy dać sobie trochę czasu, żebym mógł porzucić cię bez poczucia winy, gdyż zakochałem się w innym i nie uwzględniam cię już w swoich planach. Stop. Czas na zorganizowanie pożegnania. Stop. Ale żebyś sobie nie

myślał, że jestem sukinsynem i że zawsze nim byłem, podaruję ci psa i zapewnię ci towarzystwo, kiedy sam się stąd wyniosę. Stop”.

– Musimy dać sobie trochę czasu, to prawda – powiedziałem. A potem wstałem od stołu i nie podnosząc głosu, dodałem: – Zjedz swoją sałatę, a ja wyjdę z Maxem na spacer. Jeżeli nie masz nic przeciwko, to wołałbym, żeby cię tu nie było, kiedy wrócimy.

To był koniec Andresa i początek Maxa. I to był właśnie Fernando, który dwa dni później zobaczył na ulicy swoją matkę – nie pamiętała, rzecz jasna, numeru mieszkania i nie chcąc nikomu zawadzać, przycupnęła na chodniku na swojej czerwonej walizce i patrzyła na przechodniów, robiąc ręką daszek nad oczami, jak ratowniczką plażowa, którą fale porwały w głąb miasta.

Wolałem o nic nie pytać. Weszliśmy w milczeniu po schodach, a kiedy otworzyłem drzwi wejściowe, Max zerwał się na równe nogi i przywitał nas szczekaniem. Mama, wielka miłośniczka zwierząt, odłożyła walizkę i przytuliła go do siebie ze wszystkich sił. Miłość od pierwszego wejrzenia.

Za Maxem, na podłodze w przedpokoju, w kuchni i salonie rozpościerało się cementarzysko wyrwanych kartek i pogryzionych książek. Chciałem zapaść się pod ziemię. Zamiast tego powiedziałem tylko:

– Andres ode mnie odszedł.

Mama dalej przytulała liżącego ją po twarzy Maxa, dopóki nie dotarło do niej znaczenie moich słów. Podniosła wtedy głowę, nie przestając go głaskać, i powiedziała z błyszczącymi oczami:

– Och, synku...! – Westchnęła i dodała wyraźnie wzruszona: – Dlaczego mi nie powiedziałeś, że masz szczeniaka?

Patrzyliśmy na siebie kilka sekund, ja niezdolny do powiedzenia lub zrobienia czegoś, czego potem nie musiałbym żałować, a ona poddająca się całkowicie bodźcom, odbieranym przez tę część jej mózgu, w której znajdują się – w jej przypadku nie zawsze działające – synapsy. Zamknęła w końcu oczy, przytuliła się do Maxa raz jeszcze i głosem matki zapytała:

– Dlaczego w naszej rodzinie nie mówimy sobie takich ważnych rzeczy?

Mógłbym udusić na miejscu ją, Maxa i tę jej podręczną walizkę, ale widząc ją z psem w ramionach, na podłodze pokrytej wyrwanymi z książek kartkami, wyobraziłem sobie matkę – a właściwie nas – z lotu ptaka i zacząłem się śmiać. To akurat nasza rodzina potrafi: śmiać się w chwilach, gdy dramat przeradza się powoli w katastrofę, a my zmierzamy nieuchronnie ku przepaści, hipnotyzującej nas z ciemności. W naszej rodzinie – i nie mówię tutaj o zgorzkniałych krewnych taty – śmiech zawsze pojawia się w odpowiednim momencie i chroni nas jednym szarpnięciem przed upadkiem; pozwala nam złapać oddech, choćby tylko na chwilę, i zdobyć odrobinę cennego czasu, za co jesteśmy mu wdzięczni.

Zazwyczaj.

Tak, zacząłem się śmiać. Najpierw delikatnie, ale potem, kiedy mama się do mnie przyłączyła, nie mogłem się uspokoić. Śmiech mamy, rodzący się w żołądku i rozlewający po całym ciele, jest tak zaraźliwy, że porywa wszystko, co napotka na swojej drodze – ze mną włącznie. Siedziałem więc oparty plecami o ścianę i płakałem tak, jak nie zdarzyło mi się płakać w ciągu ostatnich czterdziestu ośmiu godzin, które spędziłem na sprzątaniu szczenięcych kup i potykaniu się co rusz o cztery lata wspólnego życia, które powoli ulatniało się przez okno. I kiedy tak płakałem, Max usiadł przy mnie i zaczął mi się przyglądać, a mama bez słowa wzięła się do zbierania kartek z podłogi, tak milcząca i poważna, że aż zrobiło mi się wstyd, że widzi moje łzy.

Kiedy w końcu zdołałem się uspokoić, zbliżyła się do mnie z nadgryzionymi resztkami

trylogii Larssona, usiadła obok i mnie objęła.

– Synku, to przecież nic takiego – powiedziała, przyciągając mnie mocno do siebie. – Mnie te szwedzkie świństwa nigdy się nie podobały. Albo ta szalona dziewczyna... ta dwubiegunowa, od piercingów, która lubi, jak ją chłoszczą...

„O matko...”, pomyślałem sobie w ramionach kobiety, która pewnie już nigdy nie dorośnie. „Dla nas chyba nie ma ratunku”.

Max, siedzący obok mnie, szczechnął, po czym zesikał się na dywan.

*

To, co wydarzyło się w ciągu następnych kilku dni, można streścić następująco.

W porządku chronologicznym:

1. Otrzymałem faks od właściciela mieszkania, w którym informował o nieprzedłużeniu mi umowy najmu, wygasającej dokładnie za trzydzieści siedem dni.

2. Listonosz odwiedził nas ponownie równo trzy tygodnie po tym, jak mama wylądowała u mnie z walizką, ale tym razem na kopercie widniało jej nazwisko. Była to kserokopia pozwu rozwodowego sporządzonego przez adwokata – i towarzysza przygód – taty. Mama była o krok od zawału. Nie rozpląkała się jednak. Poprosiła tylko, żebym przeczytał jej cały dokument. Usiadła ze mną na kanapie, a potem w ciszy wysłuchiwała dziesięciu, okraszonych błędami ortograficznymi, klauzul pozwu (w skrócie: tata wyrzucał ją na bruk, bez środków do życia – jak każdy porządny oszust już wiele lat wcześniej zatroszczył się o to, żeby mama została z niczym, nie licząc kilku mebli po babci i trzech roślin doniczkowych), kręcąc przecząco głową i głaszcząc Maxa, który siedział jej na kolanach i podgryzał jej wełniany sweter. Kiedy skończyłem czytać, mama wzięła pozew do ręki i przebiegła go wzrokiem, linijka po linijce, ocierając łzy i zaprzeczając ruchem głowy.

Nagle jej wyraz twarzy uległ zmianie.

– Potrzebuję czegoś silniejszego – powiedziała. Przestraszyłem się. Była jeszcze bledsza niż zwykle i nie mogła powstrzymać drżenia ręki, w której trzymała faks. „Boże”, pomyślałem, robiąc w pamięci przegląd legalnych narkotyków, które trzymałem w szafce w łazience. „Co mam jej niby dać?”. Spojrzała na mnie i znużonym głosem zapytała: „Masz może paracetamol?”.

Chciałem ją zapytać, czy na pewno miała na myśli paracetamol, a nie relanium, ale zanim zdążyłem się odezwać, mama włożyła mi faks do ręki, trzymając go kciukiem i palcem wskazującym, jakby był martwym szczurem podniesionym z podłogi.

– Data – powiedziała. – Popatrz na datę. – Nie zdążyłem nawet mrugnąć. – Sprzed siedmiu miesięcy.

Poszedłem do łazienki, przeszukałem apteczkę, którą trzymałem pod umywalką, i wróciłem z lekarstwem do dużego pokoju. Mama nadal trzymała faks z obrzydzeniem na twarzy. Pogładziłem ją po włosach, dałem jej jedną połówkę relanium, a sam połknąłem drugą. Później, trochę spokojniejsi, zebraliśmy się we dwójkę na odwagę, uzbroiliśmy w cierpliwość i zadzwoniliśmy do Emmy. Nie odbierała, włączała się tylko automatyczna sekretarka. Postanowiliśmy spróbować szczęścia z Silvią.

Jak było do przewidzenia, z Silvią spotkało nas coś jeszcze gorszego.

To coś gorszego... było czymś najgorszym.

3. Miesiąc po pojawieniu się Maxa w końcu mogłem zabrać go do weterynarza, żeby go obejrzał i zaszczepił. Ta przygoda nauczyła mnie, że bycie ojcem malucha, niezależnie od tego, czy jest to dziecko, pies, kot czy też potwór z dwiema głowami i telewizyjną antenką na jednej z nich, wymaga: odwagi w chwili słabości, przytomności umysłu w chwili rozpacz i hartu ducha. Podsumowując: trzeba być przygotowanym na wszystko i wiedzieć, że słowo „szczepić”

nie pochodzi od „oszczepu”, ale od „szczepionki”, a szczepionki – i to wszystkie, bez wyjątku – oznaczają igłę wbitą w skórę. Kiedy pani weterynarz odwróciła się do mnie ze strzykawką w dłoni, uśmiechnąłem się tylko i poszukałem po omacku krzesła, próbując wydusić z siebie „chwila-proszę-chwilę-poczekać-o-tym-nie-było-mowy”, a ponieważ nigdzie go nie znalazłem, wylądowałem na podłodze, rozbiłem sobie brew i złamałem jedno żebro. Chociaż o żebrze dowiedziałem się dopiero kilka godzin później.

Raquel, bo tak się nazywała – i mam nadzieję, że dalej nazywa – pani weterynarz, odprowadziła nas po wizycie do drzwi.

– Proszę pamiętać – powiedziała, kiedy wręczała mi książeczkę szczepień Maxa – żeby na spacerach dużo nie biegał. Dogi niemieckie do ukończenia pierwszego roku życia nie mają usztywnionych kości i powinny truchtać powoli i w jednostajnym tempie. Lepiej, żeby spacerował.

Stałem jak wryty, z Maxem w ramionach, a w mojej głowie wybuchły naraz tysiące kasetowych bomb, które uruchomiły wszystkie możliwe alarmy złych wiadomości.

– Dogi... niemieckie...? – wybełkotałem. Potem spojrzałem na Maxa i wyobraziłem sobie ważące osiemdziesiąt kilogramów konia z łapami jak przydrożne słupy, śliniącego się na potęgę, z łapą na moim brzuchu albo śpiącego ze mną na tyżeczce na rozkładanej kanapie o wymiarach 1,34 metra na 1,90 metra w moim maleńkim mieszkanku, które dzień wcześniej wynająłem na Barceloncie. – Ale ja nie wiedziałem...

Raquel nie pozwoliła mi dokończyć.

– Będzie piękny. Zobaczysz – postanowiła. – Zmieni całe twoje życie.

Wyszedłem na ulicę z moją czarną kudłatą kuleczką w ramionach. Mama czekała na mnie na placu, popijała w kawiarni kawę z mlekiem i pałaszowała drugiego już croissanta.

– To dog niemiecki – powiedziałem, opadając bez sił na zepsute krzesło, do którego jakiś miejscowy palant przykleił gumę do żucia. – Ten przeklęty idiota podarował mi doga niemieckiego, żeby mnie pożarł na starość, kiedy nie będę miał za co kupić mu dwustu kilogramów mięsa i ryżu, które spożywa na miesiąc. Wiedziałem, że ten prezent to pułapka.

Mama roześmiała się, wzięła ode mnie Maxa i obsypując go pocałunkami, powiedziała:

– Nie mów głupstw. Jak może być dogiem niemieckim, skoro jest taki czarny? –

Popatrzyłem na nią, nie wierząc własnym uszom, a ona dała Maxowi do zjedzenia róg croissanta, który pożarł jednym kłapnięciem paszczy. Roześmiała się rozbawiona.

– Mamo, dogi niemieckie to coś między samochodem terenowym a matką Obcego. Rosną jak konie. I produkują góry kup jak kosowarskie torty weselne. I nigdzie się nie mieszczą. I... i... – „Bożeprzenajświętszydlaczegodocholerymusiałospotkaćwłaśniemnie”, pomyślałem w duchu, przypominając sobie Andresa, z jego miną groźnego audytora, pięcioma tysiącami na miesiąc i zegarkiem Prady, i wyobraziłem sobie, że rzucam w niego tanimi powieściami detektywistycznymi, które zostawił mi w spadku i które Max rozrywa na strzępy w chwilach samotności.

Mama cmoknęła językiem.

– Przesadzasz. – Max polizał ją po twarzy i rozniósł po niej okruszki. Mama uśmiechnęła się i wytarła ręką policzek. – Andres miał gest, że dał ci w prezencie tego słodziaka – stwierdziła, tuląc go do siebie. Po czym dodała ze spuszczonego wzrokiem: – Swoje za uszami może i miał, ale przynajmniej potrafił być hojny. I szarmancki. A szarmanccy mężczyźni są tacy do samego końca.

Zamówiłem kawę u kelnera o twarzy ćpuna, który raczej nie pachniał mydłem, i włożyłem sobie ręce pod pośladki, przyciskając je mocno do krzesła, żeby nie udusić mamy.

– Tak – warknąłem. – Masz rację.

– Mmm. Jest w tobie gniew, synku – odpowiedziała, po czym wzruszyła ramionami i pocałowała Maxa w pysk. – Ale to normalne, nie przejmuj się. Ingrid mówi, że kiedy energia się przekształca, to nasza wewnętrzna siła gaśnie jak świeca, żeby ustąpić miejsca naszemu... mmm... jak to było? – Zamrugła, wpatrując się w dziewczynę z dredami, która napełniała kilka brązowych bidonów wodą z pobliskiej fontanny, podczas gdy peleton jej kundli rozdzielał między siebie bagietkę świeżo wyciągniętą z kosza na śmieci. – O, już wiem! Chodzi o to, że odczuwasz ból, bo twoje trzecie oko jest... mmm... zatkanie czy... coś takiego.

Spojrzałem na nią i wziąłem głęboki wdech.

– Moje trzecie oko jest drożne jak odpływ w wannie, mamó. Chociaż akurat teraz pełno w nim kudłów psa, który zanim zdąży się obejrzeć, zamieni się w tyranozaura.

Mama spojrzała na mnie i pokręciła przecząco głową, a Max, który leżał na jej kolanach, podał mi łapę.

Próbowałem się uśmiechnąć.

Na próżno.

Cztery

Od tamtego popołudnia minęły trzy lata. Niedługo po mojej pierwszej wizycie u weterynarza nasze życie – moje i mamy – wróciło na swój dawny tor, a normalność, lub to, co ją przypominało, zagościła u nas na nowo. Tak nam się przynajmniej zdawało. Ja i Max przeprowadziliśmy się do nowego miejsca, czyli małej-kawalerki-bez-windy-i-z-prysznicem-dla-jednej-osoby na Barcelonecie, a mama, za radą wszechobecnej Ingrid, rozwiódła się „po przyjacielsku” z tatą i zamieszkała na jakiś czas u wujka Eduarda. Podczas gdy zastanawiała się, co dalej począć ze swoim życiem i garstką oszczędności ocalałych ze spadku po dziadkach, do których tata nie miał dostępu, przygarnęła suczkę z uszami jak goblin i ogonem przypominającym kurek od gazu, którą nazwała Shirley.

– Shirley – oznajmiła mi przez telefon. – Zobaczysz, że się polubicie.

– Shirley? Co to w ogóle za imię? – nie mogłem się powstrzymać.

– Imię jak każde inne.

– Mamo, zaadoptowałaś psa, a nie dziewczynkę z Dominikany.

– Wiem. – Po czym dodała: – Shirley jak Shirley MacLaine.

„Jezu”, pomyślałem. „Moja matka nie może przecież w tym wieku chodzić po ulicy i wykrzykiwać «Shirley», jak jakaś sprzedawczyni staników na bazarze. Muszę porozmawiać z Silvią”.

Zanim zdążyłem cokolwiek powiedzieć, ona natychmiast wyjaśniła:

– Czytałam taką książkę.

Nie rozumiałem.

– Książkę? Jaką książkę?

– Książkę Shirley MacLaine, kogoż by innego.

– I?

– Okazuje się, że nie urodziła się tak normalnie, po ludzku, jak ty czy ja.

– Nie? Naprawdę?

– No właśnie nie!

– Mamo, zaraz się rozłączę.

– Tak właśnie przeczuwałam, że ta kobieta miała nie wiadomo co...

Zamilkła i odczekała chwilę; ponieważ nie spieszyłem się z odpowiedzią, dokończyła, ścisząc głos:

– Shirley sprowadził na ziemię statek kosmiczny. Píše o tym w swojej książce. Podobno kiedy leży w łóżku, potrafi rozmawiać z kosmitami. I to bez żadnej anteny.

Rozłączyłem się. Nie mogłem już tego słuchać.

Kilka tygodni później, dzięki pomocy Silvii, mama sprowadziła się do jednego z mieszkań wynajętych od opieki socjalnej, przeznaczonych dla osób powyżej sześćdziesiątego piątego roku życia. Mieszkanie jest jednym z szesnastu znajdujących się w białym trzypiętrowym budynku o nazwie Los Gindos, z pełnymi światła i odpowiednio przystosowanymi pomieszczeniami wspólnymi, gipsowymi ścianami działowymi i fasadą wyłożoną białymi płytkami. Zdaniem Silvii blok przypomina „kontenerowiec pod fałszywą banderą pełen ubogich emerytów, zakotwiczony na oceanie blond pasemek, pereł, golden retrieverów i boliwijskich pomocy domowych, poniewieranych przez faszystowskie panie domu”. Pod balkonem mamy rozciąga się plac z kilkoma rabatami kwiatowymi i ławkami przypominającymi urządzenia do tortur, na których codziennie siadają nastolatki w mundurkach angielskich szkół, z pryszczami na twarzy, buzującymi feromonami i skrętami w rękę, po czym wypełniają

powietrze zapachem haszyszu, który działa na mamę kojąco i sprawia, że łatwiej z nią wytrzymać. Mieszkanie jest małe: salonojadalniokuchnia z balkonem, łazienką i sypialnią, w której stoją dwa łóżka. Jeżeli zaś chodzi o sąsiadów, to nie można wykluczyć, że któryś z nich wpadnie dziś do nas na chwilę. Emeryci z tego bloku przemieszczają się bowiem z jednego mieszkania do drugiego z tak niespotykaną radością i swobodą, że powinni zostać poddani badaniom naukowym albo stać się obiektem czyjegoś donosu.

– Doprowadzają mnie do szału – skarżyła mi się mama jeszcze tego popołudnia, zanim zabraliśmy się do nakrywania do stołu, wtajemniczając mnie po raz kolejny w ekscesy mieszkańców bloku. – Dzisiaj, w czasie mojego popołudniowego serialu, zapukała do drzwi ta upierdliwa Eugenia. – Czyli samotna starsza pani z przyległego mieszkania, przypominającego apartament do wynajęcia na godziny w tanim nadmorskim kurorcie, pełnego białych energooszczędnych żarówek, plastikowych roślin i wszelkiego rodzaju odbiorników, mikserów, zegarów i wiecznie psujących się urządzeń, które Eugenia przynosi mamie do naprawy akurat wtedy, gdy Emma lub ja u niej jesteśmy. Eugenia jest uzależniona od telezakupów Mango i sprzedaje pojemniki Tupperware, po kryjomu – żeby nie odebrano jej emerytury. Mama, gdy o niej mówi, zawsze wpatruje się w drzwi wejściowe, jakby mogła nas usłyszeć ze swojego mieszkania. Na dokładkę Eugenia atakuje mamę bez skrępowań o każdej porze dnia i nocy, gdy cierpi na bezsenność. – Kiedy otworzyłam drzwi – opowiadała mama – Eugenia stała jak słup soli z pudełkiem zapalek i zapalniczką w ręku i zapytała: „Słuchaj, Amalio, uważasz, że lepiej zapalić piekarnik zapalkami czy zapalniczką?”. Ja oczywiście powiedziałam, że zapalniczką, ze względu na lasy i drzewa, bo Ingrid mówi, że kiedy zapala się jakaś zapalka, to korzenie drzew zaczynają szlochać, i że Paczarrama...

„Pacza...rrama?”.

– Bardzo dobrze, mamó. Dobrze powiedziane.

– No właśnie nie – stwierdziła, kręcąc głową, i przyłożyła sobie palec do skroni, nie odrywała przy tym wzroku od drzwi.

– Nie?

– Synku, w tym budynku wszystko jest elektryczne. Nie widzisz, że nam nie ufają...?

Wyobraź tylko sobie ich wszystkich – wskazała brodą na drzwi – posługujących się zapalkami, zapalniczkami, kurkami od gazu. Bum! Bum! Bum! – Roześmiała się, zakrywając sobie dłonią usta jak mała psotnica i zarażając mnie swoją wesołością. Potem zaczęliśmy przygotowania do kolacji.

Beztrasko.

Aż dotąd.

Silvia stoi przy drzwiach oparta o ścianę. Wokół niej leżą porozrzucone torby z prezentami zapakowanymi w papier z sieci sklepów FNAC – Silvia zawsze się upiera, że prawidłowa hiszpańska wymowa tej marki to „Efnac” – a ona sama ściska w ręku brązową markową torebkę, w której trzyma, między innymi, chusteczki higieniczne, wilgotne chusteczki do okularów, szczoteczkę do zębów, nić dentystyczną, krem do rąk, różowe gumowe rękawiczki do zmywania, gazę, wkładki higieniczne, paracetamol, ścierkę, szmatkę do kurzu i jednorazowe opakowania odplamiacza sprowadzanego z Andory, który zawsze ma pod ręką, kiedy przyjeżdża do mamy. Silvię przygniata do ściany liżący ją po twarzy i śliniący się na potęgę Max, a na wysokość jej dłoni skacze, podgryzająca jej rękawiczkę, Shirley.

Nie widzimy jej twarzy. Jedyne, co mamy przed oczami, to sztywny ogon Maxa poruszający się jak wiatraczek, a do naszych uszu dolatują, wśród psiego zawodzenia, urywane postękiwania Silvii, które brzmią jak „pff”, „ty potworze”, „Jezu”, „złaź”, „z tymi swoimi wirusami”, „mam nadzieję, że jesteś zaszczepiony”... Mama mówi wtedy półgębkiem:

– Coś chyba poszło nie tak, synku. – A sekundę później dodaje: – Niech Bóg ma nas w swojej opiece.

Odwracam się do niej i widzę, że ściska puszkę coca-coli obiema rękoma, jak rozbitek trzymający się kłody drewna, i mruży oczy przed oślepiającym światłem wpadającym z korytarza. Kiedy w końcu udaje mi się przekonać Maxa grzechoczącą piłeczką, żeby przy mnie usiadł, widzimy resztki Silvii przyklejone do ściany, z twarzą zwróconą w naszym kierunku i spojrzeniem tak pełnym nienawiści, że aż mrozi mi krew w żyłach.

Silvia odkleja się powoli i cedzi przez zęby:

– Mamo, podłoga aż się lepi. – Spuszcza wzrok i wzdryga się z obrzydzeniem, które tak dobrze znamy, my i Jenny, jej peruwiańska sprzątaczką. – Można wiedzieć, kiedy te kafelki widziały po raz ostatni mop?

Mama wzrusza ramionami, przewraca oczami i spogląda na obraz babci Ester, z wyrazem twarzy mówiącym „czym sobie zasłużyłam na taką córkę”, a kiedy Silvia wstaje i odwraca się do nas plecami, wykorzystuję okazję, żeby zapytać ją szeptem: – Powiedziałaś jej, że Olga jednak będzie na kolacji, prawda?

Mama mruga i z roztargnieniem kładzie sobie dłoń na szyi. Potem przełyka ślinę.

– Mamo?

– Tak trochę.

– Jak to trochę? – warczę i staram się nie podnieść głosu. – Powiedziałaś jej czy nie?

– Mniej więcej.

„O matko”.

– Powiedziałam jej, że... że będziemy wszyscy – wyznaje mama ściszym głosem, patrząc na mnie jak niegrzeczne dziecko i jeszcze mocniej ściskając puszkę.

Nie mam szansy już nic więcej powiedzieć, bo Silvia właśnie skończyła zbierać z podłogi swoje rzeczy i weszła do salonu, po czym zamknęła za sobą drzwi i odetchnęła z ulgą. Na jej czole lśnią strużki śliny.

Pięć

– Siedem?

Silvia. Właśnie skończyła przecierać szkła okularów wilgotną chusteczką i czyścić swoje ubranie z resztek śliny siedzącego obok niej, z wywalonym jęzorem, Maxa. Ona jednak nie zwraca na niego uwagi; wodzi bowiem wzrokiem po stole, a jej oczy przypominają reflektory oświetlające w nocy tereny obozów jenieckich z filmów wojennych. Nagle zaczyna mrugać i marszczy czoło.

– Siedem nakryć? – pyta i odwraca się do mamy.

Mama spogląda na mnie, podpira prawy łokieć na lewej dłoni i kiwa głową.

– Oj – mówi z zaskoczoną miną. – No tak!

W moim umyśle włącza się radar, świecący od kilku dni na czerwono.

Niebezpieczeństwo. Niebezpieczeństwo w pobliżu. Nagle zdaję sobie sprawę, że gdybym położył ekran mojego radaru, na pewno w całości przykryłby stół w salonie mamy. Dwa mrugające na czerwono reflektory to papierowe serwetki leżące na talerzach Silvii i Olgi.

Milczymy przez chwilę. Silvia przełyka ślinę i chrząka wymownie. Potem zapala papierosa.

– Myślałam, że będzie nas pięcioro.

Mama gładzi się dłonią po włosach i patrzy w martwy punkt. Następnie, próbując znaleźć jakąś drogę ratunku, spuszcza wzrok i znowu robi zaskoczoną minę.

– Co za głuptas ze mnie – mówi i chichocze. – Zapomniałam zdjąć kaptcie.

To prawda. Dalej ma na nogach bambosze w szkocką kratkę, których Silvia nie znosi, a ona sama uwielbia, od czasu kiedy Shirley zapalała miłością do jednego z nich. Kremowe spodnie od krawca, czarny golf, agatowy naszyjnik babci Ester, siwe kręcone włosy i pantofle w kratę – oto mama w całej swojej okazałości. Uśmiecham się mimo woli, a Silvia krzywi się w grymasie.

– Lepiej je zdejmę, zanim... – ciągnie mama.

– Mamo – przerywa jej Silvia.

Mama odpowiada jej spojrzeniem.

– Oj, córciu. – Macha ręką ze zniecierpliwieniem. – Pięcioro, sześcioro, siedmioro... Co to za różnica? Gdzie jest miejsce dla...

– Mamo.

– Co?

– Powiedziałas mi, że Siostra Właśnie Tak nie przyjdzie.

„Siostra Właśnie Tak”. Silvia określa tym mianem Olgę, a wariacją tego przezwiska jest „Siostra Pozwól, Że Ci Powiem”. Tymi dwoma wyrażeniami Olga okrasza bowiem wszystkie swoje wypowiedzi, które poprzedza często delikatnym chrząknięciem, co kiedyś nas bawiło, a teraz doprowadza do szału.

– Nie wiedziałam, córciu, że przyjdzie – broni się mama, która po latach życia z tatą, umiejącym znaleźć usprawiedliwienie każdego swojego oszustwa, sekretu i kłamstwa, sama stała się mistrzynią wymówek. – Ale dzisiaj rano zadzwoniła twoja siostra i oznajmiła, że jednak przyjadą we dwie. Co niby miałam jej powiedzieć? Żeby jej nie przyprowadzała? Że jej nie chcemy? – Kręci głową. – Nie, córciu, ja tak nie potrafię.

– Co za szczęście – odburkuje Silvia.

– Ja się ucieszyłam – mówi cicho mama.

Silvia zaciska szczęki i cedzi przez zęby:

– Niewiele ci, mamó, potrzeba do szczęścia. – Wydmuchuje dym z papierosa i spuszcza wzrok, jakby żałowała swojego tonu. Zabrzmiał nieprzyjemnie, jak kaszel z flegmą.

– Możliwe – odpowiada mama, siadając na krześle. Mówi to głosem starszej kobiety, która nie broni się przed atakami ukochanych osób, bo woli otrzymywać od nich ciosy niż sama je zadawać. Mama już taka jest i wszyscy o tym wiemy. I to właśnie, ta jej siła... w słabości, jest czymś, z czym Silvia nie potrafi walczyć. Mama patrzy teraz na mnie i szuka wsparcia. Unika wzroku Silvii. – Chodzi o to, że... – ciągnie – wydaje mi się, że waszej siostrze i Oldze nie układa się ostatnio najlepiej i że... jeżeli przyjdą obie, to będzie znaczyło, że jest między nimi w miarę dobrze, prawda?

Wymieniamy z Silvią spojrzenia.

– Mamó, między Emmą a Olgą zawsze kiepsko się układa – mówię neutralnym tonem. Tak naprawdę to ja też nie przepadam za Olgą. Ani za Olgą, ani za tą ugodową postawą mamy, chociaż wiem, że akurat to przeszkadza mi w niej dlatego, że sam często tak się zachowuję.

Silvia wzdycha głęboko i kiwa głową.

– Moim zdaniem Olgi miało nie być, bo myślały o rozstaniu – mówi mama, zbywając milczeniem mój komentarz i wykręcając sobie dłonie. W jej głosie pobrzmiewa niepokój. Mama zawsze się o nas martwi, w milczeniu i na zapas, i wyobraża sobie niestworzone rzeczy, o które potem nie ma odwagi zapytać, żeby nie odkryć, że prawda jest jeszcze gorsza. Zerka teraz na nas. – Nie, nie, Emma o niczym mi nie wspominała, wiecie, jaka ona jest, ale dzisiaj rano, kiedy zadzwoniła, by powiedzieć, że Olga jednak przyjdzie, miałam wrażenie, że płacze. Jakby jej ulżyło.

Silvia wypuszcza dym nosem, a Max wstaje z tą swoją elegancką powolnością, podchodzi do mnie i drapie mnie swoim ogromnym pazurem w kolano, oznajmiając, na swój psi sposób, że nadeszła pora kolacji.

– Co za wspaniały początek roku – mówi przez zaciśnięte zęby Silvia. – Brakuje jeszcze, żeby wujek Eduardo z czymś wyskoczył, na przykład przyjechał podпиты i w stroju Świętego Mikołaja, jak w zeszłym roku. – Zaciąga się znowu papierosem i śmieje sucho. – Nasze sylwestrowe kolacje naprawdę przypominają dom wariatów, nie dziwię się, że zawsze ktoś się od nich wymiguje.

Mama, choć widać, że czuje się zraniona, mruga tylko powiekami i milczy. Wie, podobnie jak i reszta, że z Silvią trzeba uważać, bo jest jak szybkar – zawsze gotowa do wybuchu. Mama, w przeciwieństwie do swojej najstarszej córki, klótni po prostu nie znosi. Dlatego właśnie poświęciła tyle lat swojego życia próbom pogodzenia wszystkich wokół, dając ludziom, najczęściej na to niezasługującym, drugą szansę, i wierząc, że wszystko będzie dobrze – lepiej, niż myślimy – nawet jeśli rzeczywistość rzadko przyznawała jej rację.

Patrzę na nie – jedna siedzi za stołem z puszką coca-coli, a druga na kanapie z wilgotną chusteczką w dłoni i wodzi spojrzeniem po podłodze i półkach w poszukiwaniu kurzu, brudu lub czegoś, czego nie powinno na nich być – i dociera do mnie, jak bardzo się od siebie różnią i jak bardzo są do siebie podobne, nawet jeżeli żadna by się ze mną nie zgodziła, bo ką, z którego na siebie patrzają, jest nieostry i nic się w nim nie odbija. Myślę o rudych włosach Silvii, jej zmęczonym spojrzeniu i o prawdzie, którą ukrywa od kilku dni, i zastanawiam się, co czuje w środku, kiedy tak przesadza jak zwykle i chowa się za tą Silvią, którą jest zawsze przy nas – Silvią, która wszystkim zawsze da radę i która zbyt szybko pojęła, że bycie dorosłą w rodzinie takiej jak nasza nie oznacza tylko bycia najstarszą z trójki rodzeństwa, ale z całej piątki. Oznacza bycie siostrą, matką i ojcem w jednym. I gdy widzę ją taką, monolityczną i odległą, milczącą na temat tego, co sprawia jej ból, przypomina mi się – jak zawsze w takich sytuacjach – moje pierwsze wspomnienie o niej, o naszej dwójce. Wspomnienie, które z biegiem lat stało mi się

drogie, gdyż odkryłem w nim tysiące niuansów, i które wiele mówi.
Do dziś.
O niej i o mnie.

Sześć

Pamiętam wszystko ze szczegółami. Bawiliśmy się na placu zabaw niedaleko domu. Chciałem zjechać ze zjeżdżalni, którą od dłuższego czasu zajmował chłopiec niepozwalający mi nawet zbliżyć się do drabinki, a Silvia huśtała się kawałek dalej na huśtawce. Plac zabaw, niewielki i opustoszały, wyłożony był białymi betonowymi płytami. Silvia miała dziesięć lat, ja cztery. Gdy zobaczyła, co się dzieje, zeszła z huśtawki, podeszła niespiesznie do zjeżdżalni i bez słowa weszła na drabinkę, a kiedy znalazła się na górze, popchnęła małego złośliwca, który tam się okopał i próbował mnie opluć. Pech chciał, że chłopiec wypadł ze zjeżdżalni prosto na beton i złamał sobie ramię. Gdy jego matka podeszła, żeby go pozbierać, Silvia najpierw jej pomogła, i to z takim zapalem, że kobiecie zrobiło się głupio, a potem oświadczyła:

– Moja babcia Ester, mama mojej mamy, bo druga babcia ma na imię Mercedes i prawie nigdy jej nie widujemy, chociaż może to i lepiej, bo dziwnie pachnie i zawsze gotuje ślimaki, mówi, że na placu zabaw trzeba uważać, bo wszystko jest brudne i pełne mikrobów, a jeżeli zrobimy sobie krzywdę, to możemy dostać zakażenia i umrzeć.

Kobieta patrzyła na nią z otwartymi ustami, ale Silvia dokończyła swoją opowieść bez skrepowania:

– W szpitalu pewnie umyją mi kolana i go przewiną – powiedziała, przyglądając się płaczącemu w ramionach matki chłopcu, którego ramię zwisało bezwładnie. – Bo trochę brzydko pachnie. – Popatrzyła na ich dwójkę wzrokiem, który wiele lat później miałem okazję zobaczyć ponownie w filmie *Chłopcy z Brazylii*. – Chyba się zesikał. Babcia mówi też, że w szpitalu wiele osób umiera na wirusy i inne takie.

Kiedy kobieta odeszła, Silvia odwróciła się w moją stronę:

– Możesz zjeżdżać – powiedziała. – Tylko uważaj, jak będziesz wchodził, bo jeżeli spadniesz i się ubrudzisz, to pożałujesz.

Potem wyciągnęła z kieszeni chusteczkę, pośliniła ją i rozejrzała się na prawo i lewo, żeby się upewnić, że nikt jej nie widzi, po czym uklękła i zaczęła zmywać z betonu ślady krwi.

Ze stali. Silvia była i jest ze stali. Już jako małe dziecko dawała nam popalić. Jej rysy twarzy i sylwetka z wiekiem stawały się coraz bardziej kanciaste – jej oczy były niemalże przezroczyste i można było jej policzyć wszystkie kości: obojczyki, łokcie, biodra, kostki. Miała rude włosy. Bardzo rude. Jak ja.

Jak babcia.

Silvia studiowała medycynę. Zaraz po ukończeniu studiów dostała pracę w szpitalu Czerwonego Krzyża, ale kiedy zobaczyła ludzkie cierpienie z tak bliska, bez żadnego filtra, doszła do wniosku, że to nie dla niej, a przynajmniej tak wtedy twierdziła – kilka lat później dowiedzieliśmy się jednak od znajomej mamy, która była pielęgniarką, że Silvia od samego początku siała postrach w salach operacyjnych, w których, według niej, nigdy nie było wystarczająco czysto, doprowadzając sprzętaczki do rozpaczki. Obecnie pracuje w międzynarodowym koncernie farmaceutycznym i sprzedaje szpitalom na całym świecie ortopedyczne protezy nóg i inne okropieństwa. Zarządza ponad setką osób, ciągle jest w rozjazdach, dorobiła się złotych kart wielu linii lotniczych i darmowych pięciogwiazdkowych hoteli, z których korzysta mama, zazwyczaj w towarzystwie Ingrid. Kiedy nie pracuje, Silvia zajmuje się badaniami. Jest jedną z tych kobiet, które ciągle „coś robią”: kursy tego i tamtego, kongresy, sympozja, artykuły, wystąpienia, studia podyplomowe... Nosi markowe okulary, czasem zakłada perły, znajduje czas, żeby upiec chleb, i chociaż broni do upadłego praw społecznych, państwa dobrobytu i wszystkiego, co lewicowe, sama kilka lat temu uparła się, żeby

sprawdzić, czy rzeczywiście rodzina ze strony mamy miała tytuł szlachecki i czy nie dałoby się go odzyskać. Przekonawszy się, że to prawda i że ów tytuł dostał w spadku daleki kuzyn mieszkający w Buenos Aires, z którym nigdy nie mieliśmy kontaktu, kazała sobie wygrawerować rzekomy rodzinny herb w miniaturze i do dziś nosi go na marynarce jak broszkę, obok czerwonej wstążeczki symbolizującej walkę z AIDS.

– Jak już coś robić, to porządnie – mawiała często, podkreślając swoją wypowiedź lekkim przechyleniem głowy i metalicznym uśmiechem. – Metoda. Na bałagan trzeba mieć metodę.

Metoda. Silvia jest uosobieniem „metody”, a Emma i mama – prawdziwym wcieleniem „bałaganu”. Dlatego właśnie, od kiedy taty z nami nie ma, najczęściej powtarzanym przez nas zdaniem jest „trzeba zadzwonić do Silvii”. Czasem jednak byłoby lepiej, gdyby mama i Emma nie próbowały doprowadzać swoich nieporządków do porządku i pozwoliły życiu płynąć dalej. Zazwyczaj wołają bowiem o pomoc zbyt późno, wprawiając w ruch maszynę zwaną Silvia, której potem nie są w stanie zatrzymać.

W dniu, w którym zadzwoniłem do Silvii, żeby opowiedzieć jej o faksie od taty i pozwie rozwodowym, który wyglądał, jakby został napisany przez pierwszego lepszego domokrążcę sprzedającego płyn na porost włosów, najpierw usłyszałem po drugiej stronie słuchawki cichy jęk, potem pełną napięcia ciszę, a na koniec dwa warknięcia.

Pierwsze z nich to:

– Jestem w Atlancie.

A drugie:

– Daj mi mamę.

Podałem mamie słuchawkę, a ona spojrzała na mnie z przerażeniem w oczach.

„Nie, nie, nie... błagam, tylko nie z nią”, wołała bezgłośnie i opędzała się od telefonu, jakby sam Belzebub poprosił ją na słówko. Potem odchrząknęła, wzięła kilka głębokich wdechów, uśmiechnęła się, jakby Silvia mogła widzieć ją przez słuchawkę, i przyłożyła ją sobie do ucha.

– Tak, córciu? – zapytała głosem uległej i posłusznej matki, który powinien był wzbudzić wtedy moją czujność. – Tak. Tak. Tak. Oczywiście. Tak. Dobrze. Jak chcesz. Jakżeby inaczej. Nie martw się. Jutro. Pewnie, że rozumiem. Nie, nie musisz mi tego powtarzać. Tak. Tak. Tak. Tak.

Po dwudziestu minutach recytowania „tak, oczywiście”, „jak chcesz” – z miną zgubionej owcy, którą robi zawsze, kiedy to, co się do niej mówi, wpada jej jednym uchem, a wypada drugim – rozłączyła się i podała mi telefon.

– Co powiedziała? – zapytałem.

Spojrzała na mnie i oznajmiła znużonym głosem:

– Nie pamiętam.

Nalegałem.

– Nie wiem, coś o jakiejś znajomej pani adwokat, do której zadzwoni w mojej sprawie.

I żebym nic nie podpisywała. I żebym na razie nie ruszała się z miejsca – powiedziała, obsypując pocałunkami Maxa, który wykorzystał okazję, żeby podgryźć jej dłoń. – I te pierdoły o metodzie, metoda tu, metoda tam, których tak nie znoszę. – Spojrzała na mnie, pokręciła głową i westchnęła. – Twoja siostra, synku, jest bardzo upierdliwa.

– Mamo, musisz jej posłuchać – powiedziałem. – Zna się na tych rzeczach najlepiej z nas wszystkich.

– Oczywiście, synku, oczywiście. Nie martw się.

Poszedłem do kuchni zaparzyć kawę. Czekałem, aż woda się zagotuje, kiedy nagle usłyszałem, jak wychodzi bezszelestnie z mieszkania. Po dziesięciu minutach wróciłem z kawą

do salonu, a ona pojawiła się wtedy w drzwiach, z podejrzaną radością wypisaną na twarzy i uśmiechem „nic się nie stało”, i od razu się domyśliłem, że coś jest nie tak.

– Gdzie byłaś?

– Poszłam do sklepu – powiedziała.

– Aha.

– Tak. Po mleko.

– Aha, to dobrze.

– Tak.

– Pyszne musiało być to mleko – uśmiechnąłem się. – Przepyszne, najlepsze na świecie, skoro w drodze do domu, przechodząc dwadzieścia metrów, zdążyłaś je wypić i zjeść karton.

Nic nie odpowiedziała.

– Tym bardziej że jesteś uczulona na mleko.

Spuściła głowę.

– Co zrobiłaś, mamó?

Podniosła wzrok, popatrzyła na mnie oczami jak spodki i przycisnęła dłoń do piersi.

– Ja? Nic.

Wzięłem głęboki wdech.

– Jak to nic? Proszę cię, mamó.

Sapnęła ze zniecierpliwieniem.

– No dobrze, może coś zrobiłam – przyznała w końcu, omiatając przelotnym spojrzeniem stół w salonie.

Podążyłem za jej wzrokiem i zrozumiałem: faks nadal tam leżał. Zniknął za to pozew rozwodowy.

– Mamó, co ci przyszło do głowy...? – Mama patrzyła na mnie z takim smutkiem, że od razu domyśliłem się odpowiedzi.

– Może kiedy twój tata zobaczy, że mam dobre zamiary, jeszcze to sobie przemyśli i zacznie żałować... Wiesz, jaki on jest – powiedziała, wzruszając ramionami. – W głębi duszy jest dzieckiem. Nie jest złym człowiekiem. On po prostu... taki już jest.

Miałem ochotę krzyknąć, że doskonale wiem, jaki on jest, podobnie zresztą jak inspektorzy Urzędu Skarbowego, którzy próbowali mu pomóc. Podobnie jak przedstawiciele sieci komórkowych i telefonicznych czy sprzedawcy z salonów samochodowych, nie wspominając już o wszystkich znajomych, którzy poręczyli za niego przy okazji któregoś oszustwa i o których on, rzecz jasna, potem zapomniał. Miałem ochotę nią potrząsnąć i powiedzieć, że wszyscy, oprócz niej, o tym wiedzieliśmy, bo wszyscy, w mniejszym czy większym stopniu, byliśmy ofiarami tego chorego na umyśle człowieka, który widział tylko czubek własnego nosa. Wydała mi się jednak tak bezbronna i maleńka, kiedy tak stała w drzwiach wejściowych, że podniosłem się, objąłem ją i próbując przypomnieć sobie jakieś zaklęcie, które mogłoby odstraszyć demona, w jakiego Silvia się zamieni, kiedy tylko się dowie, że mama odesłała tacie podpisane dokumenty i skazała samą siebie na wolność, która drogo będzie ją kosztowała, szepnąłem:

– Jasne, mamó. Jasne.

Spojrzała na mnie z wyrazem ulgi, pocałowała i powiedziała:

– Trzeba przecież dawać ludziom drugą szansę, prawda?

Siedem

Nikt z nas się nie spodziewał, że Olga zagości w naszym życiu na dłużej. W dniu oficjalnego poznania mama, za radą Ingrid, postanowiła, że lepiej będzie pójść na kolację do restauracji niż wydać ją w domu, gdyż, cytując: „Na pewno nie pomoże biedaczce towarzystwo twojej siostry i wujka Eduarda i ta niezawisła atmosfera”, powiedziała mi przez telefon. Domyśliłem się – i miałem nadzieję – że „niezawisła” było tylko przejęzyczeniem, które ostatnio zdarzały jej się coraz częściej, a nie zapowiedzią tego, co miało nastąpić. Z wyborem restauracji nie mogliśmy chyba gorzej trafić. Silvii przyszło do głowy, że najodpowiedniejszym na tę okazję lokalem będzie Kastylijski Grill. „Wspaniałe miejsce z przepysznym jedzeniem. Niektóre stoliki stoją trochę na uboczu, więc przynajmniej będziemy mogli zjeść w spokoju. Zajmę się rezerwacją. Ludzie z pracy uwielbiają tę knajpę”, oznajmiła, nie dopuszczając słowa sprzeciwu. „Jeśli szybko się uwiniemy, to możemy skoczyć gdzie indziej na kawę”, dodała wielkodusznie.

Restauracja, której daleko było do wspaniałości, rzeczywiście okazała się zaciszna, a to dlatego, że oprócz nas nie było w niej nikogo. Główna sala, w której unosił się zapach środków czystości, była tak wielka i pusta, że nasze głosy odbijały się echem od kamiennego sufitu, jakbyśmy byli na średniowiecznym pogrzebie. Pod względem wystroju – obrusy obszyte tergalowymi koronkami, kelner z tupecikiem zjedzonym przez mole i energooszczędne żarówki – nie ustępowała w niczym podrzędnym przydrożnym zajazdom. Z głośników sączyła się przesłodzona i metaliczna wersja piosenki *Europe is Living a Celebration*, śpiewanej kiedyś na Eurowizji przez Rosę z Hiszpanii, którą mama – miłośniczka *Fabryki Gwiazd* i innych telewizyjnych konkursów, w których występują poniewierane przez życie dziewczynki z ubogich dzielnic, mające szansę, po wielu tygodniach walki i płaczu, stać się gwiazdami muzyki pop – przywitała szerokim uśmiechem.

– O, jak tu... mmm... swojsko – skłamała, gdy kelner podawał nam przystawki będące rzekomo „kastylijskimi tostami z purée z kawioru z bakłażana”, na których widok wujek Eduardo szczerze się przeraził. Już miał je skomentować, kiedy nagle pod jednym z kamiennych łuków zobaczyliśmy Olgę i Emmę, przez co temat przystawek zszedł na dalszy plan.

Tak oto Olga pojawiła się w naszym życiu.

Włosy, z pasemkami w kolorze ni to czarnym, ni to brązowym, zebrane w małe kok. Zadarty nos. Szczupła sylwetka. Niski wzrost. Perły, obcasy, torebka Louisa Vuittona i zegarek Gucciego. Uśmiech agentki ubezpieczeniowej. I ten głos...

Przedstawiamy się sobie. Całujemy w policzki. Emma jest spięta. Mama, która chce, żeby wszystko wyszło jak należy, zaczęła ze zdenerwowania wymachiwać rękoma jak skrzydłami od wiatraka i siadając, potrafiła butelkę wina, której zawartość rozlała się na obrus, jak wielka, jątrząca się rana. Silvia wymieniła spojrzenia z wujkiem Eduardem. Emma uśmiechała się błogo, urzeczona Olgą, jej głosem, gestami i nieśmiesznymi komentarzami, a cała reszta, w tym również my, zamieniła się dla niej w zwykły wygaszacz ekranu.

Nie będę rozpisywał się na temat samej kolacji; wspomnę tylko, że restauracja serwowała głównie potrawy z grilla, a Olga, o czym Emma nas nie uprzedziła, była wegetarianką. W menu, pełnym ilustracji i szczegółowych informacji o najbardziej krwistych częściach krowy, wołu i prosięcia, jakie tylko można sobie wyobrazić, nie było prawie żadnych innych dań. Emma próbowała się usprawiedliwić.

– Miały być dania z grilla, więc myślałam, że będą też warzywa – powiedziała, wzruszając ramionami.

W pewnym momencie perły niedorzeczności z naszyjnika Olgi zaczęły spadać, jedna za

drugą, a Silvia ochoczo wzięła się do zbierania ich wszystkich z obrusa, nawlekając je na żyłkę, z czasem coraz dłuższą i dłuższą, którą przechowuje do dziś jak skarb, gotowa w każdej chwili wytoczyć działa ciężkiej artylerii.

Olga od samego początku określała siebie jako kobietę „z zasadami”, czyli mówiąc inaczej, kobietę, której zasób słownictwa nie uwzględnia takich słów jak „tak”, „oczywiście”, a już zwłaszcza „być może”. Olga mówi „właśnie tak”, jak pekińczyk odpowiadający na polecenia swojego tresera szczeknięciem, zwracając się tak zapewne do klientów, których obsługuje w okienku, w godzinach od ósmej do czternastej, z mechanicznym uśmiechem panienci bez skazy.

Podczas kolacji na pytanie „dolać ci trochę wina?” Olga odpowiadała krótkim „właśnie tak”. Kiedy mama zagała: „Emma mówiła, że jesteś z Saragossy. To miasto jest takie... aragońskie”, czym próbowała wciągnąć ją do rozmowy, ona ucięła temat kolejnym „właśnie tak”. A kiedy wujek Eduardo, który od samego początku nie mógł oderwać wzroku od jej ogromnych, rzucających się w oczy piersi, zapytał: „Nie jest ci za gorąco?”, spojrzała na niego, wykrzywiła usta i zapinając ostatni guzik koszuli gestem zakonnicy, odpowiedziała: „Właśnie tak, co do pytania. Nie, co do sugestii”.

Kiedy podano nam przystawki, dowiedzieliśmy się, że Olga pracowała, i nadal pracuje, w kasie oszczędnościowej. Silvia spytała ją o pracę z ciekawością, która nie miała nic wspólnego ze szczerym zainteresowaniem – zależało jej raczej na powiększeniu swojej kolekcji pereł, rozdawanych nieświadomie przez Olgę w najmniej oczekiwanych momentach – a ona odpowiedziała z powagą:

– Pracuję w sektorze bankowym.

Silvia podniosła brew.

– Aha... znaczy się w banku?

I wtedy Olga popełniła niewybaczalny błąd.

Chciała być zabawna.

– Tak, w banku – powiedziała i przechyliła lekko, niemal kokieteryjnie, głowę. – To takie miejsce, gdzie ludziom ułatwia się życie, troszcząc się o ich oszczędności i zapewniając im dostęp do dobrobytu, którego inaczej by nie zaznali – wyrecytowała jak gadająca papuga.

Nikt się nie roześmiał. Wujek Eduardo pokiwał tylko głową i patrzył z zadowoleniem na śmiejącą się Olgę i wszystko, co falowało między jednym jej ramieniem a drugim.

Silvia oparła się łokciami o stół i posłała jej uśmiech, który nam nie pozostawił żadnych wątpliwości – Olga miała swojego pierwszego wroga.

– Jakie to interesujące – powiedziała. – I kreatywne.

Olga napuszyła się jak paw, nie dostrzegając ostrego jak brzytwa tonu Silvii, i odchrząknęła.

– Pozwól, że ci powiem, że bankowość jest sektorem dużo bardziej kreatywnym, niż może się wydawać – powiedziała i posłała Silvii profesjonalny uśmiech, po czym przebiegła wzrokiem po stole. Emma wpatrywała się w nią jak zaczarowana. – Codzienny kontakt z klientami uczy człowieczeństwa i szczodrości. Pozwól też, że ci powiem, że wpływ, jaki człowiek ma na najbliższą przyszłość swoich bliźnich, sprawia, że staje się bardziej... – lekkie chrząknięcie – ludzki.

Mama popatrzyła na nią, jakby właśnie wyszła z sesji reiki dla pomyleńców prowadzonej przez Ingrid, a na przystanku autobusowym spotkała Yodę z *Gwiazdnych wojen* we własnej osobie. Ucieszyła się. Szczerze się ucieszyła. „Człowieczeństwo” i „szczodrość” w ustach Olgi były dla jej uszu jak balsam.

– Święta racja, święta racja – powiedziała i włożyła sobie do ust kawałek krokiecika. –

Nie wiem, co byśmy poczęli bez banków. – Siedząca przed nią Silvia zrobiła taką minę, że mama zawahała się przez sekundę i zastygła z połówką krokiecika w dłoni. – Jose, chłopak, który zawsze mnie obsługuje w placówce pod domem, ma naprawdę anielską cierpliwość – ciągnęła dalej. – Opowiadał mi ostatnio, że chociaż wylądował na wózku, przez problemy z nogami, to dwa razy w tygodniu jeździ do schroniska dla zwierząt, żeby wyprowadzać psy. Poza tym dzisiaj, kiedy rozmawiałam z Ingrid...

Uciszyłem ją krótkim „mamo, podasz mi krokieciki?”.

Co tu dużo mówić, kolacja nie zaczęła się najlepiej. Pierwsze danie było tylko przerywnikiem katastrofy, z zakochaną i niezdarą Emmą, i starającą się, aż do przesady, mamą, przypominającą nagle matkę z amerykańskich filmów puszcanych w niedzielne popołudnia, która bez przerwy piecze babeczki z okropnościami z zielonego i różowego lukru na wierzchu, troszczy się o swoich najbliższych i nie wie, że ci ukrywają przed nią prawdę o swoim życiu, które wcale nie jest takie różowe i przesłodzone jak jej wypieki.

Gdy czekaliśmy na drugie danie, pograżyliśmy się we wrogim milczeniu, którego nikt nie potrafił przerwać. Mama, w imię pojednania, podjęła wtedy swoją krucjatę. Zdążyła wypić trzy kieliszki wina i w pewnej chwili, znienacka, odwróciła się do Olgi i zapytała, jakby podejmowała przerwany wątek:

– Fajnie, co?

Olga popatrzyła na nią z zaskoczoną miną. Mama zmarszczyła brwi i spojrzała na Emmę, która posłała jej uśmiech.

– Fajnie...?

Mama, lekko podpita, parsknęła śmiechem, a Silvia kopnęła mnie pod stołem.

– Tak, kochana – wyjaśniła mama. – Fajnie, że jesteś lesbijką, i w ogóle.

Olga zaniemówiła. My zresztą też.

– No bo gdybyś nią nie była, to nie byłabyś dziewczyną Emmy, prawda? Chi, chi, chi. – Olga chrząknęła znacząco i spojrzała na nią zniecierpliwiona. Chciała coś powiedzieć, ale mama ją uprzedziła. – Dobrze robisz. Ja, gdybym znowu się urodziła, to chciałabym być taka jak wy. Naprawdę. Znalazłabym sobie przyjaciółkę do chodzenia do kina i do kawiarni, z którą mogłabym się dzielić sekretami. Pewnie, że tak. Tylko bez ściągania majtek. Bo jedynym plusem męża jest to, że nie zakłada twojej bielizny. Oczywiście jeżeli wszystko z nim w porządku, dziwaków jest przecież na pęczki – powiedziała i utkwiała we mnie wzrok. W tym momencie zadzwonił telefon wujka Eduarda, a on odebrał i wyszedł porozmawiać na zewnątrz. Silvia wykorzystała tę okazję, żeby pójść do łazienki. Kiedy obydwójce zniknęli z horyzontu, mama położyła Oldze rękę na ramieniu i wyznała głosem matki-teściowej: – Kochanie, tak się cieszę, że nasza Emma w końcu znalazła sobie taką dziewczynę jak ty, taką ładną i z takimi długimi włosami, perłami, biustem jak należy i z torebką... – Odsunęła się, żeby lepiej jej się przyjrzeć, i pokiwała głową kilka razy. – Wiem, że może nie powinnam tego mówić, ale po ulicy biega tyle różnych straszdeł, że ty jesteś prawdziwym prezentem od losu. – Przerwała na chwilę, żeby napić się wina, następnie spojrzała znowu na Olę i przyglądając się jej uważnie, powiedziała: – Chociaż tak jak teraz na ciebie patrzę, to... mmm... nie wyglądasz mi na lesbijkę.

Olga zacisnęła palce na obrusie, ale nie przestawała się uśmiechać.

– Przed dwoma laty rozwiodłam się z mężem – stwierdziła głosem wyniosłej damy. – Nie wiem jeszcze do końca, czy jestem lesbijką...

– Ja też, kochana – przerwała jej mama i poklepała ją przyjacielsko po plecach. – Spokojnie, przy nas możesz być sobą. Jesteś wśród swoich. Nasza rodzina jest bardzo otwarta. Jeśli lubisz majteczki, to lubisz majteczki, i koniec.

W tym momencie Olga zerwała się na równe nogi, jakby coś ją ugryzło, i powiedziała

ziyrtowanym tonem:

– Idę na chwilę do łazienki.

Mama dołała sobie wina. Potem odstawiła butelkę, wzięła do ręki kieliszek i zdała sobie sprawę, że jej syn i młodsza córka nadal siedzą za stołem i wpatrują się w nią w milczeniu. Nagle jakby zauważyła wiszące w powietrzu napięcie i uciekła się do sposobu, którego się chwytła, od kiedy wyzwoliła się od czujnego spojrzenia taty. Mocząc usta w winie, powiedziała:

– Nie uwierzycie, ale wczoraj tak się nudziłam, że aż łyknęłam valium.

Dalsza część kolacji wcale nie była lepsza. Po zjedzeniu kilku królików, z biciu przez mamę dwóch butelek wina i paru granatach rzuconych z okopów Silvii prosto w bankowy bunkier Siostry Pozwól, Że Ci Powiem, Emma i Olga poszły do domu jako pierwsze, a my siedzieliśmy w milczeniu, dopóki kelner nie przyniósł nam kawy i kieliszka czegoś mocniejszego dla wujka Eduarda.

Silvia wypila kilka łyków swojej

„kawy-bezkofeinowej-z-ekspresu-z-mlekiem-sojowym-w-temperaturze-pokojowej-i-bez-cukru-dziękuję-chyba-że-macie-cukier-trzcinowy”.

– Mmm... – zagała, po czym odchrząknęła i złożyła usta w dzióbek, zupełnie jak Olga. – Pozwól, że ci powiem, skarbie, że ta jeszcze zdąży uprzykrzyć nam życie. I to bardzo.

Mama westchnęła i przewróciła oczami, a potem stwierdziła pojednawczym głosem:

– Nie bądź taka, córciu. Mnie tam ona się wydała... taka... hm... sama nie wiem... tak jakby... humanistyczna.

Silvia popatrzyła na nią i się skrzywiła.

– Humanistyczna? – zapytała z niedowierzaniem. – Mamo, nie gadaj głupot, proszę cię.

Mama zrobiła zniecierpliwioną minę.

– No dobrze, to jak nazwać osobę, która ładnie mówi, jest dobrze wychowana i...? Która po prostu umie się zachować w towarzystwie?

Silvia zapaliła papierosa, zaciągnęła się dymem, zacisnęła lekko szczęki i podsumowała ze znużeniem:

– Okropna. – Po czym dodała: – Co za wstrętne dziewczyszko.

Wujek Eduardo się roześmiał i wtrącił swoje trzy grosze:

– Może gdyby tak się nie zapinała pod samą szyję...

Silvia natychmiast podchwyciła jego słowa:

– Zgadzam się, wujku, w zupełności. – A potem, przechylając lekko głowę i mrużąc oczy, jakby nad czymś się namyślała, dodała: – Może gdyby tak się nie zapinała albo tyle nie mówiła, albo nie miała głosu nauczycielki francuskiego z liceum zakonnego, albo gdyby się nie śmiała, jakby ktoś wsadził jej zatemperowany ołówek w... coś. – Wujek Eduardo spojrział na nią z uniesionymi brwiami. – Po prostu – podjęła wątek Silvia – gdyby nie była sobą, to może i byłaby dla niej jakaś nadzieja, ale ta kobieta jest sobą aż za bardzo, a doświadczenie osobiste i historia powszechna pokazują, że z kobietami, które są sobą aż za bardzo, nie da się już nic zrobić. I koniec.

– A ja uważam, że powinniśmy dać jej szansę – powiedziała mama, która bawiła się okruszkami chleba zbieranymi z obrusa. – Antón Reynaldo, szaman Ingrid, mówi, że za każdym razem, gdy odtrącamy kogoś, kto puka do naszych drzwi, to tak jakby... mmm... trochę jakby bocian uderzył w wieżę kościelną i upuścił zawiniątko z dzieckiem, a matce, która z nadzieją czeka na nie w domu, w otoczeniu wszystkich rzeczy, które kupiła, nowej kołyski i pieluszek z marketu, zrobiło się tak... przykro, a potem...

Spojrzelśmy na nią we trójkę. Ciągnęła swój wywód i usiłowała ulepić z okruszków figurkę przypominającą miniaturowego bałwana, dopóki nie zorientowała się, że przy stole

zapadło grobowe milczenie, i nie podniosła głowy.

– Chodzi mi o to, że wszyscy zasługują na drugą szansę.

Silvia spięła się jak kobra.

– Nie – przerwała jej z lekkim syknięciem. – Nie wszyscy. – I patrząc na nią morderczym wzrokiem, dodała: – I akurat ty, mamó, powinnaś coś o tym wiedzieć.

Znowu zapadła cisza. Choć od rozwodu minął ponad rok, Silvia nadal czuła się zraniona, bo to jej właśnie przypadła w tym wszystkim najgorsza rola. Jej rany nie zdążyły się jeszcze zagoić. Tydzień po rozmowie telefonicznej, którą odbyła z Atlanty z mamą, spotkała się z tatą, żeby mu wygarnąć i oznajmić, że to, co robi mamie, jest zwykłym świństwem i że nie ujdzie mu to na sucho. Tata, podejrzanie cierpliwy i ugodowy, pozwolił jej się wykrzyczeć, a kiedy Silvia skończyła swoją płomienną mowę, ozdobioną kilkoma perełkami, które od niepamiętnych czasów nosiła w plecaku, popatrzył na nią z uśmiechem mężczyzny przyzwyczajonego do oszukiwania w grze, w sypialni i przy stole, po czym włożył rękę do kieszeni marynarki i wyciągnął z niej kopertę z logo kancelarii swojego adwokata. Silvia wzięła kopertę, otworzyła ją, wyjęła to, co było w środku, i gdy tylko na pozwie rozwodowym ujrzała podpis mamy, zbladła.

Z perfidią, którą znaleźliśmy na wylot, odczekał, aż Silvia przejrzy pozew, dokończył swoją kawę i powiedział z lekkim uśmiechem:

– Widzę, że nigdy się nie nauczysz. – Potrząsnął głową i cmoknął językiem. Na jego ustach pojawił się teraz półuśmiezek dandysa z serialu najgorszej kategorii. – Zawsze stawiasz na przegranych – powiedział. – Szkoda.

Silvia wymierzyła mu wtedy policzek i zionęła ogniem:

– Idź do diabła!

I wyszła.

Dwa dni później poszedłem z nią do urzędu. Chciała zmienić kolejność swoich nazwisk tak, żeby we wszystkich dokumentach nazwisko mamy pojawiała się jako pierwsze.

Kiedy urzędniczka zapytała, czy ma ku temu jakiś istotny powód i czy chciałaby go uwzględnić w ustępie b-25/263C3 wniosku, Silvia popatrzyła na nią uważnie i powiedziała:

– Gdyby znała pani mojego ojca, nawet nie musiałaby pani o to pytać.

Kobieta przechyliła lekko głowę, wypuściła powietrze nosem i ze znudzoną miną przybiła na dokumencie pieczętkę.

– Dobrze, dobrze – skwitowała jej słowa. – Wszyscy tak mówią.

Po wyjściu z urzędu poszliśmy coś zjeść. Pałaszowaliśmy nasze kanapki i popijaliśmy je kawą z mlekiem, kiedy Silvia dostała od taty SMS-a: „Mam nową przyjaciółkę, Svetlanę. Jest to ostatnia wiadomość o moim życiu prywatnym, jaką wysyłam tobie i twojemu rodzeństwu. Do widzenia”.

Odprowadziłem Silvę do pracy. Szliśmy powoli, okrężną drogą, a nasza przechadzka powoli zamieniała się w ciszę przed burzą, która w końcu zawisła nad nami niczym brudna deszczowa chmura. Silvia przez całą drogę nie odezwała się ani słowem.

Przestała płakać dopiero przy wejściu do pracy. Pożegnaliśmy się, ale kiedy przekroczyła próg, dodała jeszcze odwrócona plecami:

– On wcale nas nie zostawił. – Wstrzymała na sekundę oddech, a potem powtórzyła: – Tata wcale nas nie zostawił. – Odwróciła się i z zaciśniętymi zębami oraz głosem pełnym czegoś, czego nawet nie miałem odwagi rozszyfrować, oznajmiła: – To my go zostawiliśmy.

Nie wiedziałem, jak zareagować. Ona popatrzyła mi w oczy, zwinęła dłonie w pięści i zmusiła się do smutnego uśmiechu. Uśmiechała się jak starsza siostra.

– To właśnie powiemy, jeżeli ktoś nas zapyta. Że to my go zostawiliśmy. Że dosyć tego,

że dłużej tak nie mogliśmy.

Wbijala we mnie wzrok, dopóki nie kiwnąłem głową.

– Dobrze.

Znowu się uśmiechnęła. A potem odwróciła się na pięcie i oddaliła korytarzem w kierunku windy.

Osiem

Noc jest ciepła. Na placu, na który można zeskoczyć z balkonu mamy, czuć przeplatające się, jak warkocze, podmuchy ciepłego i zimnego wiatru. Drewniane ławki przypominają w świetle latarni otwarte i puste kufry, a w dali widać mężczyznę spacerującego z psem. Mama, leżąc na łóżku i machając nogami, rozmawia przez telefon, przy włączonym radiu, z Ingrid, która jak na prawdziwą Skandynawkę przystało, dzwoni do niej codziennie – trzysta sześćdziesiąt pięć dni w roku – o tej samej porze. Silvia siedzi obok mnie w salonie i pali. Mnie spowija chmura dymu, którą wypuszcza z ust, ale zupełnie mi to nie przeszkadza.

– Jak żyjesz? – pytam po paru minutach ciszy przerywanej odgłosami klaksonów samochodów przejeżdżających w pobliżu. Wszyscy chcą uczcić Nowy Rok. Wcześniej zaczynają świętować.

Silvia nie patrzy na mnie i nie odpowiada od razu. Choć z początku wygląda, jakby puściła moje pytanie mimo uszu, podnosi wzrok i mówi:

– Nie mówiłeś chyba mamie, co?

Kręcę przecząco głową.

– Nie.

– Lepiej, żeby na razie nie wiedziała.

Siedzimy chwilę w ciszy wpatrzeni w niebo – ona pali papierosa, a ja czekam na dalszy ciąg. Nie sposób rozmawiać, kiedy człowiek wie, że wszelkie słowa, które nie dotkną sedna sprawy, będą tylko zbędnym szumem, hałasem. Dziurami do wypełnienia.

My po prostu tacy nie jesteśmy. Nigdy nie byliśmy. Ani ona, ani ja.

– Powiedziałaś o tym Peterowi? – pytam w końcu, patrząc nieruchomo za okno.

Wzrusza ramionami i wyrzuca papierosa przez balkon. Mam wrażenie, że spodziewała się tego pytania.

– Wiesz, myślałam nad czymś ostatnio – mówi.

Już miałem odpowiedzieć, że się cieszę, ale wybrałem milczenie, bo znam Silvię i wiem, że w jej przypadku wszelkie domysły zawsze okazują się błędne. To samo zdanie wypowiedziane przez kogoś innego byłoby synonimem czegoś niedookreślonego, jak „coś mi przyszło do głowy”, „wpadłam na pewien pomysł” lub nawet „ciągle zastanawiam się, czy nie dałoby się czegoś zmienić”, ale w ustach Silvii wypowiedziane słowa znaczą dokładnie to, co znaczą – ni mniej, ni więcej. Trzeba uważać.

– I?

Patrzy na mnie. W końcu.

– I... i nic. – Jej twarz ukryta jest w cieniu. – Tak tylko sobie myślałam.

– Aha.

Mężczyzna z psem na smyczy zmierza w naszą stronę, okrąża plac zabaw dla dzieci wyłożony czerwonym, miękkim materiałem, chroniącym przy upadku kolana, na którego środku spoczywa żelazny potwór złożony z huštawek, zjeżdżalni i drabinek. Jego pies jest mały, biały i kulawy. Mężczyzna spaceruje powoli, równa swój krok z krokiem czworonoga. Co kilka sekund odwraca się do niego i mówi coś cichym głosem.

– Potrzebuję jakiejś zmiany – wyrzuca w końcu z siebie Silvia. Wyciąga z paczki kolejnego papierosa i dodaje: – Muszę zacząć żyć inaczej. Inaczej... – ciągnie, nie odrywając wzroku od spacerowicza z kulawym psem. – Muszę zmienić otoczenie, ludzi, wszystko.

Nie wiem, co jej powiedzieć. Zapala papierosa i wyrzuca zapalną przez balkon. Widzimy, że pali się jeszcze przez kilka sekund na ziemi.

– Może powinnaś trochę poczekać – mówię. – Minęły dopiero dwa dni. Daj sobie więcej czasu.

Wypuszcza dym nosem.

– Brat, ja mam czterdzieści jeden lat – przerywa mi. – Czas jest właśnie tym, czego najbardziej mi brakuje.

– Czterdzieści jeden lat to wcale nie tak dużo.

– Ale tak właśnie się czuję od kilku dni. Przeżyłam czterdzieści jeden pustych lat.

– Nie mów tak.

Na przeciwległym końcu placu pojawia się dwójka ludzi zmierzających w naszym kierunku. Choć są jeszcze daleko, widać, że idą równym i szybkim krokiem, deptają smugi latarnianych świateł kładących się na ziemi jak kałuże białej wody.

– Wydaje mi się, że jak tylko porozmawiasz z Peterem, to spojrzysz na wszystko... nie wiem... z innej strony. Naprawdę, zobaczysz – mówię, patrząc na zbliżającą się parę. – Musisz to z siebie wyrzucić. Peter jest przecież twoim chłopakiem.

Ona również wpatruje się w maszerującą parę i przez kilka sekund zwleka z odpowiedzią. Potem odwraca się do mnie i wyznaje:

– Petera już nie ma.

Potakuję głową.

– Wiem – oznajmiam. – Ale za kilka dni wróci. Zobaczysz, że jak tylko z nim porozmawiasz, to wszystko się ułoży.

Para jest coraz bliżej nas. Mija plac zabaw i drewniane ławki, na których w ciągu dnia rozsiadają się emeryci szukający promieni słonecznych i towarzystwa. Widzimy ją teraz dokładnie. Dwie kobiety.

Emma i Olga.

– Nie – mówi Silvia i kręci przecząco głową, świdruje mnie spojrzeniem. W jej błyszczących oczach odbija się mozaika świateł ulicznych latarni. – Nie rozumiesz.

– Pewnie, że rozumiem – odpowiadam. Słyszę w swoim głosie wyrzut. I zmęczenie. Zmęczenie tym, że kobiety w tej rodzinie najpierw traktują mnie jak wspierające ramię i ścianę płaczu, do której schodzą się w poszukiwaniu pociechy i zrozumienia, a potem jak dziecko, które niczego nie pojmuje, bo jest jeszcze za małe. – Nie ma tu nic do rozumienia.

Kiedy para pokonuje ostatni dzielący ją od nas odcinek, widzę, że ręka, w której Silvia trzyma papierosa, drży, a jej oczy są lekko zmrużone, jakby ją piekły. Mruga kilka razy powiekami i mówi niemal szeptem:

– Chodzi o coś więcej. – Ton jej głosu, białe światło latarni padające na jej rude loki i cisza, która wkrada się między te cztery słowa, upewniają mnie, że rzeczywiście chodzi o coś więcej, o coś większego, mroczniejszego i trudniejszego do wyznania. Ciśnie mi się na usta wiele pytań: „Dlaczego w naszej rodzinie niczego sobie nie mówimy? Dlaczego nie potrafimy dzielić się porażkami? Ze wstydu? Ze strachu? Dlaczego?”. Ale chciałbym przekazać jej naraz dużo więcej: że jestem przy niej, że ja też wiele rzeczy wolę przemilczeć i że wiem, że niektóre wyznania nie brzmią dobrze – nawet jeżeli jesteśmy rodzeństwem – gdyż wyrażają sobą zbyt dużo, pobrzmiwa w nich echo zbyt wielu wspólnych nam wszystkim rzeczy. – Peter już nie wróci – mówi i zamyka oczy. Odczekuje chwilę i powtarza, jakby bała się, że mogłem nie dosłyszeć: – Nie wróci. Nigdy.

Pod balkonem, dosłownie pod naszymi stopami, dwie maszerujące postaci zatrzymują się i podnoszą głowy. Olga się uśmiecha i pozdrawia nas ręką:

– Juhuuuu! Już jesteśmy!

Silvia posyła mi mordercze spojrzenie, zaciska zęby i wyrzuca papierosa, który kreśli nad

Emmą i Olgą mały ognisty łuk. Potem otwiera zasuwane drzwi do salonu mamy, za którymi szczerkają Max i Shirley, i mówi, odsuwając ręką zasłonę:

– Pójdę otworzyć, a ty udobruchaj swoją bestię. Niech z łaski swojej przestanie tak ujadać. – Zatrzymuje się w drzwiach i odwraca z nerwowym uśmiechem na ustach; w tle słychać wybuchy śmiechu mamy i głos spikerki radiowej. Silvia puszcza do mnie oko: – Albo polej ją wodą. I to najlepiej wrzącą.

Kiedy spoglądam w dół, widzę, że twarz Olgi, wybielona światłem księżycy i latarni, przypomina dziwną, zaskakującą mapę. Dostrzegam w niej, a przynajmniej tak mi się zdaje, radość, dopasowaną do futra z królika i oczu błyszczących jak u nocnego zwierzęcia. Przypomina mi się komentarz mamy i nie mogę powstrzymać myśli, że jej podejrzenia, nie pierwszy raz zresztą, są nie tylko bezpodstawne, ale wręcz błędne.

I właśnie wtedy, kiedy moje oczy przyzwyczyły się do ciemności panującej na balkonie, dostrzegam coś, czego nigdy wcześniej nie widziałem – zresztą nie tylko ja – i myślałem, że już nigdy nie zobaczę.

Emma i Olga trzymają się za ręce.

„O matko”, przychodzi mi tylko do głowy, bo nagle zaczynam zdawać sobie sprawę, że Olga i Emma, spowite nieoczekiwaną poświatą, która w niczym nie przypomina ołowianych, niepozwalających swobodnie oddychać chmur zbierających się nad Silvią, przyszły tej nocy do mieszkania mamy, by świętować coś, o czym reszta nie miała jeszcze pojęcia. Na radarze mojego umysłu rozbłyska kolejne światełko i pojmuję naraz, że tej nocy miesza się energie i uczucia tak odmienne i tak długo tłumione, że może – i tylko może – to, na co mama czekała tyle czasu, ta wymarzona noc niezmaconego niczym spokoju, okaże się małą plażą, do której przybiły niespodzianie szczątki wielu wraków, niczym kufry pełne intymności, mokrej bielizny i wiadomości w butelkach.

A razem z nimi rozbitkowie ocalali z katastrofy.

– Otworzysz nam? – pyta Emma, podnosząc głowę i patrząc mi przez kilka sekund w oczy.

O, właśnie tam! I właśnie to – ten dziwny błysk w oku, skrywany półuśmiech, który pamiętam jeszcze z dzieciństwa, niby nieśmiały, a zarazem mówiący:

„Mam-tajemnicę-i-jestem-szczęśliwa-i-nie-wiem-ile-jeszcze-wytrzymam-żeby-jej-wam-nie-zdrazić”.

Jej uśmiech, jej dłoń w dłoni Olgi i butelka cavy, którą trzyma w ręku.

„Będzie się działo”, myślę w duchu i w tym momencie słyszę kolejne wybuchy śmiechu dobiegające z sypialni mamy, po czym mówię:

– Silvia wam otworzy.

Słychać dźwięk domofonu i głos Silvii:

– Już?

Olga i Emma znikają mi na chwilę z pola widzenia, wchodzą do klatki schodowej.

Ostatnią rzeczą, jaką usłyszę, zanim metaliczne brzęczenie szyby w zamykających się za nimi drzwiach zakłóci panującą na placu ciszę, będzie donośny i dziwnie podekscytowany głos Olgi.

– Właśnie tak – mówi.

Potem zapada cisza.

Dziewięć

Emma.

Trochę ponad rok temu ona i Olga doszły wspólnie do wniosku, że są zmęczone życiem w mieście.

– Wyjeżdżamy na wieś – oznajmiła w dniu urodzin Silvii Emma, z tym swoim przytłaczającym spokojem, z jakim zawsze zrzuca na nas wiadomości bomby,znaczające nie tylko jej życie, lecz także nasze. W tym akurat przypomina tatę. Obce są bowiem, im obojgu, podstawowe zasady komunikacji, a prawda – która kosztuje ich tyle, że zazwyczaj zdobywają się na nią w najbardziej nieodpowiednim momencie, czym wywołują ogólne zamieszanie – jest niczym kamień, który uderza o tafłę spokojnej wody i tworzy fale. Niektóre z nich nie dopływają do brzegu, ale inne zmiatają wszystko, co napotkają na swojej drodze.

– My? – zapytała Silvia z uniesioną brwią. Właśnie przyniosła z kuchni upieczony przez siebie tort czekoladowy będący zapowiedzią problemów z woreczkiem żółciowym.

Mama wyciągnęła szyję jak struś i zastygła z kanapeczką z łososiem w dłoni.

– Naprawdę? – krzyknęła dziecinnym głosem, a twarz jej się rozjaśniła. – Wyjeżdżamy na wieś?

Peter oderwał się na chwilę od ekranu swojego iPada i popatrzył na nas pustym, niewidzącym wzrokiem, którym zaszczycał nas w tych rzadkich chwilach, gdy spotykaliśmy się wszyscy razem. „Ten chłopak ma oczy martwego dorsza”, mawiał wujek Eduardo za każdym razem, gdy ktoś z nas, niebędący Silvia, o nim wspominał. Chwilę później Peter zmarszczył czoło i tym swoim przeciągłym głosem zapytał:

– Juuusz jecieeeeicie?

„Boże”, pomyślałem, siedząc w fotelu obok wujka Eduarda, „jak to możliwe, że każde z nas żyje w zupełnie innym, równoległym świecie, a mimo to udaje nam się jakoś porozumieć?”. Była to jednak moja pierwsza i ostatnia myśl, gdyż mama upuściła akurat kanapkę na podłogę, a Silvia, na widok sucharka i plamy od sera na swoim perskim dywanie, zbladła jak ściana. Mało brakowało, a tort wypadłby jej z dłoni. Zaciśnęła jednak zęby i przełknęła ślinę.

– Nie przejmuj się, mamó – powiedziała, sztywna jak kłoda. – Zaraz to posprzątam.

Mama nie zwróciła na nią uwagi. Sama postanowiła zebrać kanapkę z podłogi, ale kiedy się po nią schylała, potrąciła łokciem butelkę coca-coli stojącą przy jej talerzu, a czarny gazowany potok zalał tacę z przystawkami. Silvia otworzyła szeroko oczy i zachwiała się na nogach. Siedzący przede mną Peter wrócił do swojego iPada, a ja przymknąłem powieki.

– Mamó, nie ruszaj się – zawarczała. – Bo przywiążę cię paskiem do kanapy.

– Chi, chi, chi – zaśmiał się wujek Eduardo pod nosem. – Paskiem... chi, chi.

Emma, na którą nikt nie zwracał już uwagi, podjęła przerwany wątek:

– Olga i ja... – Odwróciliśmy się wszyscy w jej stronę, a ona uśmiechnęła się nieśmiało.

– Postanowiliśmy otworzyć gospodarstwo agroturystyczne.

Mama wydała z siebie okrzyk radości i zaczęła klaskać w dłonie jak małe dziecko.

– Och, kochanie, tak się cieszę! Gospodarstwo w górach!

– Tak – przytaknęła Emma.

– Co za wspaniały pomysł! – cieszyła się dalej mama. – A będziecie mieć zwierzęta?

Oczywiście, że tak, ale ze mnie głuptas! Ja mogłabym wam przy nich pomagać – powiedziała, rozpędzając się. – Musiałybyśmy kupić kilka krów i kaczki, bo kaczki są takie... mmm... takie sympatyczne, prawda? Z tymi swoimi piórkami i małymi kaczuszkami w rządku... Aha, i jeszcze staw, ale taki prawdziwy, nie żaden z plastiku, co to wygląda jak ogrodowa wanna, bo zwierzęta

wiedzą, kiedy są w nienaturalnym środowisku, i wpadają w depresję. Są takimi samymi stworzeniami jak my – podsumowała, mierząc każde z nas wzrokiem i potakując głową. Nagle położyła sobie rękę na sercu, jakby właśnie zdała sobie z czegoś sprawę: – Och! Ale... A macie już kogoś do prac na roli? Bo to, kochanie, zasadnicza sprawa. Wyobraź sobie, że Ingrid opowiadała mi ostatnio...

Silvia, która nadal stała z tortem w ręku, wywróciła oczami i jęknęła zrozpaczona.

– Mamo – powiedziała, siląc się na spokój. – To ma być gospodarstwo agroturystyczne, a nie *Domek na prerii*.

Wujek Eduardo roześmiał się, ale Silvia przeszła go morderczym spojrzeniem, więc natychmiast zamilkł. Mama westchnęła i skrzyżowała ramiona na piersi.

– Ale ty jesteś – powiedziała i spuściła głowę. – Ja tylko chciałam pomóc.

– I jesteśmy ci za to bardzo wdzięczni, mamo – powiedziała Silvia, uśmiechając się kwaśno. – Naprawdę.

Emma opowiedziała nam później, jak to wraz z Olgą znalazły „prawdziwą okazję, w cudownej okolicy” w Pirenejach i że „po długich przemyśleniach” zdecydowały się zaryzykować i zmienić bieg swojego życia, wyprowadzając się tam we dwójkę. Po jakimś czasie dowiedzieliśmy się, że „długie przemyślenia” zajęły im dokładnie trzy dni i że „prawdziwa okazja w cudownej okolicy” to walące się domisko na obrzeżach wymarłego, omijanego szerokim łukiem nawet przez spekulantów miasteczka, do którego dojeżdżało się polną, nienaprawianą od ponad czterdziestu lat drogą.

– Będziemy wynajmować pokoje, a ja zajmę się prowadzeniem całego domu – powiedziała Emma.

Mama zamrugła i zmarszczyła brwi.

– A co z twoim liceum? – zapytała. – Poprosisz o przeniesienie czy...?

Emma uśmiechała się, uradowana i gotowa do zrzucenia drugiej bomby.

– Nie – oznajmiła, szczerząc zęby. – Poprosiłam o urlop. Na razie tylko na rok, ale jeżeli wszystko pójdzie zgodnie z planem, to już nigdy nie będę musiała uczyć w szkole.

Wymieniliśmy spojrzenia; przez chwilę panowała kompletna cisza. Wujek Eduardo podniósł tylko brwi i odchrząknął. Mama dołała sobie coca-coli, przy czym rozlała odrobinę na obrus, a Silvia zbliżyła się powoli do stołu i położyła tort daleko od mamy.

– A... Olga? – zapytała, nie odrywając oczu od swojego wypieku.

– Dostała przeniesienie – odpowiedziała Emma.

Silvia skinęła głową i się skrzywiła.

– Banki takie właśnie są – rzuciła. – Takie szczodre i...

Emma odpowiedziała jej uśmiechem.

– My jesteśmy zadowolone.

Faktycznie. Ku zaskoczeniu wszystkich – nawet jeżeli żadne z nas nie powiedziało tego na głos ani wtedy, ani w ciągu kolejnych tygodni oczekiwania, aż pomyśl ten, podobnie jak wiele wcześniejszych niedorzecznych pomysłów Emmy, do których zdążyła już nas przyzwyczać, nie wypali – czas przyznał jej rację. Emma, zachwycona, że po tylu latach w końcu udało jej się uwolnić od nastoletnich potworów z ubogich dzielnic, którym próbowała wbić do mózgowic, że Delhi wcale nie jest nazwą kolejnej aplikacji na telefon, z zapalem zabrała się do prac murarza, rolnika, ogrodnika, hodowcy kotów, recepcjonisty, animatora kultury, praczki, instruktora raftingu i złotej rączki; Olga zaś, zmieniona nagle w królową oddziału banku, znajdującego się w sąsiednim, cuchnącym gnojem miasteczku, ubrana w płaszcz z jakiegoś martwego zwierzęcia, w botkach Geoxa, z perłami na szyi i przylizanymi włosami, obdarowywała miejscowych gospodarzy i emerytów swoimi „pozwoł, że ci powiem” i „właśnie tak” zza jedyne

działającego w placówce okienka.

I tak właśnie zaczęła się przygoda z Tarusią, czyli domkiem ochrzczonej tak przez Olgę. „Jak Tara, tylko że zdrobniona”, powiedziała nam z uśmiechem mistrzyni ceremonii, odsuwając aksamitną zasłonę i ukazując światu nazwę namalowaną na maleńkim kwadracie z zielonych kafelków. W ten sposób Olga i Emma stały się posiadaczkami jedynej w okolicy gospodarstwa agroturystycznego.

– Wcale nie gospodarstwa agroturystycznego... – sprzeciwiła się Olga i posłała mi jeden ze swoich zzaokienkowych uśmiechów, kiedy w dniu otwarcia usłyszała, jak radzę Emmie, żeby zamieściły ogłoszenie na jakimś portalu internetowym. Olga popatrzyła na mnie z miną wiejskiej nauczycielki i zakaszła ze śmiechem. – Tylko gospodarstwa z urokiem – poprawiła mnie.

I jakby chciała się upewnić, że dobrze ją zrozumiałem, dodała głośno i wyraźnie: – Z u-ro-kiem.

Silvia spojrzała na nią jak na żuka wspinającego się po firance, a Emma, która próbowała rozluźnić atmosferę i zapobiec katastrofie, powiedziała pojednawczo:

– Gospodarstwo agroturystyczne... mmm... urokliwe – rozstrzygnęła, po czym wyszczerzyła się od ucha do ucha. Mama skwitowała jej słowa kiwnięciem głową, a Silvia znudzoną miną i krzywym uśmiechem.

Kiedy Tarusia ruszyła pełną parą i pojawili się pierwsi goście, życie Emmy i Olgi – zwłaszcza Emmy – zmieniło się nie do poznania. Rzadko przyjeżdża teraz do Barcelony, a kiedy już to robi, to tylko po to, „żeby pozalatać kilka spraw”, jak sama mówi, na które składa się, między innymi, pójscie na mecz piłki nożnej czy wizyta u dentysty lub fryzjera, chociaż to ostatnie akurat przypomina bardziej wycieczkę do rzeźni – Emma upiera się, żeby strzyc sobie włosy w salonie w Carrefourze.

– Myją ci włosy i obcinają dosłownie za pół darmo – wyznała któregoś dnia, kiedy wraz z Silvią poszliśmy na obiad do baru wegetariańskiego. – Nie, przepraszam – sprostowała z zadowoleniem. – Nie myją ci włosów, tylko je moczą.

Silvia prawie się zakrztusiła pierożkiem z tofu, którego akurat jadła, ale Emma wyglądała na dumną ze swojej gospodarności.

– I ktoś ci je obgryza, żeby wyglądały tak jak teraz, czy mają akwarium z piraniami, do którego wkładasz głowę? – zapytała Silvia złośliwie. Mnie jej słowa rozbawiły do łez, ale Emma zrobiła zdziwioną minę.

– Nie... – odpowiedziała, zbita z tropu. – Tną je nożyczkami.

Emma wykorzystuje czasem wypadki do miasta, żeby kupić sobie, a przy okazji i Oldze, coś do ubrania, zwłaszcza: majtki, skarpety termiczne i staniki w rozmiarze uniwersalnym. Nabywa je za grosze na stoisku pewnego rumuńskiego Cygana, który na jej widok dziękuje niebiosom za swoje szczęście i daje jej na boku różne prezenty, jak breloczek z latarką i herbem Realu Madryt, radio-zapalniczkę, wygrywającą w południe hymn Rumunii, czy fałszywe opakowanie papierosów, zawierające talię kart z wydepilowanymi, wiadomo gdzie, Mulatkami.

Ta źle ostrzyżona kobieta – która za dwudaniowy obiad nigdy nie zapłaciłaby więcej niż kilka euro i która jeździ ponadpiętnastoletnim roverem o tak twardym zawieszaniu, że kiedyś musiała przykleić poduszkę na suficie nad miejscem kierowcy, żeby nie skręcić sobie karku na trasie sześciu kilometrów dzielących Tarusię od cywilizacji – w płaskich mokasynach i swetrach z lumpeksów, z twarzą usianą przedwczesnymi zmarszczkami, bo nie dało jej się przetłumaczyć, że w jej wieku kremy nie są już luksusem, tylko koniecznością, to właśnie nasza Emma. A przynajmniej Emma o obliczu A, jak mówi mama.

Istnieje jednak również oblicze B, które zna niewielu z nas.

Emma o obliczu B jest kobietą, która – od czasu tamtego pamiętnego popołudnia kilka lat temu, kiedy jej życie złamała na pół nieodbyta rozmowa telefoniczna, która wbiła ją w chodnik

jak żółte światło na przejściu dla pieszych – za wszelką cenę próbuje kochać, ale zawsze źle na tym wychodzi, bo jej własny upór każe jej dokonywać niewłaściwych wyborów, a ona mu się poddaje z tymi swoimi „tak, oczywiście”, „jak chcesz” czy „jakżeby inaczej” na ustach, gotowa niemal na wszystko, żeby tylko ktoś na nią spojrział – i ją zauważył. Emma o obliczu B jest tym, o czym zwykle nie mówi, bo kiedy to robi, opowiada o wszystkim w czasie teraźniejszym, jakby dalej siedziała w tamtej kawiarni, uwięziona w przeszłości, której nie sposób zmienić.

– Każdy człowiek jest, jaki jest, z jakiegoś powodu – mawiała babcia Ester, kiedy słyszała, że źle się o kimś wyrażamy, a na jej pytania „Wiesz, jaki był kiedyś? Wiesz coś o jego życiu? Wiesz?” odpowiadaliśmy milczeniem. Powiedzenie babci da się odnieść do Emmy i dlatego też tak łatwo przychodzi nam wybaczenie jej wszystkiego. Emma działa na przekór swoim brakom, zaślepiona ucieczką i bólem, w obliczu którego wszystko inne przestaje się liczyć, a my stajemy się maleńcy.

Rana Emmy ma na imię Sara. I mówię „ma na imię”, bo wszyscy wiemy, że Sara wciąż tu jest, nawet pomimo czasu, jaki upłynął, od kiedy jej nie ma. Sara jest obok, ale o Sarze się nie rozmawia, gdyż mówienie o niej byłoby mówieniem o zbyt wielu rzeczach naraz. Pamięć Emmy jest zaś sprana przez ból, wybielona. Gdyby ktoś ją zapytał, co dokładnie wydarzyło się tamtego popołudnia, co czuła, co poszło nie tak, ona jedynie skuliłaby się w sobie, jak zawsze, gdy rzeczywistość każe jej przejrzeć się w lustrze. Gdyby ktoś ją o to wszystko zapytał, powiedziałaby dokładnie to samo co wtedy:

– Sara nie zadzwoniła.

Sara nie zadzwoniła. Przez długi czas, aż do pojawienia się Olgi, Emma to powtarzała. Czasem, kiedy najmniej się tego spodziewaliśmy, wyrzucała to z siebie, jakby nagle zaczynała zdawać sobie sprawę, że to wszystko nie tylko wydarzyło się naprawdę, ale na dodatek przytrafiło się jej samej, zdziwionej i niedowierzającej. „Sara nie zadzwoniła”, mówiła, a my milczeliśmy. Resztę mogliśmy sobie jedynie wyobrazić. Do dziś, kiedy słyszy dźwięk telefonu, mruga odruchowo i przechyla lekko głowę, jakby w jej umyśle zatrzasnęły się nagle z hukiem jakieś drzwi, i zaczyna szukać czegoś błędnym wzrokiem.

Jej oblicze B to twarz porysowana jak czarna tablica, po której ktoś codziennie, przez wiele lat, drapał paznokciem. Przeżyłem ten okres wraz z nią. Rysę i ten ogłuszający, jeżący włosy na głowie dźwięk, tak często grawerujący nasze dzieciństwo, którym Emma dzieliła się tylko ze mną. To mnie wybrała. Szukała mnie, a ja byłem dla niej na wyciągnięcie ręki. Przez prawie rok mocowaliśmy się w ciemnych wodach – ona próbowała pójść na dno, a ja ciągnąłem ją na powierzchnię.

I podziałało. A przynajmniej tak myśleliśmy.

Lecz oto pewnego dnia na tablicy pojawiło się imię „Olga”, a Emma od razu zaczęła je przepisywać, raz za razem, jak posłuszna, ukarana dziewczynka. „Olga, Olga, Olga...”. Przepisywała i przepisywała, skrobiąc paznokciem po źle startej tablicy, aż w końcu, po wielu razach, po długim i mechanicznym bombardowaniu swojego serca, imię Sary, brak Sary zaczęły znikać pod warstwą Olgi, jej obecności i otaczającej ją wrzawy.

Wrzawa. Tym właśnie są obie, razem i osobno. Olga jest wrzawą, gdyż wypełnia się nią po brzegi, jak opuszczony dom, w którym współgrają ze sobą echa różnych kakofonii, wywołujących piorunujący efekt. Jej śmiech jest wrzawą, jej głos jest wrzawą. Mówi tak, jak brzmi, nie tak, jak myśli. Czuje zresztą podobnie, w stereo, powtarza sobie ciągle na głos, kim jest, bo choć wydawać się może tego niewiele, jej w zupełności wystarcza. Emma, z kolei, potrzebuje wrzawy do niebytu. Wrzawa Olgi zagłusza wiele innych dźwięków, których ona sama woli nie słyszeć, i dlatego właśnie obydwie odnajdują się w tym układzie, a my już dawno przestaliśmy w niego wnikać. Zmęczyło nas to. Zmęczyło nas czekanie, aż Emma zobaczy to, co

my widzimy, ludzenie się, że pewnego dnia zechce przejrzeć na oczy. Udajemy więc teraz, że jedna i druga są częścią tego, co wszyscy razem tworzymy. Częścią tego, co z nas zostało. Nas samych.

Zza szyby na balkonie widzę je teraz w korytarzu: Emmę, witającą się z Maxem, który opiera łapy na jej ramionach i liże ją po twarzy, i Olgę, z wymuszonym uśmiechem szczęśliwości, oczami otwartymi szerzej niż zazwyczaj i ręką na piersi, czekającą na progu mieszkania, aż psy się uspokoją i pozwolą jej przejść, nie brudząc jej przy tym. U jej stóp szczeka, łypiąca na nią podejrzliwie, Shirley, ze swoim włochatym ogonem napiętym jak struna i wyszczerzonymi zębami, a wszystkiemu przypatruje się Silvia, która stoi obok stołu z zaciśniętą szczęką. W korytarzu pojawia się również mama, w kapciach w kratę, agatach babci i moherowym golfie, rozdaje na prawo i lewo radość, która wzbierała w niej od chwili, gdy dowiedziała się, że zjemy kolację w siódmkę. Widok Emmy i Olgi razem sprawił, że szczęśliwość zaczęła wylewać się z niej falami, uruchamiać w niej to, co dobre, i to, co nie tak dobre, i budzić do życia małą Amalkę.

Euforia. Mama jest euforyczna i zdenerwowana, a ta kombinacja – o czym nie raz zdążyliśmy się przekonać – jest zapowiedzią kłopotów, gdyż często towarzyszą jej niezdarność i nieuwaga. Trzeba będzie mieć ją na oku.

„W salonie jest zbyt jasno”, myślę nagle w duchu, jakbym oglądał całą scenę na małym kinowym ekranie, a sam stał po drugiej jego stronie. Przypomina mi zdanie, które mama wypowiedziała niedawno, gdy nakrywała do stołu: „Pora, kochanie, żeby tobie też coś zaczęło się przytrafiać, nie sądzisz?”. Odbija się ono teraz w mojej głowie echem, jak bomba zrzucona przez Emmę, i rozdrapuje dawną ranę. „To ja”, mówię sam do siebie, obrysowując palcem na szkle drzwi obraz swojej sylwetki. „Moje trzydzieści pięć lat. Rude włosy. Loki. To moja linia szczęki. Biała skóra. Zielone spojrzenie. Dłonie o długich palcach, orli nos... Tak właśnie widzi mnie reszta z drugiej strony szyby. Właśnie tak”.

Patrzę na mamę zbliżającą się do drzwi wejściowych, żeby przywitać się z Emmą i Olgą, i na Siliwę, która odwraca się wolno w stronę balkonu i szuka mnie wzrokiem. Mam wtedy wrażenie, że cały ten rytmiczny taniec, ten labirynt naturalnie złączonych gestów, ta rozpoznawalna, odruchowa mowa... Że wszystko to czyni z nas rodzinę i nas jednoczy wspólną historią.

Nakryty stół, najstarsza siostra, mama, średnia siostra ze swoją dziewczyną, portret babci nad kanapą, talerze z serwetkami jak czerwone boje w porcelanowym morzu, szklanki, kieliszki – wszystko to niczym złota nić łączy mnie z rzeczywistością biegnącą równoległym torem do tej, którą kilka lat temu postanowiłem odstawić na bok, żeby więcej nie bolała, żeby nie nękała mnie swoimi nieobecnościami, upokorzeniami i zagadkami nie do rozwikłania.

Wszystko to jest moją ostoją, od kiedy sprawy – te inne sprawy – zaczęły się komplikować, a muzyka zmieniła w zawrodożenie, fałsz. Chciałem wyjść na prostą, ale przez przypadek zoczyłem na drogę, która wcale nie była skrótem, lecz ślepym zaułkiem.

Przegrałem. Nie umiałem znaleźć wyjścia. Przegrałem samego siebie.

Chociaż to zupełnie inna historia.

A może i nie.

To już trzy lata. Zbyt wiele czasu w tak krótkim czasie.

Kolejne powiedzonko babci Ester. Z ostatnich lat, gdy swoją pamięć, coraz gorszą i gorszą, zastępowała zeszytami pełnymi list rzeczy do zrobienia i wspomnień.

Silvia patrzy na mnie z drugiej strony szyby, a ja obrysowuję palcem jej sylwetkę. Kąty, wierzchołki, załamania. Nasze rude loki i twarze się na siebie nakładają. Patrzymy sobie w oczy. Kiedy tak przyglądam się jej twarzy, odbijającej się w mojej własnej, zaczynam nagle rozumieć

mamę i chęć, żeby mieć nas przy sobie, i domyślam się, że wszystko, co tej nocy może się wydarzyć, zostało już zawczasu przebaczone, bo tak właśnie uczymy się postępować, od kiedy nie musimy przebaczać więcej tacie.

Wiem, że Silvia będzie pluć jadem, że Emma zrzuci na nas swoje tykające bomby i że wujek Eduardo uraczy nas na pewno jakimś wyskokiem. I że potem trzeba będzie sklejać, cerować i zbierać z podłogi odłamki porcelany, szkła i resztki skóry.

Ale właśnie to czyni z nas rodzinę, jaką się staliśmy.

Być. Tu i teraz. Zdobywać na nowo przestrzenie. Przekonać się, że łączące nas nici nie są tak słabe jak nici, którymi wyszywał nasze życie tata. Że już nie trzeba wybierać: wszystko albo nic, ze mną lub przeciwko mnie. Że jesteśmy czymś więcej, dużo bardziej złożonym. Że od kiedy burzowa chmura taty zniknęła za horyzontem, wstąpiło w nas nowe życie.

Silvia stoi pośrodku salonu, zwrócona w moją stronę. Czeka.

Spojrzenie jej zielonych, podobnych do moich oczu mówi wiele. Mówi, że ta noc będzie wyjątkowa, bo w powietrzu, w mieszkaniu i na dworze, gdzie ciepła bryza miesza się z podmuchami chłodnego wiatru, coś wibruje.

To prawda. Powietrze drży, a na niebie strzępy chmur prześlizgują się bezgłośnie po szaroczerwonym księżycu, przypominającym starą monetę.

Babcia Ester mawiała, że noce takie jak ta, gdy ciepłe i zimne wiatry krzyżują się ze sobą, zwiastują fioletowe świty. Nigdy nie prosiłszy jej o wyjaśnienie. Nigdy nie przyszło nam do głowy pytanie, czy chodzi tylko o kolor nieba, czy o coś więcej, a babci, zwłaszcza pod koniec życia, wszelkie wyjaśnienia wydawały się zbędne. Zadawała się samym wypowiedaniem na głos swoich myśli. Reszty trzeba się było domyślić. Wyjaśnienia ją męczyły.

„Szary księżyc i krzyżujące się wiatry zwiastują fioletowy świt”, mawiała babcia.

I prawie nigdy się nie myliła.

Z jakiegoś niewidzialnego kąta na placu zegar wybija dziesiątą.

Mamy już prawie Nowy Rok.

Pora wejść do środka.

Czekają na mnie.

Księga druga Latarnia

- *Opowiedz mi jakąś historię, Pew.*
- *Jaką historię, dziecko?*
- *Coś ze szczęśliwym zakończeniem.*
- *Nigdzie na świecie nie ma czegoś takiego.*
- *Jak szczęśliwe zakończenie?*
- *Jak zakończenie.*

Jeanette Winterson, *Podtrzymywanie światła*, tłum. Katarzyna Karłowska

Jeden

Rozmowy przy stole ślimaczą się między butelkami napojów gazowanych, wody i białego wina, a wujek Eduardo, który zadzwonił pół godziny temu, żeby oznajmić, że jest już na lotnisku i czeka na swoją walizkę, właśnie zmierza do nas taksówką.

Z jednej strony stołu Olga i Emma. Z drugiej ja i Silvia. Między Emmą a miejscem u szczytu stołu jest jedno dodatkowe nakrycie: talerz, szklanka, kieliszek, serwetki i krzesło. Mama, przy moim boku, przewodzi, szczęśliwa, zgromadzeniu, a między nami leży Max, który swoją ogromną głowę złożył na moich stopach. Jak na razie wszystko idzie gładko. Olga i Emma uśmiechają się jak małe dziewczynki, rzucają sobie ukradkowe spojrzenia i gładzą się od czasu do czasu, zupełnie jak nie one, po dłoniach. Emmie błyszczą oczy, a Olga, w opiętym zielonym sweterku, z włosami zebranymi w wysoki kok, podwójnym sznurem pereł na szyi, które nawija na palce niczym różaniec, w natchnionym geście, którego nie potrafimy odczytać, wydaje się czymś podekscytowana. Emma wygląda jak jej brzydka siostra: kasztanowe, źle obcięte włosy, sucha cera, obgryzione paznokcie, biała koszula, która swoją świetność dawno ma już za sobą, i chustka na szyi – prezent urodzinowy od Silvii – którą Emma zakłada na wyjątkowe okazje.

Od kiedy zasiedliśmy do stołu, Olga i mama nie przestają trąkotać, a Silvia podgryzać sucharków z cheddarem, dziwnie nieobecna i nieco roztargniona. Jeżeli Olga i mama są w czymś mistrzyniami, to właśnie w zamienianiu drobnostek w sprawy najwyższej wagi, rozciąganiu ich nad stołem niczym brezent, łuskaniu szczegółów i skakaniu z jednego tematu na drugi. Obie z wprawą zagłuszają ciszę najświeższymi nagłówkami z gazet. Wiadomości, kryzys, żarty z programów rozrywkowych, magazyny plotkarskie, filmy, jakie ostatnio oglądały... Z dwóch stron rozpiętego nad stołem płótna siedzi trójka milczącego rodzeństwa, pogrążonego we własnych przemyśleniach i głuchego na szum, jaki łączy tej nocy ich wszystkich. Emma spogląda zachwycona to na Olgę, to na mamę, z roztargnionym uśmiechem na ustach, niemającym nic wspólnego z tym, co ma przed oczami. Znam ten uśmiech. Tak uśmiecha się Emma nieobecna duchem, Emma B. Patrzy niewidzącym wzrokiem, błądzi myślami daleko, chociaż błysk w jej oczach zdradza, że tym razem jest to powód do radości. Wsłuchuje się w rozmowę Olgi i mamy, jakby brała w niej udział, pochylona do przodu, z łokciami wspartymi na stole i pozornym wyrazem zainteresowania na twarzy.

Silvia nawet się nie uśmiecha. Jej profil przypomina sieć wyciętych nożem kantów, a worki pod oczami odcinają się wyraźnie od reszty twarzy. Są twarde, niemal umięśnione.

– No więc w zeszłym tygodniu poszłam z Ingrid na *Nędzników* – oznajmia mama głosem „opowiem-ci-coś-bardzo-ale-to-bardzo-interesującego” i kładzie przy tym Oldze dłoń na ramieniu. – Ale na musical, nie na film.

Olga próbuje uśmiechnąć się z zainteresowaniem, ale jej usta przypominają haczyk od wieszaka.

– Właśnie tak.

– Ach, ten musical jest taki... prawdziwy – ciągnie mama, gestykulując jedną ręką. Pije drugi tej nocy kieliszek wina i zaczyna być w upojnym nastroju. – Tak dużo w nim biedaków, którzy ciągle cierpią, że czasem aż trudno powstrzymać się od płaczu. Trochę jak *Wiadomości*, tylko że w Paryżu i bez sportu na końcu. A potem wszystko się kończy, a ty idziesz na kolację. I już.

Nie mogę powstrzymać się od śmiechu. Mama odwraca się do mnie z zaskoczoną miną.

– Naprawdę – mówi głosem dziewczynki przyłapanej na gorącym uczynku.

Przytakuję.

– Wierzę ci, mammo.
– Chociaż Ingrid się nie podobał – oznajmia, wydymając lekko usta.
– Nie? – pyta Silvia z uniesioną brwią. – A to dlaczego?
– Powiedziała, że ma bardzo negatywny przekaz i że aura bohaterów jest trochę fatalistyczna czy falliczna, czy... W sumie to nie pamiętam – odpowiada mama. W tym samym czasie potrząsa ręką w powietrzu i prawie strąca ze stołu butelkę wina.
– Ingrid ma coś z głową, mammo – oświadczam, łapiąc w porę butelkę, a Silvia odkłada swój sucharek na obrus i strzepuje dłonią dwa okruszki, które z niego spadły. – Jeżeli dalej będziesz słuchała tych bredni, które wygaduje, to skończysz jak ona. Albo i gorzej.
– Biedaczka – mówi mama i kręci głową. – Wiesz, że przedwczoraj miała ostatnią sesję z szamanem, a on ją poprosił, żeby pożyczyła mu dwieście euro na nowe grzechotki, bo przekaz pocztowy, który wysłali mu z Quito, jeszcze do niego nie dotarł?
Na usta ciśnie mi się złośliwy komentarz.
– Mammo, nie mówiłaś kiedyś, że ten szaman jest z Meksyku?
– Meksyk, Boliwia, co za różnica... – odpowiada zniecierpliwiona. – Ważne, że poprosił ją o napiwek.
– I co, dała mu go?
Mama kiwa potakująco.
– Oczywiście.
– No właśnie. Szalona, a do tego głupia – mówi zrzędliwie Silvia, wyraźnie w złym humorze.
– Nie mów tak, kochanie.
Silvia zaciska szczęki.
– Sama widzisz, mammo – uprzedzam Silvię, żeby trochę załagodzić sytuację. – Ingrid aż się o to prosi.
– Pewnego dnia znajdą ją wmurowaną w ścianę piwnicy któregoś z tych podejrzanych barów, do których cię zabiera, a my będziemy musieli zająć się waszymi trupami – pluje jadem Silvia.
Mama mruga powiekami, wyraźnie zraniona.
– Co też ty opowiadasz? – mruczy pod nosem.
Silvia wzdycha z irytacją.
– To i tak nie wszystko, co mam do powiedzenia – cedzi przez zęby.
Zapada niewygodne milczenie, które przerywa nagle dzwonek telefonu. SMS. Emma mruga odruchowo i odwraca się w moją stronę. Mama spuszcza wzrok i mówi:
– Ale ona... jest moją przyjaciółką.
Silvia zaciska naraz zęby i pięść na obrusie.
– A ja jestem twoją córką, mammo – mówi z wymuszonym spokojem. – I osobą, która zawsze wyciąga cię z tarapatów.
– Wiem o tym.
– Doprawdy?
Mama przeczuwa, co ją teraz czeka, bo przerabialiśmy to już nie raz od czasu, kiedy tata zniknął, a mama postanowiła przeobrazić się w kobietę niezależną i niebezpieczną. Niebezpieczną w swoich dążeniach do przeżycia wielkiej przygody, ale jeszcze bardziej w swoim pragnieniu wolności – niezaznanej u boku taty – które ostatnimi czasy opanowuje ją codziennie i zawsze nie w porę. Mama szuka teraz wzrokiem czegoś, co odwróciłoby uwagę Silvii i rozluźniło napiętą atmosferę, a jej spojrzenie pada w końcu na stojący przed nią dzbanek wody.
– Wody, córciu? – mówi z pojednawczym uśmiechem.

Silvia wygląda przez chwilę na nieobecna, jakby jakiś cień zaległ nagle między naszą rzeczywistością, tą przy stole, a tą, którą ona ze sobą przyniosła. Ale ta chwilowa refleksja nie trwa długo. Mama, która podobnie jak Olga, źle znosi ciszę, stara się jej jak najszybciej zaradzić:

– Ach. – Spogląda przez okno i wydaje z siebie westchnienie, które miało brzmieć jak pełne tęsknoty, a zabrzmiało nijako. Shirley strzyże na kanapie uszami. – Ciekawe, jak spędza święta biedna Micaela.

Teraz to ja się jeżę, chociaż udaje mi się uspokoić na czas.

– Miejmy nadzieję, że daleko stąd – mówię tylko.

Silvia też się krzywi.

– Przy odrobinie szczęścia w Alcatraz.

Micaela jest Rumunką, którą mama poznała kiedyś na spacerze z Shirley, na przejściu dla pieszych. Micaela grzebała kijem w kontenerze na ubrania. Dziesięć minut później piły we dwie kawę w mieszkaniu mamy, a dzień później Micaela została zatrudniona do sprzątanía domu dwa razy w tygodniu.

Kiedy zapytałem mamę, dlaczego aż dwa razy, skoro jej mieszkanie ma czterdzieści osiem metrów kwadratowych, spojrzała na mnie ze smutkiem i powiedziała tylko:

– Shirley gubi dużo sierści.

Nie drążyłem dalej tematu.

Micaela Niculescu miała trzy złote zęby i siedmiu braci, rozstawionych w całym mieście na rogach ulic i przejściach dla pieszych i uzbrojonych w kubły, szczyryki oraz gąbki, którzy proponowali kierowcom mycie wycieraczek lub darmowe oplucie, jeżeli jakiś delikwent nie chciał zapłacić za ich fatygę. Patriarcha klanu Niculescu był, jak twierdziła sama Micaela, „zbieracznikiem”, co w tłumaczeniu oznaczało „złodzieja zbierającego miedź na niezbadanych ścieżkach Pana”, a matka mieszkała w garach w zajmowanym nielegalnie mieszkaniu, w którym – o czym dowiedzieliśmy się dopiero później – dwa pokoje przeznaczone zostały na „magazynowanie rzeczy, złociutka” i pełniły funkcję biura rzeczy nie tyle zaginionych, ile na pewno komuś potrzebnych.

Chociaż o Micaeli dowiedziałem się dzięki wiadomości od Silvii – „Rumunka o trzech złotych zębach i z telefonem BlackBerry wysadzany krysztalkami Svarowskiego sprzęta mamie mieszkanie. Nie wiem, czy zadzwonić na policję, czy do psychiatry, żeby przyjechał i zaaplikował jej elektrowstrząsy” – trzeba przyznać, że stosunki mamy z Micaelą skłoniły mnie najpierw raczej do refleksji niż do obaw, gdyż pomimo wszystkich naszych podejrzeń i przeczuć, żeby nie ufać tej Rumunce za grosz, nie mieliśmy żadnych dowodów na to, że nowa przyjaciółkochrześniaczkoprotegowana miała nieczyste intencje.

Jedno trzeba też przyznać: zawsze była dla nas przemiła. I to od samego początku.

Do końca.

Koniec Micaeli nadszedł, kiedy najmniej się tego spodziewaliśmy, czyli w dniu urodzin mamy. Pamiętam, że był poniedziałek i że w południe zabraliśmy psy i pojechaliśmy na wybrzeże. Chcieliśmy zwiedzić kilka nadmorskich miasteczek i zostać w którymś z nich aż do kolacji. Nasza podróż niestety nie trwała długo. Ledwo wjechaliśmy na autostradę, kiedy zadzwonił telefon mamy. Była to Eugenia, jej sąsiadka.

– Amalia, skarbie, wyprowadzasz się gdzieś? – zapytała po drugiej stronie słuchawki.

– Ja? Czy się wyprowadzam? – odrzekła mama, która nic nie rozumiała, i odwróciła się w moją stronę. – Nie, a dlaczego?

– Ach, to dziwne – stwierdziła Eugenia. – Bo przed klatką stoi ciężarówka i jacyś mężczyźni właśnie wnoszą przez okno twoje meble, więc pomyślałam sobie: „Może się wyprowadza?”. Chociaż przyznam, że się zdziwiłam, bo wszyscy sąsiedzi wyprowadzają się

zazwyczaj dopiero po śmierci, więc sama rozumiesz.

Mama zbladła.

Kiedy godzinę później udało nam się dotrzeć na miejsce, Silvia miała już wszystko pod kontrolą. Sto jeden Niculesców właśnie kończyło oddawać cały skradziony sprzęt – „Przepraszamy, państwo, przepraszamy, my pomyliliśmy z przeprowadzką”, pochlipywała Micaela w jednym z policyjnych radiowozów, na którego masce leżało kilka scyzoryków, pistolet i cała góra kart kredytowych, na szczęście nie naszych – kiedy mama, z krwawiącym sercem, zbliżyła się do swojej byłej przyjaciółki i powiedziała:

– Tak mi przykro, Micaelo, ale bądź spokojna, ja wiem, że to nie twoja wina. To wszystko przez tych pośredników! Tyle razy mówiłam ci, żebyś uważała na ludzi i że w tym kraju nie można ufać nikomu! Zawsze to samo, biorą naszą dobroć i zaufanie za głupotę.

Micaela uśmiechnęła się, ukazując swoje złote błyszczące zęby, wyrzuciła z siebie po rumuńsku stek najprzeróżniejszych przekleństw i okrasila je splunięciem, które spłynęło po szybie samochodu jak niespełnione życzenie.

Tego dnia Micaela, wraz z całym klanem Niculesców, zniknęła ostatecznie z życia mamy. Kilka godzin po całym zajściu Silvia kazała zamontować w mieszkaniu alarm połączony z policją. Kiedy wytłumaczyła mamie działanie systemu, ta odprowadziła ją do windy i pożegnała się z nią, po czym wróciła do mieszkania i włożyła pilota do alarmu do pustej doniczki – wyrzucając go tym samym ze swojej pamięci na wieki.

Mama mruga teraz powiekami i milczy, przekonawszy się, że temat Micaeli nadal wzbudza powszechne emocje – niekoniecznie pozytywne – i że lepiej w niego nie brnąć. Bierze do ręki dzbanek z wodą i odwraca się do Emmy.

– Wody, kochanie?

Emma patrzy na nią z tym swoim na wpół nieobecnym uśmiechem, który nie znika jej z twarzy, od kiedy zasiedliśmy do stołu, i zaprzecza ruchem głowy. Potem obrzuca spojrzeniem nas wszystkich i mówi, jakby dopiero co przyjechała:

– Dziwne, że taty z nami nie ma, co? – Mama zastyga na te słowa z dzbankiem w rękę, a Olga zawija perły na palec i chrząka. Emma spogląda teraz na mnie. Dalej się uśmiecha. – Panuje taki... spokój – szepcze i natychmiast włącza leżącego na stole iPhone'a, jakby żałowała, że w ogóle się odezwała.

Mama kuli się nieco w sobie, odstawia dzbanek i dolewa sobie wina. Nie bierze jednak kieliszka do ręki, tylko mówi – głosem, jakim czasem przemawia również inna Amalia, która podobnie jak Emma, wyrzuca z siebie nagle, w najbardziej nieoczekiwanym momencie, myśli i prawdy dojrzewające w niej już od dłuższego czasu:

– Od czasu rozwodu nie zatęskniłam za nim ani razu. I czasem źle się z tym czuję – oznajmia.

Silvia podnosi wzrok. Emma mruga ze zdziwieniem. Tata. Mama mówi o tacie.

– A kiedy o tym myślę, to tak bardzo boli mnie, że mieliście takiego ojca, że aż nie wiem, jak prosić was o wybaczenie. – Przymyka lekko oczy, aby uchronić je od nadmiaru światła, i dodaje: – Nie wiem, jak to zrobić.

Przełykam ślinę. Mama jest zmartwiona, a jej zmartwienie jest jak ciężka, ołowiana chmura, która zawisa nad stołem. Jak brzydkie, szare płótno z nadrukiem z trawiącej ją zbyt długo winy, o której wiedziałem tylko ja.

Nie lubię widzieć jej takiej. Żadne z nas nie lubi.

Pije łyk wina i trzymając kieliszek w dłoni, wbija wzrok w obrus. Mija kilka sekund.

– Ale najbardziej boli mnie to, że straciłam tyle lat życia – mówi z uśmiechem tak smutnym, że odruchowo kładę jej rękę na ramieniu. Na placu rozlegają się nagle krzyki i śmiechy

dzieci, a leżący u moich stóp Max podnosi na ten dźwięk łeb i wzdycha ciężko. – Ale wtedy nie wiedziałam, że można żyć inaczej – ciągnie mama. – Że możemy mieć taki... spokój. – Kładzie powoli swoją dłoń na mojej i kręci głową, zawieszając spojrzenie na przeszklonym kredensie. – Ja... nie wiedziałam.

Dzieciaki na placu znowu zaczynają krzyżeć, bawią się w ogromnej plątanie kabli i sznurków, które co rusz stają się powodem ich kłótni. Potem wybuchają śmiechem, który dociera do najdalszych zakamarków nocy. Tutaj, przy stole, nikt się jednak nie odzywa.

Dłoń mamy ogrzewa moją, a kiedy w końcu zbieram się, żeby coś powiedzieć, ona spuszcza głowę i mówi:

– Choć jeszcze bardziej boli mnie to, że nie ma tu mojej mamy. – Uśmiecha się ze smutkiem. – Że nie może mnie teraz zobaczyć.

Dwa

Pierwszy raz mama wyznała mi, co myśli o rozwodzie z tatą – i uczyniła ze mnie powiernika tych samych uczuć, którym przed chwilą dała upust przy stole – w dniu mojej przeprowadzki do kawalerki na poddaszu z widokiem na morze, kiedy to zaoferowała się pomóc mi w przygotowaniu kolacji.

– Przynajmniej będę mogła obejrzeć mieszkanie w spokoju – powiedziała.

Gdy w końcu zdołała wdrapać się na to ostatnie piętro, usiadła na podeście, oparła stopy na ostatnim stopniu schodów i sapiąc, popatrzyła na mnie ze strachem.

– Synku, to nie jest poddasze – zdołała z siebie wydusić. – To jest szóste piętro bez windy.

Pokiwałem głową, stojąc w progu mieszkania.

– Mówiłem.

Wpatrywała się we mnie przez chwilę i nad czymś zastanawiała.

– Ale kto tu cię będzie odwiedzał? – zapytała zmartwiona. – Będziesz bardzo samotny.

Uśmiechnąłem się.

– Nie przejmuj się, mammo, to tylko chwilowe.

Przysłoniła sobie dłonią oczy, aby nie drażnił ich nadmiar światła, i przebiegła wzrokiem obdrapane ściany klatki schodowej. Zobaczyłem nagle budynek jej oczami: strome, śliskie schody z białego kamienia, ściany bez gzymsów i z zaschniętymi plamami wilgoci, poręcz tak zużyta, że kawałki żelaza przebijały gdzieś drewno, niczym skamielina w bursztynie, a wszystko to zwieńczone sufitem ze źle ułożonych, rzekomo przezroczystych płytek, które przy silniejszych podmuchach wiatru zaczynały hałasować, jakbyśmy mieli nad sobą przystanek metra.

Mama wodziła spojrzeniem po całej klatce. Gdy jej wzrok trafił w końcu na mnie, westchnęła ciężko.

– Fajnie tu – skłamała. – Można by postawić jakąś donicę z kwiatami. Na pewno by urosły. – Nie przestając sapać, popatrzyła na wiszącą na ścianie gaśnicę. – A przy okazji mógłbyś kogoś poprosić, żeby zainstalował butlę z tlenem zamiast... tego. – Zastanowiła się nad tym głębiej i oczy jej się zaświeciły: – Albo moglibyśmy powiedzieć Ingrid, żeby wysłała reiki od siebie z domu. Teraz robi to też na odległość.

Roześmiałem się. Ona wraz ze mną. Byłem jej wdzięczny, że zaraziła się moim śmiechem.

– Chodź, wejdź do środka. – Pomogłem jej wstać.

Weszliśmy do mieszkania, a ona odłożyła torebkę i powiedziała:

– Twoja dozorczyńni jest przemiła.

Popatrzyłem na nią pytająco.

– Dozorczyńni?

Przytaknęła.

– Mammo, naprawdę myślisz, że w tym budynku mamy dozorczyńnię?

Wydeła usta i pogładziła się po włosach.

– A dlaczego by nie?

Dopiero po chwili zrozumiałem, o kim mówi.

– Chodzi ci o tę siedemdziesięciodwuletnią kobietę, która siedzi przy wejściu na krześle turystycznym i słucha radia, ubrana w koszulę w kwiaty, z paznokciami pomalowanymi na kolory flagi Stanów Zjednoczonych?

Przytaknęła.

– Właśnie o nią. Bardzo sympatyczna pani. Przypadłeś jej do gustu. Poplotkowaaliśmy sobie chwilę. Kiedy jej powiedziałam, że mieszkasz na poddaszu, stwierdziła, że jesteś przemiłym chłopcem i że nie muszę się martwić, że już tu o ciebie zadbają. – Gapiłem się na nią jak cieleń na malowane wrota, a kiedy w końcu spróbowałem coś z siebie wydusić, ona uśmiechnęła się, jak dziewczynka przybyła z Planety Mama, i powiedziała: – Zapytałam ją przy okazji, czy nie zna jakiejś pani, która mogłaby u ciebie posprzątać kilka razy w tygodniu. – Kolejny uśmiech, tym razem szczęśliwości. – Obiecała, że przyśle jedną ze swoich córek.

Nie mogłem się powstrzymać.

– Mamo, ta pani nie jest dozorczynią.

– Nie?

– Nie. Jest... Dominikanką. I dziwką – oznajmiłem. – Sześć dziewczyn u niej pracuje, na pierwszym piętrze. Ma na imię Reimeldis.

Mama przełknęła ślinę. Mina jej trochę zrzędała.

– Reimeldis, mówisz – wymamrotała. – Ładne imię, prawda?

Oprowadzenie jej po kawalerce nie zajęło mi dużo czasu, bo nie było po czym oprowadzać. Kiedy skończyła szczegółową inspekcję ścierek, patelni, ręczników i pościeli, odwróciła się do mnie z pytającym spojrzeniem i powiedziała:

– Aha. Fajnie, co?

– Mamo.

Uśmiechnęła się.

– Aż tak ci się tu nie podoba? – spytałem.

Otworzyła szeroko oczy.

– Nie! Skądże! – zapewniła, wodząc wzrokiem po moim salonokuchniogabinecie.

– Tylko że... Mówiłeś, że gdzieś są chyba jakieś pokoje...?

– Nie mówiłem.

– Aha.

– Bo ich nie ma.

– Aha.

Usiadła na kanapie i wzięła ze stołu gazetę. Zaczęła się powoli wachlować.

– To gdzie, mówisz, będziesz spał?

Usiadłem obok niej.

– Właśnie siedzimy na moim łóżku.

Wachlowała się chwilę w zamyśleniu. Potem zapytała smutno:

– Czyli jak cię kiedyś odwiedzę, to nie będę mogła zostać na noc, prawda...?

Jej pytanie było tak pełne smutku i zrezygnowania, że zacząłem żałować wynajęcia przekłetej kawalerki. Po chwili jednak jej twarz się rozpromieniła:

– To nawet lepiej. Będziecie w takim razie spać z Maxem u mnie – oznajmiła uradowana.

– I... będziecie mogli zostawać tak długo, jak tylko będziecie chcieli. Ja przynajmniej mam windę. I trzyosobową kanapę jak ta. Poza tym powiedziałeś, że Max nie powinien się przemęczać, ze względu na kości, i w ogóle...

Zobaczyłem teraz kawalerkę jej oczami i nagle wydała mi się jasna, maleńka i pusta.

„Jak latarnia morska”, stwierdziła Emma po kolacji, kilka godzin później. Staliśmy we dwójkę na tarasie – „wygląda raczej jak dach do użytku prywatnego”, sprostuje rok później, po uprzednim chrząknięciu, Olga, kiedy zabiorę ją na *tour* po moim gołębniku – a Emma opierała się o barierkę i patrzyła na oświetlone mieszkanie. „To prawda”, pomyślałem, gdy patrzyłem na okna sięgające prawie do podłogi. „Jak latarnia morska”. Za Emmą, trochę na lewo, na innym

tarasie migotał, podświetlony od tyłu, neon reklamowy, niczym diadem z przesłaniem. Kiedyś hasło reklamy brzmiało „SENEX – MAMY SPOKÓJ, KTÓREGO SZUKASZ”, ale żarówki w kolejnych słowach z czasem zaczęły się przepalać i pierwotny slogan zamienił się w „SPOKÓJ, KTÓREGO SZUKASZ”.

„Spokój, którego szukasz”. Podobało mi się to przesłanie. Właśnie tego mi było potrzeba. Mama dalej siedziała na kanapie i bawiła się wachlarzem. Wyglądała na zmartwioną.

– Coś się stało?

– Nie, nic – odrzekła i wypuściła powietrze przez nos w typowy dla niej sposób.

– Mamo.

Nie odpowiedziała od razu. Po raz kolejny przebiegła kawalerkę wzrokiem.

– Chodzi o to, że... – zaczęła. – To takie dziwne... – Uniosła delikatnie ręce, a potem złożyła je z powrotem.

– To?

Spojrzała na mnie.

– Tak – przytaknęła. – No że obydwójce zostaliśmy... sami. Tak nagle.

Aha, czyli o to chodziło.

– I że obydwójce jesteście tacy... samotni – dodała z nieśmiałym uśmiechem. Poczulem delikatne ukłucie w sercu, ale nie wiedziałem, czy było spowodowane jej słowami, czy smutnym uśmiechem. Nie zgadzałem się z nią.

– Wcale nie jesteście samotni – powiedziałem, ale mój głos zabrzmiał zbyt szorstko.

Potem odetchnąłem głęboko. – Kiedyś byliśmy samotni, mamo. Ty z tatą, a ja z Andresem.

Wstała i podeszła do okna. Jej sylwetka odcinała się na tle nieba. Z jej lewej strony widać było kawałek budynku przypominającego, swoimi galeriami i balkonami, maskaron. Nie ciągnęliśmy tematu.

– Wiesz? Ja w ogóle za tatą nie tęsknię od czasu rozvodu – powiedziała. – Ani trochę. – Milczałem. Dalej stała zwrócona twarzą do okna. – I czasami źle się z tym czuję – dodała. Odczekała kilka sekund. Przelatujący nad jej głową samolot kreślił na błękitnie nieba białą smugę, jakby rysował po nim kredą. – A kiedy o tym myślę, to tak bardzo boli mnie, że mieliście takiego ojca, że aż nie wiem, jak prosić was o wybaczenie. – Odwróciła się do mnie, zmrużyła lekko oczy od nadmiaru światła i powtórzyła: – Nie wiem, jak to zrobić.

Zastanawiałem się, w jaki sposób zareagować. Ona usiadła z powrotem na kanapie i zamyśliła się na chwilę. Potem położyła mi rękę na kolanie i powiedziała:

– Ty, kochanie, zawsze tak ładnie pisałeś, może wymyśliłbyś jakieś ładne zdanie, którym mogłabym przeprosić twoje siostry? Boję się, że inaczej zabrzmiałoby ono brzydko... I że mi nie wybaczą.

Znowu poczułem lekkie ukłucie w klatce piersiowej, ale tym razem ze złości. Nagle wszystko stało się dla mnie jasne. Dotarło do mnie, że mama ma do siebie pretensje i że po tym, jak uwolniła się od cienia taty, zaczyna sobie samej robić wyrzuty. Rozumiałem ją aż za dobrze, ale jej tego nie powiedziałem. Chciałem ją za to przekonać, że wcale nie musi prosić nas o wybaczenie, bo nie ma czego wybacząć.

– Mamo, nie możemy przeproszać za to, że żyjemy. Koniec z tym – usłyszałem swój własny głos.

Nie odpowiedziała. Zaczęła gładzić sobie spodnie na udach, powoli, mechanicznie i delikatnie. Potem wstała, podała mi rękę i zapytała zupełnie innym tonem:

– Pokażesz mi taras?

Dobrze się bawiłem tamtego popołudnia, siedząc z mamą na stopniu łączącym mieszkanie z tarasem, jak dwójka dzieci, pijąc mrożoną herbatę, rozmyślając nad tym, jakie

rośliny mógłbym wstawić do mieszkania, i słuchając opowieści o jej nowym życiu panienki do wzięcia, o którym mówiła z takim podekscytowaniem, jakby miała osiemnaście lat i dopiero co wyprowadziła się od rodziców. Wszystko było dla niej nowością: sąsiedzi, wolny czas, brak obowiązków, podłączenie telefonu, podjęcie decyzji o założeniu klimatyzacji, przyzwyczajenie się do robienia zakupów dla jednej osoby... Drobnostki dnia codziennego były nowinką, a ona przeżywała każdą z nich jak największą przygodę swojego życia. Słuchałem jej z niedowierzaniem, prawie zazdrością. Mama z każdym dniem otwierała się na świat, stawała się promienna i szczęśliwa. Zaczynała rozumieć, że skoro stracone lata z tatą były błędem nie do naprawienia, to najlepiej o nich zapomnieć. Uskrzydlało ją to, że potrafi radzić sobie sama, że jest w stanie porzucić zbędny balast.

Pamiętam, że kiedy usłyszałem, jak podśpiewuje *I Left My Heart in San Francisco*, gdy nakrywała do stołu i pomagała mi przy robieniu sałatki, pomyślałem sobie: „Mama jest coraz silniejsza, a ja powoli usuwam się w cień”. Była to tylko przelotna myśl. Jak iskra.

Nie wyobrażałem sobie wtedy, że te słowa będą przepowiednią kilku kolejnych lat mojego życia.

Aż do dzisiaj.

Aż do tej kolacji. Tej sylwestrowej nocy.

Wiele się w tym czasie wydarzyło. U nas wszystkich. Czas. Tyle czasu...

Kiedy obudziłem się następnego dnia po tamtej rodzinnej parapełówce, zobaczyłem na ekranie telefonu SMS-a. Od mamy:

„Nie, kochanie, nie możemy przeproszać za to, że żyjemy. Dziękuję”.

Pamiętam, że odłożyłem telefon na podłogę i popatrzyłem za okno. Na niebie widać było wielki biały „X” ze smug dwóch samolotów lecących w przeciwnych kierunkach. Uśmiechnąłem się i przypomniałem sobie neon reklamowy migoczący poprzedniej nocy nad głową Emmy:

„SPOKÓJ, KTÓREGO SZUKASZ”

Chwyciłem telefon, włożyłem go pod poduszkę i spróbowałem zasnąć. Prawie mi się to udało, kiedy usłyszałem dzwonek kolejnej wiadomości. Ciekawość zwyciężyła senność. Ten SMS też był od mamy:

„Synku, a nie uważasz, że Czarileidis powiedziała ci, że jest dz., bo wstyd jej, że ludzie biorą ją za dozorczynię? Ingrid mówi, że to się czasem zdarza”.

Trzy

– To nie twoja wina, mamó, że trafiłaś na takiego kretyna, nie przesadzaj – mówi Silvia, odstawiając szklankę i patrząc na mamę ze złością. Można odnieść wrażenie, że jej słowa i uczucia biegną po dwóch zupełnie innych torach. Tor na prawo prowadzi do kobiety ukrywającej się w cieniu tego, co boi nam się pokazać. Zaś ten po lewej stronie to tor Silvii, która od czasu tamtych wydarzeń uparcie idzie naprzód, zmieniona w katarynkę pełną niewypowiedzianych żalów i zdań zaczynających się od „Następny krok to”, „Najlepiej będzie, jeżeli”, „To nie do przyjęcia, żeby”, „To, co powinieneś zrobić, to”. Tymi wyrażeniami posługuje się z wprawą; zna je na pamięć. Te dwie Silvie nauczone są, żeby na siebie nie wpadać. Z jednej strony jej głos; z drugiej oczy, spojrzenie, które zdradza wszystko, nawet jeżeli ona nie jest tego świadoma. – To też nie nasza wina, że mieliśmy takiego ojca – przystępuje do kolejnego ataku. Mama patrzy na nią zaskoczona, a Emma, wyraźnie zakłopotana, szuka mojego wzroku z drugiej strony stołu.

– Oczywiście, córciu, oczywiście – odzywa się mama, a ja w jej głosie wyczuwam dobrze mi znane „znowu to samo, jakbyśmy nie mogli zjeść kolacji w spokoju”. Na Silvię podziała to pewnie jak płachta na byka.

Nie myślę się.

– Wcale nie, mamó – cedzi przez zęby i stara się, bezskutecznie, rozluźnić ramiona. – Dzieci nie wybierają sobie rodziców. To nie ich wina, że dostają w prezencie to, co dostają. A zwłaszcza jak trafia im się ktoś taki jak tata – kończy dobitnie, szukając w torebce papierosa.

Mama wykorzystuje to, że Silvia spuściła wzrok, żeby wolno i metodycznie przeszukać swoją torebkę, i spogląda na mnie ukradkiem, po czym przewraca oczami.

– To prawda, co mówią, że niektórzy ludzie nie powinni mieć dzieci – mówi Silvia, kiedy podnosi wreszcie głowę. – Nie rozumiem, dlaczego parom, które chcą adoptować dziecko, stwarza się tyle problemów, a reszty nie kontroluje się w żaden sposób. Inaczej byśmy rozmawiali.

Mama, jak gdyby nigdy nic, pyta Olgę z uśmiechem szczęśliwej starszej pani:

– Dolać ci jeszcze wina?

Olga zaprzecza ruchem głowy i zwraca się do Silvii, skupionej ponownie na swojej torbie pełnej skarbów, które przerzuca z niecierpliwością.

– Skoro już o tym mowa – zaczyna, otwierając szeroko oczy i podpierając podbródek na dłoni – to pozwól, że ci powiem, że pewnego dnia widziałam u fryzjera film dokumentalny o holenderskiej rodzinie królewskiej.

Zapada cisza. Mama mruga jak królik na środku ruchliwej ulicy, a Silvia podnosi powoli głowę z miną „mam nadzieję, że to, co zaraz powiesz, będzie miało sens, bo jak nie, to...” i trąca mnie pod stołem kolanem. Ja podnoszę do ust szklankę z sokiem.

– Ach tak? – ciągnie temat mama, zachwycona obrotem, jaki właśnie przybrała rozmowa.

– No tak, ta maleńka, okrągłutka Argentynka. Popatrz, jak się wyrobiła, od kiedy została królową.

Olga cmoka językiem.

– Właśnie tak – mówi. I dodaje: – No więc po tym reportażu, po którym tak na marginesie, doszłam też do wniosku, że król, nie król, i tak przypomina trochę ten holenderski ser...

– Ser Adam – podłapuje mama. Silvia patrzy teraz na mnie. Ja wolę mieć spuszczone wzrok, bo inaczej nie mógłbym powstrzymać się od śmiechu, a to tylko pogorszyłoby sytuację.

– Właśnie tak – mówi Olga. – Adam.

– Nie – wtrąca delikatnie Emma głosem osoby przyzwyczajonej do prostowania omyłek.

– Ser Edam. Nie Adam. Widziałam kiedyś taką komedię romantyczną, właśnie chyba *Adam*, o takim chłopaku z zespołem Aspergera...

Olga odwraca się w jej stronę i bierze głęboki wdech.

– Adam, Edam, co za różnica...? Chodzi o to, że ten król jest taki jakiś... Ale nie o tym chciałam mówić. Ona, ta Argentynka, Maxima chyba, jest taka fajniutka, a jej ojciec był przecież, jakby to powiedzieć... – chrząka – trochę trudny. I te ich idealne królewiatka...

Znowu zapada cisza. Olga spogląda na nas, wyraźnie zadowolona ze swojej opowieści, a mama – nieprzywykła jeszcze do tej zzaokienkowej, bankowej rzeczywistości, różniącej się może od jej własnego surrealizmu pod względem formy, ale na pewno nie mocy – cierpi z powodu milczenia, które zapada po każdym wystąpieniu Olgi, dlatego też przybywa jej teraz z pomocą:

– A pomyśleć tylko, że mogła być dentystką. Jest przecież taka... argentyńska...

Silvia patrzy na nią z niedowierzaniem, a ja przykładam sobie do ust serwetkę. Staram się odetchnąć i coś powiedzieć, ale mama bierze do ręki swój prawie pusty kieliszek i z pijackim uśmiechem zwraca się do Silvii:

– Chi, chi... Ale chwila... jeżeli ona, z takim ojcem, została królową Holandii, to może ty, ze swoim, zostaniesz cesarzową Norwegii, co?

Silvia napina się jak struna i wkłada z powrotem rękę do torebki.

– Mamo – mówię i kładę jej dłoń na ramieniu. Odwraca się do mnie.

– Chodzi mi o to – nalega – że może kiedyś okaże się, że Peter wcale nie jest informatykiem iPadsów czy iPuksów, czy hatricków z Twittera, tylko dziedzicem tronu, i że jak go pocałujesz, to będzie jak w *Pięknej i Bestii* i żaba zamieni się w księcia, bo ja przecież nie znam Norwegii, ale domyślam się, że na pewno dobrze tam się żyje, nawet jeżeli mają tyle książek o zabójcach. Babcia Ester zawsze mówiła, że wszystko ma swoje wytłumaczenie i nic w świecie nie ginie, a w kraju, gdzie jest tak zimno i gdzie jest tylu... Norwegów, ludzie na pewno mają w sobie dużo złości, więc kto ich tam wie; Ingrid zawsze powtarza, że zimno wytwarza taką substancję w bilirubinie, przez którą ludzie tracą głowę i robią rzeczy, których się nie wstydzą, bo nie są katolikami i to nie ich wina. To dopiero szczęście, nie muszą nawet chodzić na msze. Oh! – mówi i zamiera z kieliszkiem w dłoni, jakby nagle spłynęło na nią olśnienie. – No właśnie! To dlatego! Zabijają tak chętnie, bo nie są katolikami! Wiedziałam! No tak, jest zimno i nie chce im się wychodzić na dwór i zamiast zabić kogoś tak normalnie, to oni robią to w domu, w książkach. Ach! Jak mogłam nie wpaść na to wcześniej! Muszę o tym powiedzieć Ingrid. – Stawia kieliszek na stole i próbuje się podnieść. Szybko jednak zmienia zdanie. – Opowiem jej o tym później, jak wpadnie na lampkę szampana, nie będę jej teraz przeszkadzać. – Milknie, wzdycha wymownie i spogląda na zegarek. – Robi dzisiaj intercyzę outletu jednego lumpeksu.

Cisza.

Emma przygotowuje kanapkę z serem brie dla siebie i Olgi, która gapi się na mamę i nie wie, co powiedzieć. Przetykam kilka razy ślinę i myślę w duchu: „Trzeba coś z tym zrobić”, chociaż bez większego przekonania, bo z doświadczenia wiem, że kiedy mama się rozpędza, tak jak dzisiaj, to nie sposób jej zatrzymać. Jest coraz bliżej tragedii, jak postać z kreskówki, która spada nagle z ośnieżonego zbocza i stacza się, niczym kula śniegowa, prosto w przepaść. Głos Silvii brzmi za to twardo i zdecydowanie, jak kamień rzucony w wodę.

– Mamo, odebrało ci rozum – orzeka. Mama patrzy na mnie i się uśmiecha. Potem zaczyna chichotać pod nosem. – Powinnaś pić wodę zamiast wina.

Mama zamierza coś powiedzieć, ale uprzedza ją Olga, która swoimi francuskimi szponami bierze kanapkę od Emmy, jakby była pierścionkiem od Tiffany'ego, i odkłada ją na talerz.

– Pozwól, że ci powiem – zwraca się, odchrząknawszy, do Silvii głosem wiejskiej nauczycielki – że zarówno macierzyństwo, jak i ojcostwo to bardzo poważne sprawy i moim zdaniem nie powinnaś wypowiadać się na ten trudny temat – wymachuje rękoma i swoimi porcelanowymi paznokciami – tak... bez szacunku. Wielu ludzi pracuje za troje, żeby ich dzieci miały lepszą przyszłość, i mówię to, bo widuję ich codziennie w banku. Nawet sobie nie wyobrażasz, ilu rodziców poświęca się dla swoich dzieci jak prawdziwi anonimowi bohaterowie.

Silvia, która w końcu odnalazła w czeluściach swojej torebki paczkę papierosów i zapalniczkę, spogląda najpierw na Olę, jakby miała przed sobą szcúra wiszącego na haku rzeźniczym, a potem pyta:

– To jakaś ukryta kamera czy coś...?

Mama zaczyna się śmiać. Nerwowym, niespokojnym, nienaturalnym śmiechem, który jest tylko plamą na płachcie zalegającej teraz przy stole ciszy. Wystarczy spojrzeć na błysk w jej oczach, żeby przekonać się, że przesadziła z winem. Siedząca obok niej Olga zaciska szczękę, bierze ostrożnie kanapkę z talerza i wkłada ją sobie do ust, wystawiając przy tym język i pokazując zęby, żeby brie nie zabarwiło jej warg, zupełnie jak starsze panie, które tak bawią mnie i mamę, kiedy zaraz po wyjściu z kina idą czwórkami na podwieczorek do kawiarni. Wujek Eduardo, z typowym dla siebie sarkazmem, ochrzcił je mianem „cztery ciastka i pogrzeb”. Olga powoli przeżuwa kanapkę. Potem odzywa się tonem urażonej kobiety, która długo czekała, by okazać światu ogrom swojego gniewu.

– Pewnie byś tak nie mówiła, gdybyś sama była matką – stwierdza płytkim, nieprzyjemnym głosem. – Teoretyzować może sobie każdy. Ale pozwól, że ci powiem, że dzieci to poważna sprawa. Żeby wypowiadać się na temat macierzyństwa, trzeba najpierw zostać matką. Tak jak trzeba być nauczycielem, żeby mówić o edukacji – dodaje, patrząc na Emmę i kiwając delikatnie głową.

Silvia zastyga z ręką w powietrzu i papierosem na talerzu, przemyka przy tym powieki, żeby nie wybuchnąć. Potem przechyla lekko głowę, wypuszcza powietrze nosem i odcina się Oldze:

– A co ty o tym wiesz? – cedzi znudzonym głosem. – Co wiesz o nauczaniu, o dzieciach czy o czymkolwiek innym, skoro całymi godzinami wysiadujesz tylko w okienku i oszukujesz biednych emerytów, sprzedając im jakieś gówno o stałym oprocentowaniu, żeby twoje złodziejskie szefostwo dalej mogło okradać nas wszystkich i wyrzucać na ulicę tych, których ty sama nazywasz „poświęcającymi się rodzicami i prawdziwymi, anonimowymi bohaterami”?

Olga zaczyna mrugać, kładzie sobie dłoń na piersi i chrząka kilkakrotnie. Frontalny atak Silvii sprawia, że się czerwieni, a na czoło występują jej kropelki potu. Układa usta w małe i niekształtne „O”, a siedząca obok niej Emma kładzie jej dłoń na ramieniu i zaczyna je delikatnie gładzić, jakby prosiła o wybaczenie. Mama wykorzystuje to, że nikt na nią nie patrzy, i dolewa sobie wina.

Gdy widzę wzburzenie Olgi, pojmuję, że nie domyśla się jeszcze, że włożyła rękę nie do tego kapelusza, co trzeba, i nie trafiła na królika, tylko na jadovitą żmiję. Nie, Olga nie wie, że właśnie znalazła się na ścieżce wojennej, że ziemia, po której teraz stąpa, jest zaminowana. Teren ten jest jak strona z rodzinnego albumu, o której rozmawia się tylko w gronie najbliższych. Olga nie podejrzewa tego wszystkiego, gdyż Emma nie ostrzegła jej przed gniazdem os, pełnym niezasklepionych ran. Silvia zapala papierosa i wstaje gwałtownie od stołu, przy czym niemal przewraca swoje krzesło.

– Idę do łazienki – mówi przez zęby. Olga odprowadza ją spojrzeniem z zaskoczoną i obrażoną miną. Emma dalej gładzi ją po ramieniu z wymuszonym uśmiechem na ustach.

Olga nie wie, i być może nie dowie się nigdy, że – jak mawiała babcia Ester – to, kim byliśmy kiedyś, tłumaczy to, kim jesteśmy teraz. Dotyczy to również Silvii. Tej obecnej Silvii, której wtedy jeszcze nie było. Kiedyś, zanim wydarzyło się to, co sprawiło, że stała się taka, jaka jest teraz, Silvia była zupełnie inna: odprężona, pełna życia, a przede wszystkim wesoła. Silvia z przeszłości również umiała z odwagą stawić życiu czoło, ale czyniła to bez zaciśniętych zębów, bez tej nieustannej gotowości do walki, byle tylko mieć wszystko pod kontrolą, miewała obsesje, często bywała nieznośna, denerwowała się bez powodu... Potrafiła jednak śmiać się z samej siebie i czerpała z życia garściami. Pamiętam, że na studiach, zawsze, gdy miała wolną chwilę, brała plecak i szła sama w góry. „Idę odkrywać”. Wracała szczęśliwa, wypoczęta, zrelaksowana. Uwielbiała naturę i zwierzęta. Wszystko ją interesowało: życie, ludzie... Była w stanie przenosić góry, зараżała swoją energią innych. Jeżeli trzeba było zorganizować urodzinowe przyjęcie niespodziankę – ona przejmowała stery. Jeżeli ktoś się przeprowadzał – zawsze pierwsza zjawiała się do pomocy. Wszyscy ją kochali, wszystkim była bliska – właśnie dzięki tej szczodrości.

Byłaby taka pewnie do dzisiaj, gdyby nie przeżyła tego, co wydarzyło się pod koniec jej związku z Sergiem. Wierzę, że nawet jeżeli dzisiaj nikomu się nie pokazuje, to ta dawniejsza Silvia gdzieś jeszcze istnieje, bo przecież wszyscy gromadzimy w zakamarkach duszy nasze stare ja, które często uznajemy za zaginione. To, co przydarzyło się Silvii, nie jest niczym nowym: Silvia i Sergio postanowili założyć rodzinę. Silvia od razu zaszła w ciążę, ale choć wszystko z pozoru szło zgodnie z planem, w dziesiątym tygodniu poroniła. Szybko jednak przeboleła stratę – jak to ona. Wiedziała, że prawdopodobieństwo utraty pierwszej ciąży jest wysokie, i była na to przygotowana, dlatego zaczęli starać się z Sergiem na nowo. Znowu zaszła w ciążę, ale tym razem nie poroniła. Wszystko przebiegało jak należy, aż do szóstego miesiąca, kiedy rutynowe USG wykazało coś, czego nikt z nas się nie spodziewał. Jej córeczka – bo była to dziewczynka i miała już imię – z niewiadomych powodów przestała nagle oddychać i unosiła się martwa w brzuchu Silvii.

Silvia nie wyszła tego popołudnia z kliniki. Następnego dnia ją zoperowano, usuwając jej przy okazji całą macicę, która jak się okazało, pokryta była źle rokującymi cystami. Kilka godzin po zabiegu wypytała ginekologa o szczegóły. Lekarz, który nie tylko prowadził ją od wielu lat, ale na studiach był jej wykładowcą, znał ją dobrze i powiedział jej od razu całą prawdę.

Silvia słuchała go w milczeniu. Kiedy skończył, odwróciła się plecami i powiedziała:
– Jestem teraz pusta.

Od tego wszystko się zaczęło. Silvia, która przygotowywała się do bycia matką z tym samym zapałem, z jakim zawsze podchodziła do wszystkiego, zaczęła wykuwać wtedy swoje drugie oblicze, którego nigdy wcześniej nie widzieliśmy. Z kliniki wyszła inna Silvia. W miejsce apetytu na życie pojawiła się próżnia, którą musiała czymś sobie wypełnić. Władcza wcześniej Silvia stała się nagle nietolerancyjna. Przyjaciółka swoich przyjaciół zamieniła się w waderę broniącą swojej watahy i kontrolującą ją aż do przesady. Wyszła z kliniki z otwartą raną i radziła sobie z bólem, jak mogła albo jak umiała najlepiej. Postanowiła wypełnić pustkę po nienarodzonych dzieciach czymś innym i powołała do życia nową Silvię – kobietę nadpobudliwą, skupioną na swojej pracy i osiągnięciach, praktyczną, metodyczną, dbającą o najmniejsze nawet szczegóły, mającą obsesję na punkcie czystości. Zmieniła pracę, zaczęła podróżować, awansowała, rządziła i rozkazywała, a przy tym odsuwała się od wszystkiego, co przypominałoby jej o braku, którego nie akceptowała, ponieważ uważała, że był on niesprawiedliwą i niezasłużoną karą. Zabójcza fala pochłaniała z czasem coraz więcej ofiar:

matkę, którą nigdy nie została, Sergia, przyjaciół z młodości, plany i nadzieje. Silvia zamieniła się powoli w maszynę do pracy i zdobywania wyznaczonych celów. W Peterze odkryła drugą stronę lustra: mężczyznę, który ograniczał swoje życie do bycia i który jak ona sama, żył głową, a nie sercem; jego przygaszenie emocjonalne było jednak cechą wrodzoną, a nie nabytą. Silvia postanowiła odwrócić się do przeszłości plecami, zagniewana na życie, które pozbawiło ją dzieci i skazało na bycie kimś, kogo żadne z nas do dziś nie rozpoznaje. Żyje poświęcona pracy, na której zna się jak nikt inny, i matkowaniu nam wszystkim – bo matki, jak uważa, nam brakuje. Cierpi, kiedy widzi, że zachowujemy się niezgodnie z jej oczekiwaniami, i trzyma wszystko pod kontrolą, żeby życie nie zaskoczyło jej znowu ciosem w najczulszy punkt, który tym razem mógłby powalić ją na dobre.

Silvii, która została w klinice na zawsze, Olga nie zdążyła poznać. Wszyscy ją jednak wspominamy i kochamy, bo wiemy, że jeżeli była kiedyś z nami, to nie mogła tak po prostu zniknąć, i czekamy, aż wydarzy się coś, co zwróci nam ją po tak długim czasie.

– Nigdy nie sądziłam, że kiedykolwiek zapagnę, by życie potrząsnęło którymś z moich dzieci, tak jak uczyniło to ze mną po odejściu twojego ojca – powtarzała nieraz mama, kiedy rozmawialiśmy o Silvii i o tym, jak się o nią martwimy. – Oby tylko nie zwlekało z tym równie długo.

Tak to właśnie wygląda. Od wielu lat spiskujemy w tajemnicy, żeby rusztowanie, na którym Silvia oparła swoje życie z zaciśniętymi szczękami i pięściami, trochę się poluzowało i runęło. Chcemy, by wróciła ta druga Silvia. Ta nasza. Wierzymy, że wróci.

Silvia siada znowu przy stole, z umytą twarzą i wyraźnie spokojniejsza, po czym kładzie sobie serwetkę na kolanach i zwraca się do Olgi z wymuszonym uśmiechem:

– Przepraszam, nie powinnam tak mówić.

Olga, która przez cały ten czas, kiedy Silvia była w łazience, nie odezwała się słowem, również zmusza się do uśmiechu.

– Nie przejmuj się – wybacza jej zbolalym głosem. – Zdążyłam się do tego przyzwyczaić. Jak każdy, kto pracuje w banku.

Zapada cisza. Olga i Silvia mierzą się wzrokiem, a Emma, która ani na chwilę nie przestała gładzić ramienia Olgi, mówi:

– Chodzi o to, że... – Odwraca się do Silvii, a potem spogląda na mnie i mamę. Wodzi wzrokiem po stole, jak w zwolnionym tempie, i zostawia nas ze swoim wielokropkiem jak grupę linoskokczków balansujących na jednej linii i czekających, aż się rozwinie i pozwoli im dotrzeć na drugi brzeg. – Chodzi o to, że... – zaczyna znowu, a przy tym uśmiecha się tak prostodusznie, że aż zapiera mi dech w piersi, gdyż dostrzegam w jej uśmiechu Emmę o obliczu A, która nie zdążyła jeszcze znaleźć się na rogu ulicy z telefonem w dłoni i błędnym spojrzeniem, zawieszona nad przepaścią, z której tak trudno będzie jej się wydostać. Oto wróciła na chwilę kobieta o wielkich oczach, złakniona tego, co w życiu najlepsze; ostoja mamy i nas wszystkich, niczym barierka bezpieczeństwa, o którą możemy się oprzeć. Mama spina nagle ramiona i zmienia wyraz twarzy.

– No, to o co chodzi? – pyta podenerwowana znowu Silvia, jednocześnie zapala papierosa i zaciąga się dymem. – Wydusisz to w końcu z siebie czy nie?

Emma patrzy na Olgę, która przytakuje delikatnie, uśmiecha się i roztacza wokół siebie aurę wspólnej tajemnicy, do której nie byliśmy przyzwyczajeni, a potem mówi:

– Jesteśmy w ciąży.

Cisza.

Przez kilka sekund w salonie słychać tylko szmer głosów z radia, które mama włączyła w łazience, i długie ziewnięcie Maxa. Mama przechyla nagle głowę i zaczyna chichotać.

– Chi, chi, chi – podśmiewa się i patrzy kątem oka na Silvię, która udaje niewzruszoną. – Jesteśmy... chi, chi, chi. – Chichocze jeszcze przez chwilę, z przymkniętymi powiekami, a potem milknie, marszczy czoło i dłonią chroni oczy przed światłem. – Właśnie mi się przypomniało, że to samo powiedział kiedyś Ingrid szaman, kiedy jeździł jej po brzuchu tymi mieczami, z których lecą iskry. Że zajdzie w ciążę. A ja pytam: z kim? W jej wieku? Bo nasza kochana Ingrid młódką już niestety nie jest, chociaż nigdy nic nie wiadomo, może te jej reiki coś daje, a do tego jest przecież Szwedką, kto to wie. No i tak... dziwne, co? – mówi, podnosi kieliszek do ust i śmieje się pod nosem.

– Trzeci miesiąc – oznajmia Emma, ściskając pod stołem dłoń Olgi. Silvia dalej pali i wydycha dym nosem jak smok. – Chciałyśmy poczekać z nowiną, aż upłynie dwunasty tydzień i będziemy pewne, ale dzisiaj rano byliśmy u lekarza i powiedział, że wszystko jest w porządku.

Mama mruga, patrzy na mnie i nagle dociera do niej, że Emma mówi na serio i że to, co słyszy, to prawda.

– Och – mówi i kładzie dłoń na piersi, jakby nagle czymś się zakrztusiła i nie mogła oddychać. – Ale... ale... przecież... – Kiedy widzę, że zaczyna rzeźzić, czerwona jak pomidor, zrywam się na równe nogi i chcę chwycić ją za ramiona, ale ona odwraca się do mnie i pyta ze zdziwieniem: – Czy to znaczy, że Shirley, moja Shirley... będzie ciocią?

I właśnie w tym momencie, kiedy mama próbuje, nie wiem po co, wstać od stołu, a ja stoję obok niej i nie mogę powstrzymać śmiechu, którego ona, zamroczona wiadomością, którą dalej przetwarza w swojej głowie, nawet nie słyszy; kiedy Silvia, z mojej lewej strony, pali z nieobecny wyrazem twarzy, a Olga i Emma uśmiechają się promiennie, ze swoich okopów za stołem, jak dwie plastikowe lalki; kiedy na dworze słychać dziecięce pokrzykiwania; kiedy zegar wybija kwadrans, który z daleka brzmi jak uspiiony gong, ktoś dzwoni do drzwi, a psy jak oszalałe rzucają się do korytarza, jeden ujadając, a drugi skowycząc; i właśnie w tym momencie, między psim szczekaniem a piskiem, zaskoczeniem, zdziwieniem i niedowierzaniem, zapychającymi wszystkie kanały powietrza krążącego nad stołem, a bombą, jaką Emma i Olga na nas rzuciły, jak zawsze, gdy jest już za późno i nie ma miejsca na rady, przemyślenia i dyskusje, rozlega się na klatce schodowej głos wujka Eduarda, nucącego swoim barytonem jakąś piosenkę z portugalskimi i hiszpańskimi słowami.

– *Boas noites* wszystkim! Oto i wujaszek Eduardo! Lisboa *calling!*

Cztery

Wujek Eduardo zawsze był pupilkiem mamy. I babci. Młodszy brat i jedyny mężczyzna w rodzinie, o którym babcia tak lubiła opowiadać:

– Przyjście wujka na świat, to dopiero była niespodzianka! Zjawił się, kiedy nikt się go nie spodziewał. Gdyby ktoś mnie zapytał – dodawała, spoglądając ukradkiem na dziadka – jak do tego doszło, to nie potrafiłabym mu powiedzieć, bo nic nawet nie zauważyłam!

Typ prawdziwego mężczyzny – nie tyle przystojny, ile atrakcyjny; zawsze dobrze ubrany, starannie ogolony, z ciemną gęstą czupryną, jak u dziadka, i zadziornym uśmiechem; donżuan, którego gra przy każdej nadarzającej się okazji. Chociaż różnica wieku między nim a mamą wynosi osiem lat, wujek Eduardo wygląda, jakby nie skończył jeszcze pięćdziesiątki. Jeżeli mama zachowuje się czasem surrealistycznie, to on zahacza o bezwstydnosć. Jeżeli mama bywa naiwna, on jest bystry jak mało kto. Jeżeli mama jest z natury pogodna, to od niego bije sympatia, która zawsze mydli wszystkim oczy.

– Wasz wujek jest zaklinaczem węży – powtarzała babcia Ester zawsze, kiedy padało jego imię. – Chociaż to nie o niego się martwię – dodawała i patrzyła na mamę oczami matki, która (wszystko) wie, ale woli milczeć, bo zdaje sobie sprawę, że głos matki często jest tym, który najmniej się liczy.

Babcia miała rację. Wujek Eduardo od małego wiedział, że ma łatwość w obcowaniu z ludźmi, zwłaszcza z kobietami, i bardzo szybko pojął, że świat i życie przewidują honorowe miejsca dla mężczyzn takich jak on. Uczył się źle i niewiele, ale i tak ukończył studia prawnicze – z dyplomem i gromadką niezawodnych przyjaciół, z którymi utrzymuje kontakt do dzisiaj. Zawsze kręci coś na boku, robi jakieś szemrane interesy, ale w przeciwieństwie do taty nigdy nie wciągnął w nie nikogo z naszej rodziny. Przeciwnie. Kiedy go potrzebowaliśmy, zawsze przy nas był, uśmiechnięty i gotowy do pomocy.

Osobnym rozdziałem w życiu wujka są kobiety. *Jego* kobiety. Miał tyle narzeczonych, kochanek, ukochanych i przyjaciółek, w każdym wieku, każdej narodowości, każdej rasy i każdego wyznania, że nazwanie go zwykłym kobieciarzem to za mało.

„Każda kobieta skrywa w sobie skarb” – to jedno z jego ulubionych powiedzonek, które rozdawał zawsze na prawo i lewo jak wizytówki. „Potrzeba jej tylko prawdziwego odkrywcy”, dodawał z podniesioną brwią i tym swoim uśmiechem małego chłopca, który umiał wykorzystać. „Jak myślicie, dlaczego one tak szaleją na punkcie Indiany Jonesa? Tu nie chodzi o niego, tylko o aurę twardego mężczyzny, który ma przed sobą jeszcze jeden skarb do odkrycia. Kobiety muszą czuć, że mają to, czego szukasz, nawet jeżeli to nieprawda”.

Nie była to oczywiście jedyna życiowa nauka wujka Eduarda; miał ich wiele, ale ta była inne na głowę.

Tata go nie znosił. Wujek był dla niego uosobieniem rozpieszczonego bachora, który zawsze robi to, co chce i kiedy chce. Lecz i tak tym, czego tata nie mógł ścierpieć najbardziej, był fakt, że wujek odnosił przy tym sukcesy. Chociaż na pierwszy rzut oka mogli wydawać się do siebie podobni, to wujek Eduardo, w przeciwieństwie do taty, zawsze przestrzegał – na swój własny sposób – pewnych zasad. Jego życiowe motto brzmiało: rób to, na co masz ochotę, i dobrze się przy tym baw, najlepiej w damskim towarzystwie. Wraz z mamą są jedynymi osobami w rodzinie, które odziedziczyły po babci Ester jej zaraźliwy uśmiech. Wujek potrafi cieszyć się dosłownie wszystkim; taką samą przyjemność sprawiała mu popołudniowa gra w karty co weekendowy wypad z kolegami. I tym właśnie różni się od taty: wujek Eduardo czerpie z życia jak zwycięzca, nieświadomy czyhających na niego niebezpieczeństw – jak

linoskoczek pokonujący śmiało swoją własną przepaść, przekonany, że chroni go lina asekuracyjna, która w rzeczywistości nie istnieje. Wykazuje się odwagą, bo jest nieświadomy zagrożenia. Tata był jego przeciwieństwem: żył w ciągłym strachu przed utratą tego, czego jeszcze nie zdążył osiągnąć, a jego lęk i niepewność urastały do takich rozmiarów, że kiedy w końcu zdecydował się na próbę pokonania przepaści, okazywało się, że lina już dawno się zerwała. Duma nie pozwalała mu jednak zawrócić. Stąd jego ciągle porażki. I złość.

Byliśmy świadkami tylu przedsięwzięć, planów i „interesów” wujka, których nigdy nie potrafił nam wyjaśnić, że od kilku lat już go nawet o nie nie pytamy. Wiemy, że jego pomysły najczęściej kończą się fiaskiem, ale i tak pozwalają mu żyć dostatnio i przebywać w towarzystwie osób, do których my nigdy nie będziemy mieli dostępu. Przed kilku laty wyprowadził się do Lizbony, bo jak twierdził, zaproponowano mu, żeby został doradcą prawnym pewnych australijskich winnic z siedzibą w stolicy Portugalii, chociaż czasem, kiedy się zapomina, opowiada nam z rozpędu o „puszkach przeterminowanego *foie*, które wysłaliśmy do Hongkongu”, a przy paru okazjach wspominał również o jakimś Anguinellim czy Manguinellim, z którym wyjeżdża czasem do Brazylii i z którym na pewno zamieszany jest w jakieś, pewnie nieczyste, interesy.

Tak czy inaczej, wujek Eduardo jest ważnym mężczyzną w naszej małej rodzinnej społeczności – kiedy to tata był głową rodziny, wujek nigdy nie uczestniczył w świątecznych kolacjach – nawet jeżeli zjawia się rzadko, a jego lądowanie spowija nas mgłą dźwięków i kolorów. Podobnie jak mama, wujek nie przepada za ciszą, ale w przeciwieństwie do swojej starszej siostry, nawet nie dopuszcza do tego, by zapadła. Obydwoje szukają zagłuszającego szumu, ale wujek Eduardo jest dosłownie jego kwintesencją. Kiedy wybucha śmiechem, powietrze aż drży, a gdy zaczyna o czymś opowiadać, każda rozmowa przy stole zamienia się w coraz to głośniejszy monolog. Nikomu nie pozwala wtrącać się do swoich opowieści i nikogo nie słucha. Nie, wujek Eduardo jest jednym z tych mężczyzn, którzy słuchają rzadko i niechętnie, wypełnieni do granic samymi sobą. Dlatego też, kiedy uda nam się wdać z nim w jakąś rozmowę, jest ona mieszaniną bezsensów i czasem wręcz absurdalnych nieporozumień, przy których domowy surrealizm mamy przypomina technię arystotelicznej logiki.

Wujek Eduardo stoi teraz między stołem a ścianą, wyprostowany jak generał: idealnie skrojony garnitur, krawat od Hermès, czarne, postawione na żel włosy, oprószone idealną ilością siwych pasm – które zdaniem mamy sam sobie farbuję – czarne błyszczące buty, a na nadgarstku luksusowy zegarek z białą tarczą i morskimi motywami zamiast godzin. My wszyscy, zgromadzeni wokół niego, również stoimy na baczność i czekamy, aż psy się uspokoją. Wujek wodzi po nas wzrokiem, a następnie spogląda na stół i zaciera ręce energicznym, znajomym gestem.

– Rodzinko, umieram z głodu – oznajmia. Potem śmieje się jak pirat i gładzi dłonią po policzku mamę, która w podekscytowaniu aż zaczyna się ślinić i wpatruje się w niego jak w obrazek. – Mmm – dodaje, odwracając się w stronę kuchni i mrużąc oczy, by dostrzec to, co spoczywa na dwóch tacach w piekarniku. – Och, Amalio, krem z langusty. Mój ulubiony – mówi wyraźnie zadowolony. – Jesteś kochana, siostrzyczko.

– Nie, Eduardzie, niezupełnie... – urywa w połowie zdania mama, jakby nie wiedziała, jak z tego wybrnąć. – To zupa z kartonu; ale jest przepyszna, przekonasz się.

Wujek Eduardo marszczy przez sekundę brwi, a potem wyciąga zza pazuchy marynarki swojego zaklinacza węży, który zawsze tak wiernie mu towarzyszy, i jakby mamy nie usłyszał, wpatruje się w nas i uśmiecha się przy tym promiennym uśmiechem, który możemy podziwiać przez chwilę w żółtym świetle lampy.

– Ale siadajcie, siadajcie – oświadcza w końcu, machając rękoma. – Siostrzyczko, mamy

sylwestra! – krzyczy do mamy, która przysłała sobie dłonią oczy. – Nie mogłem się doczekać, aż będę na miejscu. – Okrąża stół i siada na krześle u szczytu, naprzeciwko mamy.

– W dni takie jak ten podróż samolotem to jakiś koszmar. Hordy ludzi, w tę i we w tę, jakby za dużo pieniędzy mieli – ciągnie. – A człowiek się zastanawia, gdzie ten cały kryzys. Wchodzisz na lotnisko i od razu widzisz, że ludzie dalej wyjeżdżają na wakacje. Może tylko w trochę innych warunkach. Bo klasa business była pusta, to trzeba przyznać. I całe szczęście, bo mnie traktowano jak jakiegoś króla czy innego markiza. A stewardesy... mmm... jak marzenie. Takie słodziutkie i takie... takie...

Silvia, siedząca obok niego, kładzie mu dłoń na ramieniu. On patrzy na nią pytająco.

– Wujku – mówi Silvia z marsową miną.

Wujek się uśmiecha.

– Tak?

– Tuż przed twoim przyjazdem Emma i Olga przekazały nam... wielką nowinę, może cię ona zainteresuje.

Wujek Eduardo wyciąga szyję i poprawia sobie krawat.

– Ach tak? Uwielbiam nowiny, zwłaszcza wielkie. – Odwraca się do Emmy i Olgi, którym uśmiech nie znika z twarzy.

– Chodzi o to, że... jesteśmy w ciąży – mówi miękko Emma i wyciąga pod stołem rękę, szukając znowu dłoni Olgi.

Wujek Eduardo patrzy na nie przez kilka sekund, a potem kiwa kilka razy głową.

– Ta ślicznotka z samolotu, która mnie obsługiwała, nie była – mówi zdezorientowany. – To znaczy nie była w ciąży, ale miała takie kształty i takie krągłości, że... Chociaż z drugiej strony z Portugalkami nigdy nic nie wiadomo, najpierw mówią „a”, potem okazuje się, że „c”, a potem jeszcze „b”...

– Wujku – przerywa mu znowu Silvia, uderzając delikatnie otwartą dłonią w stół.

Wujek mruga. Silvia nawet nie czeka, aż się odezwie.

– Mógłbyś na chwilę zamilknąć, żebyśmy mogli poznać szczegóły ciąży Emmy i Olgi?

Wujek Eduardo mruga ponownie, nie rozumiejąc. Potem zrezygnowany wypuszcza powietrze nosem, rozkłada serwetkę i zakłada ją sobie na szyję.

– W... ciąży? – pyta ze zmarszczonym czołem, jakby dopiero teraz dotarło do niego to, co przed chwilą usłyszał. Patrzy na Emmę i Olgę wielkimi oczami: – We dwie?

Emma przytakuje i dalej się uśmiecha. Olga rzuca jej czułe spojrzenie i odpowiada:

– Właśnie tak.

– Aha – mówi wujek z pokerową miną. Potem zaczyna śmiać się tak głośno, że Shirley aż zrywa się z kanapy i wybiega z salonu, aby znaleźć schronienie w ciemnościach panujących w pokoju mamy. – To ci dopiero zbieg okoliczności, co? – stwierdza, kiedy jego śmiech ustępuje miejsca pełnej napięcia ciszy. Gdy tylko dostrzega zdziwioną minę Olgi, próbuje się wytłumaczyć: – Uważam, że to naprawdę świetnie, że dwie przyjaciółki są naraz w ciąży. Życie jest nieprzewidywalne. Kobiety zresztą też – podsumowuje i kręci powoli głową. – Tajemnicze z natury. Zawsze chcą robić wszystko razem. Do łazienki razem, dostają okres razem, na wyprzedaże razem... – Silvia puka go lekko w ramię, żeby zamilkł, ale on się nie poddaje. – Mmm, przyjaźń to piękna rzecz. Przyjaciele. Co byśmy bez nich zrobili? Gdybyście tylko wiedzieli, jak ważni byli dla mnie przyjaciele przez te wszystkie smutne lata na wygnaniu w Lizboonie – właśnie tak wymawia nazwę miasta: „Liszboona”, przeciągając „sz” i „o”. – Nie wiem, co bym bez nich począł. I bez przyjaciółek, rzecz jasna – dodaje, puszczając oko i wybuchając śmiechem. Silvia patrzy na niego z grobową miną. Wujek odwraca się znowu do Emmy i Olgi: – Chociaż zbiegi okoliczności nie istnieją. Wasze dzieci na pewno będą się

przyjaźnić tak jak wy.

Silvia spogląda na mnie, przewraca oczami i wzdycha głęboko, po czym mówi:

– Wujku, może już zdążyłeś zapomnieć, ale Olga i Emma są lesbijkami.

Olga zaciska szczęki i szarpie delikatnie obrus. Emma wbija we mnie spojrzenie, którego nie potrafię rozszyfrować.

– A co to ma do rzeczy? – Wujek Eduardo chyba poczuł się dotknięty. – Lesbijki też mogą być przyjaciółkami, prawda?

Przy drugim końcu stołu mama, lekko podpita, przytakuje i się uśmiecha.

– Ach – mówi, jakby nagle zdała sobie z czegoś sprawę. – Czyli... – patrzy na Emmę i Olgę i przyciska dłoń do serca – będziecie miały bliźniaki...?

„O matko”, myślę w duchu, głaszcząc Maxa po głowie, i mam ochotę zapaść się pod ziemię. „Nie dotrwyamy nawet do północy”.

– Nie, mamó – mówię tym samym głosem, jakim czasem próbuję przekonać swojego psa, żeby otworzył pysk i puścił skarpetki, z którymi chce iść na spacer. Liczę, że uda mi się skierować na właściwe tory tę ich braterską wymianę zdań, która może nie skończyć się happy endem.

– Nie? – pyta rozczarowana. – Czyli... – milknie nagle i próbuje zapanować nad swoimi nieposkromionymi myślami. – To znaczy, że tylko jedna z was jest w ciąży...?

Emma przytakuje z uśmiechem, który w naszej rodzinie ma tylko ona. Uśmiechem kogoś o niewyczerpanych pokładach ciepłości, kto jest przyzwyczajony do tłumaczenia nawet najbardziej oczywistych rzeczy.

– Ja – odzywa się Olga.

– Aha. – Słysząc w tym mamy „aha” rozczarowanie. Jej „aha” mówi nie tylko „aha, jaka szkoda”, ale coś dużo poważniejszego, głębszego. Chociaż mama pewnie nie jest tego świadoma, to, co tak naprawdę chce powiedzieć, to: „Aha, czyli to nie nasze geny”. Olga odruchowo próbuje zmusić się do uśmiechu. – Ale w takim razie... – Mama rusza ponownie do ataku, zdeterminowana, by poznać całą prawdę. – Ty nie brałaś w tym udziału? – zwraca się do Emmy. – To znaczy... mmm... no tak, przecież plemniki nie mogą być twoje.

Wybucham śmiechem. Emma również. Silvia nie.

– Nie, mamó, oczywiście, że nie – wyjaśnia Emma i kręci głową.

– Aha – mama wykorzystuje sytuację, by dolać sobie wina. – No tak! Że też wcześniej nie przyszło mi to do głowy! – wykrzykuje, po czym klaszcze w dłoń. – Chodzi o te brzuchy do wynajęcia, prawda, kochanie? Ale ze mnie głuptas! – mówi i kładzie Oldze rękę na ramieniu. Ta patrzy na nią z niedowierzaniem. – Czytałam o tym ostatnio w jednej z gazet Eugenii. Co za radość! – Nie może się opanować. – Będę babcią, Eduardzie! Babcią! W moim wieku! – mówi wzruszona. – Wyobrażasz sobie?

– Jaki znowu brzuch do wynajęcia, co ty, mamó, wygadujesz? – wtrąca się Silvia, która zapala papierosa i macha ręką, żeby dym nie leciał w moją stronę. – Nie widzisz, że brzuchów to im akurat nie brakuje?

– No tak – wtrąca wujek Eduardo głosem Yody z *Gwiezdnych wojen*. – Feminizm, feminizm, latające staniki, prawo do głosu i te rzeczy, „kobiety z kobietami i nikim innym”, ale kiedy chodzi o coś naprawdę ważnego, okazuje się, że facet jest jednak niezbędny, a reszta to zwykłe bajki. Jak byście sobie bez nas poradziły, co? – Nabiera powietrza, uśmiecha się i dodaje: – Byłybyście tylko cudownymi stworzeniami, żyzną glebą czekającą na silne, zdrowe nasienie, niedokończoną mapą niezaspokojonych przyjemności, przykładem...

– Wujku, proszę cię, nie zaczynaj znowu – przerywa mu natychmiast Silvia, przewracając oczami i strzepując gwałtownie popiół z papierosa na talerzyk, który mama postawiła jej obok

kieliszka. – Oczywiście, czasami może się wydawać...

– Trzeba to uczcić! – Mama zrywa się na równe nogi i potraça ręką butelkę coca-coli, a także jeden z dwóch świeczników, który upada na obrus i gaśnie. Szybko stawia z powrotem świecznik i butelkę, po czym biegnie do kuchni i wyciąga z lodówki cavę. – Niech no tylko Ingrid się dowie! – mówi i wzdycha z zadowoleniem. – Aż jej kapcie pospadają! – Podaje mi butelkę musującego wina do odkorkowania, a potem okrąża stół i obejmuje od tyłu Emmę i Olgę, przyciskając je do piersi. – Moje kochane – mówi i pochyla się, żeby pocałować je w głowy. – Nawet nie wiecie, jaka jestem szczęśliwa.

Moment odprężenia. Widok mamy przytulającej Olgę i Emmę i jej radosne spojrzenie rozluźniły napiętą wcześniej atmosferę. Mama wzruszyła się do głębi serca, bo ma przy sobie nas wszystkich, nawet wujka Eduarda, i w końcu może porzucić rolę nerwowej, niepewnej siebie gospodyni. Tak, mama jest odprężona, bo wie, że szum tej nocy zapewni niezawodne ja wujka Eduarda i że ona sama nareszcie może zamienić się w tę drugą Amalię, która nie rwie sobie włosów z głowy, żeby wszystko poszło jak należy, i która jest matką na swój własny sposób.

„Tak wiele rzeczy zmieniło się w tak krótkim czasie”, myślę w duchu, szczęśliwy, szczęśliwy jej szczęściem i szczęściem nas wszystkich. „Tak bardzo się zmieniliśmy”. W kapsule ciszy, która nagle zatrząskuje się nad naszymi głowami, Silvia odwraca się do mnie i przez kilka sekund wymieniamy spojrzenia. Jej ciemne, prawie granatowe oczy błyszczą i widać w nich coś, co jest tylko przelotnym cieniem, a nie jasnym światłem, ale i tak ma ochotę się uśmiechnąć. Są to oczy zmęczonej i zranionej Silvii, która teraz pozwoliła sobie odetchnąć, odpocząć od samej siebie; Silvii bez ciężkiego plecaka na ramionach, która pojawia się tylko wtedy, gdy nikt na nią nie patrzy i nikt jej nie widzi.

Błękit uśmiechu tańczy przez chwilę w jej oczach. Potem Silvia się odwraca i widzi to co i ja: mamę, starszą i zmienioną, która wraz z odejściem taty odzyskała te swoje cechy, które kiedyś ukrywała i nie pozwalała nam ich poznać. Od czasu do czasu zamienia się w tę roztargnioną, niewinną Amalię, która życie traktuje jak kolejkę górską, cieszy się przygodą, jaką los zaproponował jej właśnie teraz, kiedy ona sama najmniej się tego spodziewała, a my wszyscy myśleliśmy, że oprze się o framugę czasu w oczekiwaniu na swoją starość. Innym razem odkrywamy również jej oblicze B, to bardziej przygaszone, na które składają się cechy dorosłej kobiety uderzającej prawdą między oczy – zupełnie jak Emma, kiedy zrzuca na nas swoje bomby i tworzy wokół siebie lej. Tej nocy, od początku kolacji, mama była wersją A samej siebie, euforyczną i szczęśliwą, w gronie swoich najbliższych, nawet jeżeli każdy z nich był niczym walizka pełna tajemnic. Mama jest tej nocy szumem, zbyt głośnym hałasem, który niedługo ucichnie, bo w pobliżu jest już wujek Eduardo i coś jej podpowiada, że głośność i intensywność osiągnęły swój szczyt i że w końcu może się odprężyć. Uspokaja się teraz, kiedy nie ma już z nami taty i jego nagłych zmian tonu czy spojrzenia szarych oczu, które omiatało nas jak światło zniszczonej latarni. Mama zbyt długo żyła w świetle tego spojrzenia, zbyt długo dla niej samej i dla innych, i nawet jeżeli upłynęły już trzy lata, od kiedy tata postanowił odgrodzić swoją teraźniejszość od naszej, to przeszłość w dalszym ciągu rzucała cień na wszystko, czym teraz uczyliśmy się być.

„Cień taty wcale nie zniknął”, przychodzi mi nagle do głowy. „Jesteśmy tym, czego on już nie widzi, ale i tym, co jego cień w nas pozostawił”.

Chciałbym powiedzieć to na głos. Chciałbym wstać i przytulić Emmę i wraz z nią cieszyć się tym wspólnym macierzyństwem, ale kiedy odsuwam krzesło, mama kryje twarz w dłoniach i lekko się chwieje, jakby coś nagle wpadło jej do oka i zaczęło piec czy też jakiś wewnętrzny ból przygniótł ją niczym głaz.

Zamieramy. Pierwsza reaguje Emma.

– Mamo, dobrze się czujesz? – pyta zaniepokojona.

Mama dalej się kiwa i zakrywa sobie twarz rękoma. Wujek Eduardo rzuca serwetkę na stół i wstaje, przewracając krzesło.

– Amalio...

Mama się zatrzymuje, a my wtedy możemy usłyszeć, spomiędzy palców przyciśniętych do twarzy, jej głos.

– Jestem... taka szczęśliwa... że... – przerywa i kuli się w sobie.

Przełykam ślinę. Stojąca obok mnie Silvia gasi gwałtownie papierosa o talerzyk i chrząka wymownie. Nie lubi patrzeć na czyjeś łzy, a zwłaszcza na łzy mamy. Rozbraja ją. Rozbraja ją słabość i ból wyrażone w ten sposób, niemal fizycznie. Nie wie, co robić z tak czystymi emocjami. Nie chce ich. Zwłaszcza kiedy pojawiają się bez zapowiedzi.

Lecz oto nagle mama odrywa ręce od twarzy, odklejając palce od skóry powoli, jak taśmę klejącą. Potem oddycha głęboko z zamkniętymi oczami, wypuszcza powietrze ustami i krzyżuje dłonie na piersi, skupiona na każdym ruchu.

I mówi:

– Jestem taka szczęśliwa... – Uchyła powieki, jedną dłonią osłania oczy przed zbyt silnym światłem z lampy wiszącej nad stołem, a drugą kładzie sobie na brzuchu i przygryza dolną wargę ze zboląłą miną. – I taka wzruszona, że chyba... mmm... – Bierze kolejny głęboki wdech. – Zaraz się posikam! – woła, po czym odwraca się i biegnie małymi kroczkami do łazienki, łącząc kolana i zaciskając zęby.

Silvia przełyka ślinę i szuka kolejnego papierosa. Zapala go i powoli wypuszcza dym, który wypełnił jej płuca.

– Dalej ma na nogach kapcie w kratę – słyszę nagle swoje własne słowa.

Silvia spogląda na mnie, znowu wydmuchuje dym i szepcze znużonym głosem:

– Ja ją kiedyś zabiję.

Pięć

Nietrzymanie moczu pojawiło się u mamy po rozwodzie. Albo raczej kiedy w końcu zainstalowała się z Shirley w swoim nowym mieszkaniu i zdawała się wracać do uporządkowanego, jako tako, życia. Najpierw narzekała na pęcherz, potem przyszła kolej na zespół jelita wrażliwego, a z czasem zaczęły pojawiać się i inne dolegliwości, których przyczyny – choć na początku byliśmy nimi zaskoczeni i zaniepokojeni, zwłaszcza Silvia – szybko zrozumieliśmy.

– Wasza mama odreagowuje – wyjaśnił nam cierpliwie doktor Martin, lekarz pierwszego kontaktu mamy, który pomimo przejścia na emeryturę nadal przyjmował w domu swoich najstarszych pacjentów. – To normalne. Po ostatnich przejściach w końcu czuje się wolna i w ten sposób właśnie zaczyna to okazywać. Ciało to przedziwna maszyna, nie zrównana, ale przedziwna – dodał z uśmiechem, zdejmując okulary. – Nie zdziwcie się, jeżeli w ciągu najbliższych kilku miesięcy, może nawet lat, łagodne objawy, które do tej pory były tylko chwilowym niedomaganiem, wymkną się spod kontroli. Nie martwcie się tym. Doświadczenie mi podpowiada, że prędzej czy później wszystko wróci do normy.

Silvia i ja popatrzyliśmy na siebie. Moja siostra nie wyglądała na przekonaną. Doktor Martin zresztą też nie.

– I nie chodzi mi tylko o aspekty fizyczne – powiedział.

– Co pan ma na myśli? – zapytałam, aby uprzedzić Silvię, która wyglądała na szczerze zmartwioną.

– Będzie się to również objawiało w zachowaniu – oświadczył. – Z tego, co mówicie i co sam zauważyłem – spuścił na chwilę oczy i przebiegł wzrokiem po stole, jak nieobecny duchem, a potem ciągnął dalej – wygląda na to, że wasza mama przez długie lata żyła w strachu. Strachu przed pomyłką, przed zrobieniem czegoś nie tak, przed podejmowaniem decyzji...

Przytaknęliśmy.

– Teraz, co prawda, nikomu z niczego nie musi się tłumaczyć, ale z taką nagłą wolnością czasem ciężko jest się człowiekowi oswoić – kontynuował. – Kto wie, może zacznie wydawać więcej, niż powinna, lub podejmie jakieś bezmyślne decyzje. Kobiety, które wyszły z cienia męża i nagle muszą żyć na własną rękę, czasem się w tym gubią. Nie jest to łatwe, zwłaszcza w wieku waszej mamy. Jedyne, co mogę wam poradzić, to żebyście byli czujni, ale nie starali się jej kontrolować. Podświadomie na pewno będzie widziała w was kogoś, kto może zająć miejsce taty. Nie dajcie się w to wciągnąć. Dajcie jej swobodę, ale nie spuszczać z oka. Potrzebuje czasu, żeby uświadomić sobie, że nikt już jej nie skrzywdzi tylko dlatego, że jest sobą.

Silvia spuściła głowę. Ja przytaknąłem.

– Musicie uzbroić się w cierpliwość – dodał lekarz. – Czasem będziecie mieli wrażenie, że macie do czynienia z małą dziewczynką, uprzedzam. Wiele razy będzie wystawiała was na próbę, chcąc, żebyście odgrywali rolę, która nie jest wasza. Postarajcie się, macie jeszcze czas. Życie zajmie się resztą. Wierzcie mi.

Uwierzyliśmy.

I podziałało.

Mniej więcej.

To, co wydarzyło się później – kiedy mama wyprowadziła się ode mnie po kilku wspólnie spędzonych tygodniach, w czasie których każde z nas na swój własny sposób przeżywało naszą niespodziewaną wolność – jest dokładnym przeciwieństwem tego, co mogliśmy sobie wcześniej wyobrazić. Separacja, proces rozstania, a nawet koniec naszych związków były do siebie

podobne, to prawda, ale drogi, jakie potem obrał każdy z nas, biegły w zupełnie przeciwnych kierunkach. Życie zaskoczyło nas po raz kolejny.

Myśleliśmy, że mama pogrzeży się w długiej żałobie i że jej sześćdziesiąt lat i życie u boku męża, który nie kochał jej jak należy, będą jej ciążyły niczym kamień u szyi. Spodziewaliśmy się najgorszego, wyobrażaliśmy sobie najgorsze i przygotowaliśmy się na najgorsze.

Myliliśmy się.

Mama rzuciła się w wir nowego życia z niespodziewaną radością, dała się ponieść przygodzie i popełniała chętnie wszelkie możliwe błędy. W ciągu pierwszego miesiąca po wprowadzeniu się do swojego nowego mieszkania zawarła umowy z trzema różnymi sieciami telefonicznymi; zgodziła się na zakup dwóch ruterów (nie miała, rzecz jasna, ani komputera, ani zamiaru jego nabycia); kazała sobie zamontować klimatyzację, którą mogłaby schłodzić całą kostnicę; kupiła kominek i sto trzydzieści kłębków włóczki, żeby wydziergać koc, którego od lat nie może skończyć; znalazła się o krok od zainwestowania wszystkich swoich oszczędności w przedsięwzięcie, które ona sama określiła jako „akcje ekologicznego banku, który pomaga kobietom w Indiach i daje im kredyty bez odsetek, żeby tylko ich mężowie zostawili je w spokoju”, gdy w rzeczywistości chodziło o wymuszenie darowizn na rzecz organizacji pozarządowej, która jak się później dowiedzieliśmy, handlowała żonami owych indyjskich mężów, a także innymi kobietami, które mężów nie miały i pewnie nigdy nie będą mieć; kupiła sobie elektryczny samochód, który Emmie udało się zwrócić, bo mama jest w stanie zobaczyć, czy światło zmieniło się na zielone, dopiero jak wdrapie się na słup sygnalizacji, a do tego jedyny samochód, jaki miała w życiu, to ten, który kupił jej dziadek na dwudzieste pierwsze urodziny i który ona rozbiła po dwuipółgodzinnej przejażdżce, taranując warzywniak; nabyła tonę pojemników na żywność, wszelkich rozmiarów, kolorów i kształtów, tylko dlatego, że sprzedawała je koleżanka Ingrid, którą „mąż zostawił, biedaczkę, z trójką dzieci. Mnie nic to nie kosztuje, a jej może pomóc”, i tysiące innych gratów. Jednak tym, co niemal przyprawiło nas o atak serca, co było najgorszym z jej wybryków i czemu najtrudniej było zaradzić, to pojawienie się w domu Amiego. Ami dla mamy, a dla całej reszty Ahmed, całe popołudnia spędzał na ławce na placu tuż pod jej balkonem. Niewinne na początku komentarze typu: „Tutaj na dole siedzi taki fajny i dobrze wychowany chłopiec, że aż miło wyjść na spacer”, które potem stały się nieco bardziej podejrzone: „Ahmed jest tak uprzejmy, że dzisiaj po południu wniósł mi do domu wózek z zakupami, a potem został na herbatę i chwilę sobie pogadaliśmy”, po kilku tygodniach zamieniły się w alarmujące: „Żebyście tylko widzieli, jak dzieciaki ze szkoły kochają Ahmeda. Ma do nich podejście. Pewnie jest psychologiem czy kimś takim, bo dzieci codziennie, zaraz po wyjściu ze szkoły, od razu do niego biegną. Jego ławka jest pełnusiętka. Jak one go kochają! A on do tego jest taki uprzejmy dla sąsiadów. Mówię wam, skarb. Dzisiaj biedak miał ze sobą tyle rzeczy, że poprosił mnie o przechowanie kilku toreb, takich jak na mrożonki albo ze sklepu na święta. I w końcu wiem, co robi. Jest rzeźbiarzem, bo zajrzałam do tych toreb i wiecie, co zobaczyłam? Glinę! To znaczy taką specjalną glinę. Pewnie używają jej w szkole, w której pracuje. Jest zawinięta w plastik i w folię aluminiową, tylko pachnie tak jakoś... feee... brzydko, a Ingrid, jak wpadła na herbatę, to stwierdziła, że to może być pasta, której muzułmanie używają do robienia chleba, bo biedacy podobno nie wszędzie mają w kraju pszenicę. Zresztą kto to może wiedzieć!”

Zjawiłem się w mieszkaniu mamy po niespełna godzinie, ale nawet nie musiałem zaglądać do toreb, które jej aniołek zostawił w swojej nowej przechowalni – zapach haszyszu czuć było już w windzie. Kiedy policjant, który następnego dnia przyjechał po Ahmeda i jego towar, próbował przekonać mamę, żeby była ostrożniejsza i nie zgadzała się na przechowywanie

w domu podejrzanych pakunków, ona tylko usiadła na kanapie, spuściła oczy i powiedziała ze smutkiem w głosie: „Panie władzo, to niemożliwe, żeby mój Ahmed popełnił te wszystkie przestępstwa. Shirley go uwielbia, a zwierzęta, zwłaszcza te adoptowane, mają nosa do dobrych ludzi”. Policjant spojrział na nią, pokręcił głową, a przy wyjściu zatrzymał się na chwilę i ze zmarszczonym czołem zapytał: „Czy to nie tu miała miejsce ta rumuńska przeprowadzka?”. Potwierdziłem jego przypuszczenia, a wtedy mundurowy cmoknął językiem i powiedział, zniżając głos: „Przykro mi, że pana mama tak skończyła”.

To był dopiero początek. Niezależność mamy stała się karuzelą nieprzemyślanych zakupów, napraw, nagłych wypadków, łatania dziur, spłacania długów, zwracania niepotrzebnych sprzętów, unieważniania biletów lotniczych w najdalsze zakątki świata i załatwiania tysiąca innych spraw. I przygód. A przede wszystkim pełni życia.

Tak, pomyliliśmy się podwójnie. Wszyscy. Ze mną i mamą włącznie.

W dniu, w którym ja sprowadziłem się do kawalerki przy plaży, a ona przeniosła do swojego socjalnego mieszkania w bardziej luksusowej dzielnicy, nasze życie odwróciło się do góry nogami i nic, co wydawało się przewidywalne i zapisane w gwiazdach naturalną kolejną rzeczą, się nie sprawdziło. Zamieniliśmy się z mamą rolami. Kurek na dachu nagle się poruszył i jednemu z nas powiał w twarz ciepły wiatr z południa, a drugiemu zimny wiatr z północy.

Było to tak: mama zabrała morski wietrzyk do swojego nowego domu, swojego nowego życia z Shirley, z dziećmi na placu i emerytowanymi sąsiadami, nieumiejącymi oprzeć się aurze małej niewinnej dziewczynki, którą mama, od czasu odejścia taty, nieustannie wokół siebie roztacza. W ciągu zaledwie kilku tygodni znalazła dla siebie miejsce i zamieniła się w trzęsienie ziemi o niewielkiej skali, wprawiające w lekkie drżenie, delikatne kołysanie wszystko, co napotyka na swojej drodze. Miała swoją przestrzeń, plan dnia, zajęcia w siłowni i wypadki do chińskiego sklepu na rogu – w którym za pierwszym razem nabyła tylko serwetki z nadrukiem w psy, a obecnie kupuje wszystko, nawet pluszową piżamę – którego właściciel, gdy tylko ją widzi, mówi z poważną miną, nie odrywając wzroku od wiszącego nad drzwiami ekranu: „Kolytarz tsy plawo, ploszę pani”. Mama miała również swoje prawdy, które – od kiedy taty nie było obok, żeby ją zganić i upokorzyć, jakby była pojemnikiem na jego własną niepewność siebie – nie były dłużej tajemnicą. Tak, mama w końcu miała swoje prawdy, swoje półprawdy i swoją wolność.

Ale przede wszystkim miała nas. Naszą trójkę. Tylko dla siebie.

– Brakuje mi do kompletu tylko mamy – mawiała, kiedy schodziliśmy na temat tego, jak wspaniale się teraz czuje. W jej spojrzeniu można było dostrzec wtedy przelotny cień. – Niczego więcej nie brakowałoby mi do szczęścia.

Babcia Ester. Wspomnienie babci Ester. Mama bardzo za nią tęskniła, zwłaszcza na samym początku; wyładowania tęsknoty pojawiały się jak krótkie i gwałtowne zwarcia. I ból. Kiedy mama wspominała babcię, czuć było, że stoi nad przepaścią nostalgii i promieniuje bólem. Gdyby ktoś, kto jej nie zna, usłyszał ją w takich chwilach, mógłby pomyśleć, że babcia jest jedyną mamy pamiątką ocalałą z jej poprzedniego życia, jej jedynym skarbem. Były to, tylko jej znane, dziewicze obszary ciepła, nadające wagę i sens wielu rzeczom, które inaczej pewnie by ich nie miały albo nie mogły mieć.

Tak, ciepły wietrzyk powiał w kierunku mamy. Potrzebowała go tak samo jak ja.

Mnie zaś, we wschodniej części miasta, przy samej plaży, smagał swoimi podmuchami zimny wiatr z północy.

Dziwne.

Ja skończyłem trzydziestkę, a mama sześćdziesiątkę. Wszyscy myśleliśmy, że ona pograży się w żalu, a ja rzucę w wir nocnych przygód. Że ona będzie miała spokój, a ja całe życie

przed sobą. Że moja będzie przyszłość, a jej wspomnienia i odpoczynek.

Spodziewaliśmy się tego, czego można się spodziewać w takich sytuacjach, bo ktoś, gdzieś, w jakimś zakątku naszej historii nakreślił nasze mapy skarbów i podał nam fałszywe tropy. Dzięki tym mapom człowiek zazwyczaj dochodzi do obiecanego mu kufra, a wtedy kłódki, broniące dostępu do jego zawartości, otwierają się i ukazują czekającą na niego niespodziankę. Z czasem uczymy się jednak, że mapy należą do tego, kto je rysuje, a nie tego, kto się nimi kieruje, i że w życiu częściej uśmiecha się ten, kto ma wprawną rękę, niż ten, kto uważnie szuka.

Ja pomyliłem współrzędne swojej mapy i się zgubiłem. Tak bardzo chciałem, by rany, których nie miałem jeszcze odwagi rozdrapać, jak najszybciej się zasklepiły, że wydawało mi się, że samo zatrzęsienie drzwi do domu wystarczy, by zostawić za sobą wszystko, co w nim przeżyłem; że można zacząć od zera, biegnąc po prostu przed siebie, zmieniając krajobrazy i kolejność wydarzeń, tak jak robiła to mama. Łudziłem się, że wszystkie lata spędzone z Andresem już na zawsze pozostaną w folderze załatwionych spraw, razem ze swoimi załącznikami, zdjęciami, wspomnieniami, niedociągnięciami, błędami, sukcesami i hasłem dostępu. Myślałem, że ból po rozstaniu da się pokonać, ściągając go po prostu ze sceny, na której wystawiał, raz za razem, wspólnie przeżyte noce; że to, co człowiek przeżywa w środku, tam właśnie zostaje i że życie na zewnątrz nie ma z tymi przeżyciami nic wspólnego; że zmiana światła oznacza nowe scenografie, nowe miłości, nowe liny zachęcające do pokonania przepaści.

Następnego ranka po parapetówce wstałem, zaparzyłem sobie kawę i wyszedłem z Maxem na taras. Z nieba lał się żar, a od strony morza czuć było słoną bryzę.

– Tutaj będzie nam dobrze – powiedziałem, próbując przekonać raczej siebie niż Maxa, który akurat gonił gołębia, szczęśliwy w swoim szczenięctwie. – Tutaj nikt nie będzie nam przeszkadzał.

I właśnie wtedy, kiedy usłyszałem echo swoich słów i poczułem na języku ciężar i smak tego „tutaj nikt nie będzie nam przeszkadzał”, zrozumiałem, że życie zagrało ze mną znaczącymi kartami i że w przeciwieństwie do tego, co próbowałem sobie wmówić, moja mapa skarbów doprowadziła mnie aż tutaj, bo cały czas szukałem odskoczni *od* zamiast trampoliny *do*. Pojąłem również, że mama zabrała ze sobą ciepło i przygodę, bo z jakiegoś powodu wiedziała, że ja ich nie chciałem. Ja chciałem tylko być sam, z dala od przygód i ludzi, licząc na to, że czas się zatrzyma i już nigdy nic więcej mi się nie przydarzy. „Żeby tylko życie przeszło obok. Żeby tylko mnie nie znalazło”, myślałem w duchu i rozluźniałem się wewnętrznie, po raz pierwszy od wielu tygodni. W intymności swojego poddasza, mając za świadków jedynie dachowe anteny telewizyjne, pozwoliłem sobie wtedy na wspomnienie Andresa i tej części mnie, którą zabrał ze sobą, gdy odszedł, a nawet na tęsknotę za nim. Pomyślałem również o tacie i o tym, że dwaj najważniejsi mężczyźni mojego życia zniknęli niemal jednocześnie, tak po prostu, i nie walczyli ani o mnie, ani o to, co razem dzieliliśmy, nie poświęcili nawet chwili, by przyjrzeć się bliżej naszej wspólnej historii, jakakolwiek by ona była. Obydwaj odeszli, jakby przyszli z wizytą. Znaleźli inne życie. Tak po prostu. Inne, lepsze życie. Stworzyli nowy folder po tym, jak wyczyścili ten poprzedni. *Usunąć?* Tak. *Usunąć zawartość kosza?* Tak. Nowe hasło, nowa mapa skarbów. Do widzenia.

Po czterech latach przeżytych z Andresem – czterech latach mieszkania we dwójkę, snucia planów we dwójkę, bycia częścią czegoś, częścią kogoś, ufności i wiary, przekonania, że przybiłem do portu, z którego wypłynę ponownie tylko po to, by razem z nim odwiedzić inne porty, które sprawią, że staniemy się dojrzałsi, silniejsi, doroślejsi, że łączący nas czas już zawsze będzie biegł przed siebie, w linii prostej... Jedyne, co mi teraz zostało – po znalezieniu, wyrzeźbieniu, wyuczeniu się na pamięć, zacerowaniu, nadaniu miłości nowego imienia i odkryciu jej na nowo – co stanowiło mój smutny spadek, który zaprowadził mnie do tej

małej kawalerki przy plaży, to folder z plikami o nazwach: odrzucenie, ból spowodowany nieobecnością, rozczarowanie, złość, niepewność, poczucie, że jestem niekochany i zbędny, że nic nie znaczę, że jestem mało... Łudziłem się, że wraz z przewodzką i zmianą otoczenia rozwinę skrzydła, jak mama, i powtarzałem sobie słowa pocieszenia, które z czasem zamieniły się w utarte frazesy, jak „wszystko po dwa złote”, kicz, który niewiele znaczy i w niczym nie pomaga. Postanowiłem uciec, przekonany, że rozum znajdzie w ten sposób wytchnienie, które nie było dane sercu.

„Czas. To tylko kwestia czasu”, wmawiałem sam sobie i pozwalałem, by inni też mi to wmawiali. „Trzeba to przeczekać”.

Mama dostała skrzydeł. A ja uparłem się, żeby uwić gniazdo dla siebie i Maxa, ale nie wiedziałem, że to, co tak naprawdę buduję, to bunkier mający ochronić mnie przed światem i bólem. Mama odżyła, a ja zamknąłem się w sobie. Ona pozwalała się losowi zaskoczyć, a ja zacząłem obawiać się niespodzianek. Ona chciała wiedzieć, a ja wolałem mieć czas, żeby zrozumieć dlaczego. Dlaczego, dlaczego, dlaczego?

Usiadłem z filiżanką herbaty na stopniu między salonem a tarasem, ze szczekającym i ścigającym gołębia Maxem i nagle ujrzałem nas z lotu ptaka: ja siedziałem, a on biegł. Mężczyzna i szczeniak. Szczęśliwy szczeniak i skulony w sobie mężczyzna. I dopiero wtedy...

Zapłakałem nie tylko nad sobą, lecz także nad mamą, chociaż przeczuwałem, że jedynie ja znalazłem się na pustyni, z której trudno będzie się wydostać. Poczułem ból, swoją własną kruchość i taką litość nad sobą samym, że kiedy obejmowałem się ramionami, nacierając je solą unoszącą się w powietrzu, postanowiłem sobie, że w moim życiu już nigdy więcej nie będzie miejsca dla innego mężczyzny. I dla innego rozstania.

– Nigdy więcej – powiedziałem Maxowi, kiedy w końcu zbliżył się do mnie i pozwolił mi się przytulić. – Od teraz będziemy żyli we dwójkę, tylko ty i ja. Reszta nas nie interesuje.

*

Mama od kilku minut podśpiewuje w łazience. U szczytu stołu wujek Eduardo chrząka. Nagle, pod chwilową nieobecność mamy, każde z nas zagłębiło się w życiu, które zostawiło na progu jej mieszkania. Napięcie jest nieśmiałe, rodzinne, karmione dymem papierosów Silvii i krzykami dzieci, które pomimo późnej pory nadal bawią się na huśtawkach na placu.

To, co unosi się nad stołem, teraz, kiedy mamy nie ma, to obłok niewypowiedzianych nigdy słów, któremu daję się ukołysać, podczas gdy rozmyślam o sobie samym i o tych wszystkich latach bez Andresa i bez taty, z Maxem u boku; latach rozpoczętych chwilową przewodzką, jednym „muszę się zastanowić i podjąć jakąś decyzję”, które trwają do dzisiaj, upływają wolno i bezszelestnie. „Twoje lata w latarni”, powiedziała mi kilka miesięcy wcześniej Emma, tym swoim głosem, który zawsze brzmi, jakby mówiła wbrew sobie, obawiając się nieprzewidzianych skutków lub bólu, jaki może sprawić. Pojechałem na wieś spędzić z nią kilka dni i kiedy nadeszła pora powrotu, a ona odprowadzała mnie do samochodu, nie mogłem się powstrzymać i nie westchnąć, potwierdzając swoje przygnębienie słowami „Czas wracać na wygnanie”. Emma szła dalej, jakby mnie nie usłyszała, i zbierała na poboczu drogi gałęzie, ale po chwili, nie podnosząc głowy, powiedziała: „Ile jeszcze czasu zamierzasz mieszkać w tej latarni?”. Poczułem lekkie ukłucie w piersi. Odwróciła się do mnie i uśmiechnęła. Uśmiech Emmy zawsze jest szeroki, szczery i dobroduszny. Nie odpowiedziałem. Szliśmy dalej w milczeniu, lecz chwilę później znowu się zatrzymała i nie przestając się uśmiechać, zapytała:

– Pamiętasz tamto zdanie?

Kolejne ukłucie. W sercu.

„Tamto zdanie”, powiedziała. Od dawna, bardzo dawna żadne z nas go nie wspominało.

Ostatnim razem to ja jej o nim przypomniałem, ale potem (ile to już lat? Cztery? Pięć? Sześć?) już do niego nie wracaliśmy. Obydwoje znaleźliśmy na pamięć: zdanie, ton głosu, scenę. Obejrzelśmy ten film wspólnie wiele razy, i to zanim jeszcze życie zmusiło nas do używania tego zdania niczym inwokacji. Pamiętaliśmy w najdrobniejszych szczegółach spojrzenie Kidman zmienionej w Virginię, kapelusz z pomarańczową lamówką, płaszcz z kołnierzem i mankietami z brązowej wełny, ceglana ścianę stacji kolejowej za jej plecami... I jego, Leonarda, jego czarne włosy i wyprostowane plecy, słuchającego jej z boku, tak bliskiego i tak blisko niej, niedotykającego jej jednak... Znaleźliśmy na pamięć każdą minutę i sekundę tej sceny, wyznaczającej naszą erę przed *Godzinami* i po. Od razu zaczęliśmy wplatać to zdanie do naszych rozmów – gdy jedno z nas opadało z sił lub gdy nadchodziła godzina zwierzeń. Albo kiedy woleliśmy tego nie robić. Zdanie, i cała ta scena, towarzyszyły nam od tamtego czasu jak stalowa lina, którą obwiązaliśmy się w pasie, Emma na jednym końcu, a ja na drugim – naciągając ją to uderzeniem szczęścia, to nieszczęścia pojawiających się w naszym życiu – tak, aby łączyła nas wspólnie spędzonym czasem. Gdy chcemy przekazać sobie, że jesteśmy obok, jedno z nas wypowiada to zdanie, a wtedy drugie wie, że na końcu tunelu jest światło. Że latarnia świeci w ciemnościach. I że, na swój sposób, jesteśmy uratowani.

– Pamiętasz tamto zdanie? – zapytała Emma z wiązką gałęzi w ramionach i spojrzeniem pełnym nadziei.

Od razu usłyszałem w głowie głos Kidman, grającej Virginię Woolf, i zanim zdążyłem przypomnieć sobie resztę, słowa wypowiedziane przez aktorkę i słowa Emmy nałożyły się na siebie w milczeniu, napinając na nowo łączącą nas linę.

– „Nie można odnaleźć spokoju, unikając życia, Leonardzie” – powiedziała. Poczulem, że ściska mnie w gardle. Emma patrzyła na mnie przez chwilę i dodała: – Brat, tak nie można. Oboje o tym wiemy. – Potem odwróciła się i rzuciła, idąc przed siebie: – Pora wracać.

Chwilę później pożegnaliśmy się jednym z tych uścisków znanych tylko rodzeństwu, które wiele razem przeżyło, nawet jeżeli nie zawsze sobie o tym mówi, po czym wróciłem do domu. Tej nocy długo nie mogłem zasnąć. Przewracałem się w łóżku z boku na bok i czekałem na sen, który nie nadchodził, a na dworze wiatr z północy, wilgotny i gwałtowny, smagał anteny dachowe i kwiaty na tarasie. W końcu nie wytrzymałem. Wstałem, zaparzyłem sobie ziółka i poszukałem opakowania waleriany. Stałem przy oknie i połknąłem dwie tabletki. Chłostane podmuchami wiatru rośliny uderzały na tarasie o balustradę. Podnosiłem filiżankę do ust, gdy nagle zauważyłem jasny neon reklamowy, którego światło stało się nieodłącznym towarzyszem moich nocy. Zastygłem z herbatą w dłoni.

Wstrzymałem oddech. Wiatr, lata albo zwykły przypadek sprawiły, że część liter znowu przestała świecić. Mrugające teraz na tle morza przesłanie było zupełnie inne niż poprzednio.

Wyglądało na to, że eks zniknął nie tylko z mojego życia, lecz także ze słowa „Senex”.

– „SEN, KTÓREGO SZUKASZ” – przeczytałem na głos.

Z kanapy dobiegło mnie głośnie westchnienie Maxa, który przewracał się na drugi bok. Spojrzałem na niego i położyłem się obok. Objąłem go za szyję, podrapałem po brodzie i oparłem głowę na jego karku, po czym zwinąłem się w kłębek w oczekiwaniu na sen.

Rano, po spacerze z Maxem po plaży, udałem się na śniadanie do kawiarni na rogu ulicy. Poprzedniej nocy spałem niewiele, więc podszedłem do lady na wpół przytomny, zamówiłem tylko mocną kawę i croissant, po czym usiadłem na taborecie i pogrążyłem się w lekturze porannej gazety. Kiedy zjawił się przy mnie kelner, podniosłem wzrok i dostrzegłem na ścianie ogromne, sięgające aż do sufitu lustro, w którym odbijał się rząd stolików przy oknie. Moją uwagę przykuła osoba siedząca w rogu, odwrócona do mnie plecami. Pomimo dzielącej nas odległości, brudnych plam na lustrze i tego, że powieki ciążyły mi jak ołów, dostrzegłem nagle

coś znajomego w kształcie jej głowy, w sposobie, w jaki przechylała lekko ciało na bok... Po chwili odwróciła się w kierunku lady i podniosła rękę, wzrokiem zaś szukała kelnera.

Wtedy nasze spojrzenia spotkały się w lustrze.

Nagle zaschło mi w ustach.

Sześć

– Proszę, proszę, proszę – mówi wujek Eduardo i parska śmiechem, który przeradza się w kaszel. Olga i Emma spoglądają na siebie pytająco, a ja żegnam się w myślach z przeszłością i wracam do stołu. – Znaczy się w ciąży, tak? Nie wspominałyście, że macie to w planach, łobuzice jedne – ciągnie, kręci przecząco głową i grozi im palcem w geście nauczyciela żartownisia.

Na twarzy Olgi pojawia się wymuszony, napięty uśmiech.

– Właśnie tak – stwierdza. Reszta milczy. Mama dalej siedzi zamknięta w łazience i nuci coś po swojemu.

– Ach, macierzyństwo. – Wujek Eduardo szykuje się do kolejnego wystrzału, przewraca oczami i cmoka językiem. – Jak to wspaniale móc poczuć w sobie nowe życie – mówi i kładzie sobie dłoń na brzuchu. – Cud natury. Bez wątpienia jedna z najpiękniejszych rzeczy, jakie mogą nam się przytrafić.

„Oj”.

Silvia spina się odrobinę i kuli ramiona. Potem przechyla głowę i uśmiecha się z niewzruszoną miną.

– Tak, wujku – odpowiada. – Do dziś wspominamy, jak byłeś w ciąży z trojaczkami i odwiedzaliśmy cię w szpitalu.

Wujek Eduardo patrzy na nią i wybucha gromkim śmiechem, od którego aż drżą szyby w oknach za jego plecami.

– Ale ty masz dzisiaj cięty języczek – mówi. – Jakbyś wstała lewą nogą. Albo jakby cię chłopak zostawił.

Silvia dalej ma poważną minę. Wznosi oczy do nieba, a potem wyrzuca z siebie zniecierpliwiona:

– Czy ty, wujku, siebie słyszysz? Nie wiem, jak ty to robisz, ale zawsze wszystko przytrafia się właśnie tobie – dodaje nieco spokojniejszym głosem. – Wujek Eduardo zawsze wie lepiej. Kiedy ty masz trzy, on ma sześć. Jeżeli ty wszedłeś na szczyt góry, on zdobył Everest. Jeżeli ty skręciłeś sobie kostkę, jego potrąciła ciężarówka. Kiedy Emma i Olga są w ciąży, on okazuje się ekspertem od macierzyństwa, bo jakżeby inaczej, sam rodził przecież siedem narzeczonych dla siedmiu braci. Skoro dziewczyny trzymały to w tajemnicy, bo... bo taką miały ochotę i chciały zrobić nam niespodziankę, to na pewno on, wszechobecny wujek Eduardo, który zawsze wygrywa podwójną stawkę, bo wie więcej, ma więcej, myśli więcej i może więcej niż ktokolwiek inny, też nas czymś zaskoczy. Czymś lepszym, oczywiście. – Wujek Eduardo patrzy na nią i uśmiecha się wyrozumiale, ale nic nie mówi, bo mama akurat wychodzi z łazienki i zbliża się do stołu z wyrazem ulgi i zadowolenia na twarzy. W radiu leci znajoma melodia, która kończy się słowami „Wybiła jedenasta. Czas na wiadomości”.

– Kolejna niespodzianka, Eduardzie? – pyta mama, która staje za Olgą i kładzie jej dłonie na ramionach. – Nie strasz mnie.

– Nie, mamó – odpowiada Silvia ze zniecierpliwieniem, któremu towarzyszy kłęb szarego papierosowego dymu. – Tak się tylko mówi.

– Aha – odpowiada mama z uśmiechem idealnej gospodyni. – Dobrze. To ja może podam krem.

Emma wstaje, żeby jej pomóc, a wujek Eduardo chichocze z zadowoleniem.

– Tak – mówi – ten krem z papierka pachnie przepysznie.

Mama odwraca się w połowie drogi do piekarnika i patrzy na niego z twarzą pokerzysty.

– Nie, Eduardzie. Nie z papierka, tylko z kartonu. – Jej słowom towarzyszy ruch dłoni. – Miałam dzisiaj tyle na głowie, że nie zdążyłam nic innego ugotować. A te zupy z kartonu są takie dobre, że...

Silvia patrzy na mnie, jakby miała ochotę rzucić się biegiem do wyjścia.

– Mamo – mówi – trzeba było mi powiedzieć. Ugotowałabym coś i przywiozła.

– Co też opowiadasz, kochanie. W smaku nawet nie czuć, że jest sklepowa. I jeżeli dobrze widziałam, to nie ma w niej ani jednego E z tych, co to teraz dodają do wszystkiego – stwierdza, patrząc na Olgę. – Jest biologiczna, nie ma jedynie etykiety.

Silvia wbija wzrok w piekarnik, ale nie w krem, lecz w blachę pod spodem, na której jakieś ciemne kształty unoszą się na równie ciemnym morzu.

– A to drugie? – pyta Olga.

Mama przechyla głowę i również spogląda na piekarnik.

– Nie, to drugie nie jest biologiczne.

Wujek Eduardo zakłada okulary, żeby lepiej się przyjrzeć. Przymyka powieki i potakuje powoli głową.

– Mmm, wygląda ładnie...

Silvia się krzywi.

– Co to jest?

Mama kładzie sobie kokieteryjnie dłoń na policzku i z zadziorną miną oznajmia:

– Coś.

Patrzy na nas. My patrzymy na nią. Zapada cisza pełna wyczekiwania, którą mama przerywa w końcu słowami:

– W sosie. Coś w sosie. – I dodaje: – W białym winie.

Silvia łapie się za czoło, odwraca do mnie, puszcza oko i mówi, próbując zachować powagę:

– Aha, to wspaniale, uwielbiamy przecież cosie w sosie.

Mama uśmiecha się rozbawiona.

– Ale skoro już tu jesteśmy, może jednak mogłabyś opisać w dwóch słowach, o jakie... cosie dokładnie chodzi – nalega Silvia z podniesioną brwią.

– A właśnie – przerywa jej wujek Eduardo, który wodzi po nas wzrokiem – skoro już mowa o winie... – ciągnie z miną kogoś, kto ma coś ważnego do powiedzenia – nawet jeśli nasza domowa perfekcjonistka uważa, że to, czym chcę się pochwalić, nie ma żadnego znaczenia, chciałbym wam oznajmić, zanim jeszcze skosztujemy tego *crème de la crème*, że owszem, mam kilka nowinek. I moim zdaniem są równie istotne jak wasze brzuchy do wynajęcia czy... sztuczne nasienie, czy jak tam nazywa się to, co zrobiliście – ogłasza, zwracając się do Emmy i Olgi.

Mama zastyga z półmiskiem w ręku, a Silvia kopie mnie delikatnie pod stołem. Siedząca naprzeciwko mnie Olga chrząka wymownie, podczas gdy Emma odruchowo przesuwa palcem po ekranie telefonu.

Wujek Eduardo bierze do ręki kieliszek i uśmiecha się najlepszym ze swoich uśmiechów, z tych przemyślanych i specjalnie zaprojektowanych do polowań na grubego zwierza.

– Tak, rodzinco – mówi triumfalnym głosem, rzuca Silvii wymowne spojrzenie i omiata wzrokiem resztę. – Ja również mam tej nocy co świętować.

Silvia uderza dłonią w stół i przytakuje.

– Oczywiście! Jakżeby inaczej! – wykrzykuje. – Nasz Superwujaszek Eduardo przecież nie może zostać w tyle!

Mama się obrusza i patrzy na nią z wielkim półmiskiem kremu w rękach, mruga przy tym

zdziwiona.

– Dobrze się czujesz, kochanie?

Wujek Eduardo parska śmiechem i mówi, patrząc na mamę:

– Twoja córka wstała dzisiaj lewą nogą.

– Prawda w oczy kole – odcina się Silvia. – Ale dobrze, przekonajmy się, co też za wspaniałą nowinę chcesz nam przekazać. – Nie pozwala mu jednak odpowiedzieć i ciągnie: – Albo nie, nie mów! Sama zgadnę. Może, może... Już wiem! Na pewno zgłosiłeś się na kandydata do tytułu króla smażonego kurczaka w Portugalii. Nie, może nie. Wiem! Odkryłeś, że masz syna i że wzenił się w rodzinę Kennedych. Albo... albo...

Wujek Eduardo patrzy na Silvię i uśmiecha się spokojnie i wyrozumiale; w jego uśmiechu widać przebłyskującą czułość. Złośliwość, jaką Silvia bombarduje go od samego początku kolacji, nie robi na nim wrażenia, bo wie, podobnie jak my wszyscy, że Silvia wali niczym z armaty, ale wcale nie chce trafić. Skacze wokół niego jak rozkapryszona dziewczynka, próbująca ukarać dorosłego za to, że na zbyt długo zostawił ją samą w parku pełnym atrakcji, które nie przypadły jej do gustu. Silvia przekazuje w ten sposób wujkowi Eduardowi, że za nim tęskniła; zasypuje go ze swojego bunkra wyrzutami, na które wujek jej pozwala, bo cieszy się, że zasłużył na jej uwagę. Wie, że kiedy krzyki się skończą, nadejdzie spokój, a ten warty jest największej awantury.

Słabość. Słabość i wzajemne uwielbienie wyznają obydwójce, od kiedy Silvia, która była bardzo poważnym dzieckiem, postanowiła, że wujek Eduardo zostanie mężczyzną, w którym ona będzie mogła przeglądać się jak w lustrze, z dala od taty, jego mętnych ojcowskich uczuć i tego pokręconego labiryntu sprzecznych sygnałów, które wysyłał, kiedy odsuwał nas od siebie na raty, odpowiednio odmierzone. Ojciec chrzestny i chrześniaczka. Eduardo i Silvia. On, zawsze się o nią troszczący i wiecznie nieobecny, a ona, czekająca, jak narzeczona marynarza, na wiadomości przesyłane za pośrednictwem mamy i babci, telefony i pocztówki. A kiedy w końcu się zjawiał, Silvia wyciągała ze swojego plecaka, podobnie jak teraz, katalog wyrzutów, którymi zaczynała ciskać na prawo i lewo i policzkować go jak rozwścieczona żona.

Wiadomość, którą Silvia próbuje mu przekazać, to: „Wujku, wujku, spójrz na mnie, tu jestem”. On zaś odpowiada jej swoim łobuzerskim, wyrozumiałym uśmiechem: „Silvio, zobacz, przecież tutaj jestem. Może i trochę spóźniony, ale jestem. A skoro jestem, to znaczy, że wszystko gra. Że między nami jest jak dawniej”.

Zazdrość. Kiedy patrzę na nich, czuję przez chwilę ukłucie zazdrości, gdyż ta więź zawsze łączyła tylko ich dwoje. Ta czułość, to wzajemne zrozumienie, tak żywe, pełne odprężenia i pełne napięcia, to wyłączna własność Silvii i wujka Eduarda i pomimo upływu czasu, pomimo wszystkich przeżyć, rozstań i odległości, pomimo tego, że należą do dwóch różnych i równoległych światów, oboje wiedzą, że są, że to, co mają, jest nietykalne, nawet jeżeli reszcie wydaje się, że są bliscy kłótni, bo zachowują się jak pies z kotem. Przez ułamek sekundy, gdy patrzę na tę ich grę, na jej zdenerwowanie i jego radość, słyszę w głowie ostrzegawczy głos, przemawiający do mnie z jakiegoś zakątka tego Fernanda, który obserwuje ich z mojego miejsca. Wsłuchuję się w ciosy, jakie Silvia zadaje wujkowi Eduardowi, odbijające się od jego uśmiechu jak piłka tenisowa od ściany, i przeczuwam, że Silvia prosi go w rzeczywistości o coś więcej, że jest to jej wołanie o pomoc. Wiem również, że on jeszcze tego nie spostrzegł i że tej nocy lina, której końce ciągnie każde z nich, może napiąć się zbyt mocno, a wtedy ich gra zamieni się w ryzyko. Wiem również, że Silvia jest od kilku dni żywym polem minowym, i dziwię się, że nikt oprócz mnie nie słyszy tykania jej bomb.

Coś mi mówi, że dzisiaj ktoś, nie wiem jeszcze kto, nadeptnie na jedną z tych min i wysadzi Silvię w powietrze. Mam tylko nadzieję, że kiedy to się wydarzy, wujek Eduardo stanie

na wysokości zadania.

Na razie wujek tylko się uśmiecha i czeka z uniesionym kieliszkiem.

– Mogę już mówić? – pyta, gdy spostrzega, że Silvia w końcu zamilkła.

Ona potakuje głową. Mama wciąż stoi ze srebrną wazą w rękach i szeroko otwartymi oczami, pełna wyczekiwania.

Wujek Eduardo podnosi wyżej kieliszek, chrząka, obdarowuje nas nowym uśmiechem i mówi:

– Pierwsza nowina to taka, że... przestałem pić.

Mama patrzy na mnie i wykrzywia usta, jakby chciała powiedzieć „A nie mówiłam? Nigdy mnie nie słuchasz”. Olga również chrząka, a potem zaczyna się rozwódzić:

– Pozwól, że ci powiem, Eduardzie, że moim zdaniem podjąłeś właściwą decyzję i że zasługujesz na podziw i uznanie. – Chrząknięcie. – W pewnym wieku człowiek powinien przemyśleć sobie pewne rzeczy i być konsekwentnym w swoich postanowieniach. Nie chciałabym wtrącać się w nie swoje sprawy, ale uważam, że taka okazja tego wymaga... – ciągnie, chociaż to, czego wujek Eduardo nie znosi, to gdy mu się przerywa, zwłaszcza w momencie, w którym światła wszystkich reflektorów są skierowane na niego. Dodaje więc gazu i nie pozwala jej skończyć.

– Druga nowina – mówi, a Olga zastyga z otwartymi ustami i obrażoną miną – jest taka, że... – Oddycha głęboko, zamyka na sekundę oczy i wydechając powoli powietrze, wyrzuca z siebie dwa słowa: – Żenię się.

Cisza.

Z drugiej strony okna, na placu, słychać krzyki i śpiewy przechodzącej grupy nastolatków. Oddalają się jednak szybko i zabierają swoje głosy ze sobą. Tutaj, w salonie, panuje grobowa cisza, aż w końcu mama, która dalej trzyma kurczowo wazę, wydaje z siebie krótkie „Oh!”, które u niej może oznaczać dosłownie wszystko. Zaczyna mrugać ze zdziwieniem powiekami i z ciętym uśmiechem pyta:

– I mówisz to tak po prostu?

Wujek Eduardo podnosi brew, wyraźnie zaskoczony. Mama precyzuje swoje pytanie:

– Tak po prostu? Tak... jak gdyby nigdy nic?

On zastyga z kieliszkiem w dłoni, zmieszany nieoczekiwaną reakcją swojej własnej siostry, która powoli stawia wazę i podchodzi do szczytu stołu. Wujek podnosi się i uśmiecha promiennie.

Rzucają się sobie w ramiona, a potem mama odsuwa się i mówi łamiącym się głosem:

– Eduardzie, nawet nie wiesz, jaka jestem szczęśliwa. – Znowu się wzruszyła. Kładzie dłoń na piersi i uśmiecha się szeroko, uradowana jak dziecko. Olga i Emma też się rozpogadzają, zarażone radością przepelniającą mamę. W oddali, w jakimś zakątku nocy, zegar wybija kwadrans. Mama kładzie dłonie na policzkach wujka, szarpie nim w dół, żeby usiadł, i całuje go dwa razy w czoło. Potem patrzy na niego uważnie i mówi: – Mama byłaby z ciebie dumna, Eduardzie...

On spuszcza oczy, ale mama jest zbyt rozochociona, euforyczna.

– Nawet sobie nie wyobrażasz, jaki to ważny krok. – Wujek przytakuje, równie wzruszony. Mama mruga szybko, jakby miała się rozpłakać. – Co za odwaga. Ach, co za odwaga, kochanie, żeby tak odstawić wino – mówi i pociąga nosem. – I co za wspaniała wiadomość dla twojego cholesterolu. Ingrid zawsze mówi, że człowiek wtajemniczony kocha zwierzęta jak siebie samego i utrzymuje swoje trzecie oko w czystości, a cholesterol w ryzach. Ach, poprawi ci się nawet skóra – wyrokuje głosem starszej siostry, głaszcząc go znowu po policzku i wzdychając głęboko. – Nawet nie wiesz, jaka to poważna decyzja, nawet tego nie

podejrzewasz. Większej radości nie mogłeś mi sprawić. Brak mi słów.

Po raz pierwszy od początku kolacji uśmiech wujka staje się niepewny, ale zanim wróci do swojego normalnego kształtu; zanim Silvia spojrzy na mnie i wybuchnie śmiechem; zanim Emma spuści oczy i będzie próbowała zachować powagę, żeby nie zranić mamy; zanim Olga chrząknie i zrobi wyniosłą minę, jaka w naszym gronie często gości na jej twarzy i którą pewnie chce wyrazić myśl: „Ta kobieta ma nie po kolei w głowie, a cała jej rodzina jest niepoważna i taka... taka... chaotyczna”; zanim nastąpi to wszystko – i nie tylko to, gdyż noc miała przynieść nam jeszcze więcej niespodzianek, które powyjmuje ze swojego worka i położy na stół w salonie mamy, będący ekranem wielkiego radaru – mama, odzyskawszy najlepszą wersję samej siebie, wersję A, odwraca się, bierze ze stołu wazę i potrząsając nią w powietrzu, jakby trzymała w rękach poduszkę z pierzem, wylewa połowę kremu na ogon Maxa, który piszczy z bólu, po czym mówi z udawaną radością:

– Bierzcie się do jedzenia, niedługo czas na winogrona!

Siedem

– Piosenkarką?

Pytanie to zadaje mama. Po kremie, lub raczej tym, co zdołaliśmy z niego uratować, na stole pojawił się półmisek z jeziorem pełnym „czegoś w sosie”, co koniec końców okazało się smażonymi kulkami ze szpinaku w sosie dyniowym według przepisu, który jakżeby inaczej, mama znalazła w jednej z gazet o zdrowym trybie życia, podrzuconej przez Ingrid. Z tego, co widać, przepisy te nie do końca się udają. Szpinakowe kulki po wyjęciu z blachy ciągnęły za sobą, niczym skorupę, kółka z marynowanego sosu, dlatego też każdy z nas miał teraz przed sobą na talerzu układ planetarny złożony z dziwnych globów z pierścieniem pośrodku. Wszystkie planety leżały nietknięte.

Po tym, jak wujek Eduardo podzielił się z nami swoją nowiną o ślubie i przyszedł czas toastów, uścisków, kolejnych toastów, błagań, pytań i szpilek wbijanych przez Silwię, wiadomością, która najbardziej mamę uderza, jest to, że jej przyszła szwagierka pochodzi z Portugalii.

Nie do końca może to pojąć.

– Ale jest... mmm... Portugalką Portugalką czy taką Portugalką z Portugalii? – pyta po raz drugi.

Silvia wzdycha zniecierpliwiona, a Olga ogląda brązowy sputnik leżący na jej talerzu z miną mówiącą: „Nie wiem, co mam z tym zrobić”, i przetyka ślinę.

– Mamo – mówię, nie mogąc się powstrzymać. – Jeżeli jest Portugalką, to raczej z Portugalii, nie sądzisz?

Odwraca się do mnie.

– Synku, chciałam się tylko upewnić – mówi.

– Tak, Amalio, oczywiście – odpowiada wujek Eduardo, zachwycony efektem, jaki jego nowina wywołała u publiczności. – Portugalką z Portugalii.

– Aha – stwierdza mama. – W sumie to chyba nic w tym dziwnego, bo zawsze mieliśmy dobre stosunki z Portugalią, prawda, kochanie?

– Mamo, nie mów głupot, nigdy nie mieliśmy dobrych stosunków z Portugalią – prostuję natychmiast. Mam ochotę dowiedzieć się czegoś więcej na temat tajemniczej wybranki serca, a jeżeli mama dalej będzie zadawać te swoje pytania, to nigdy nie poznamy szczegółów, które wujek na pewno chowa w rękawie jak asy.

– Nieprawda – odpowiada mama, popijając wino. – Historycznie rzecz ujmując, Portugalczycy i Hiszpanie zawsze bardzo się kochali. Ale to bardzo – mówi i unosi kieliszek. – Weźmy taką Eurowizję. Jaki kraj jako jedyny zawsze na nas głosuje? Portugalia. No dobrze, Portugalia i Andora, ale na kogo mieliby głosować biedni Andorczyki, skoro nikt inny ich nie kocha za to, jakimi są? Tylko za te ich góry i tanie papierosy. Szkoda, co? Chociaż to pewnie dlatego tak kiepsko jeżdżą samochodami, bo wszyscy przemycają rum i marlboro lighty i uciekają przed policją. Ja też bym uciekała. Nie, nie, głupi to oni nie są. Trochę dziwni, ale głupi na pewno nie...

Silvia śmieje się pod nosem. Cała mama. Kiedy się poślizgnie i jedzie bez trzymanki, snuje te swoje opowieści i snuje, bez ładu i składu – jakby siedziała w izbie przyjęć szpitala psychiatrycznego – i nie chce ich skończyć, gdyż czuje się dzięki nim swobodnie i wie, że jest w stanie rozbroić nimi Silwię. Mnie, z kolei, czasami te jej wygłupy drażnią, bo jest w nich coś, w co nie do końca wierzę. Coś, co nie jest prawdą, lecz zbyt wielkim szumem.

– Tak, Sindy jest Portugalką – potwierdza zachwycony wujek Eduardo.

Mama wzdycha i kiwa powoli głową.

– No tak, od czasów Joanny Szalonej nic nie jest takie jak dawniej – mówi z żalem. Kiedy nikt z nas nie odpowiada, rozpędza się i skacze na główkę. – Chodzi mi o syndrom Joanny i całą tę resztę.

Olga wygląda, jakby właśnie zobaczyła dziobaka wyprzedzającego ją na środku autostrady.

– Syndrom... Joanny?

Mama potakuje energicznie głową.

– Tak – mówi z ważną miną. – Bo Joanna przecież nie zawsze była szalona. Wszystko zaczęło się od tego, że w tamtych czasach Hiszpania i Portugalia były jednym krajem, a ona, jako bardzo delikatna księżniczka, mogła spać tylko w pościeli z portugalskich włókien, które sprowadzano z Lizbony, ale kiedy wyszła za Filipa, okazało się, że on wolał, żeby wszystko było francuskie, i Joanna nie mogła odtąd spać w nocy, bo miała alergię i bez przerwy się drapała, jak Shirley, kiedy coś ją swędzi za uszami i muszę je przemywać chusteczkami z aloesem, które dała mi pani weterynarz, tylko że Joanna drapała się po całym ciele, ale i tak nikt jej nie wierzył. I od tego niespania i ciągłego drapania się biedaczce poprzestawiało się w głowie i stąd to szaleństwo portugalskich włókien albo syndrom Joanny.

Silvia wpatruje się w nią z otwartymi ustami. Reszta też nie wie, co powiedzieć. Pierwsza odzyskuje mowę Olga.

– Sindy, tak? – pyta i podnosi brwi. – To takie... takie... słodkie imię.

Wujek Eduardo wzdycha głęboko.

– Cała ona jest słodczyką – potakuje lekko głową. – Chociaż Sindy, rzecz jasna, to nie jest jej prawdziwe imię. W rzeczywistości nazywa się Tereshina.

Silvia odwraca się do niego, ale zanim zdąży cokolwiek powiedzieć, mama znowu dorzuca swoje trzy grosze.

– Och! Teleszyja! Jakie ładne imię, Eduardzie – mówi i wbija widelec w skalistą planetę spoczywającą na jej talerzu, która otwiera się niczym gipsowa skała i ukazuje w środku zielonkawą breję mającą być nadzieniem ze szpinaku. – A po hiszpańsku jak by to brzmiało?

Teraz to ja się śmieję. Wraz z Emmą.

– Te-re-shi-na – poprawia ją wujek i kręci z niedowierzaniem głową. – Nazywa się Tereshina, jak jej matka, chociaż jej pseudonim artystyczny to Sindy.

– Pseudonim... artystyczny? – pyta Silvia z uniesioną brwią.

W oczach wujka pojawia się blask.

– Tak, Sindy jest piosenkarką.

Olga aż podskakuje, kiedy mama uderza dłonią w stół.

– Wiedziałam! – oświadcza. – I na pewno ma stoisko na jednym z tych uroczych placyków Lizbony, na których ciągle przewracają się dzieciaki i staruszkowie, bo gdzieś czytałam, że w tym mieście jest tyle wzniesień, że od małego wszyscy toczą się po ulicach w dół, by z nich nie spaść, a przy okazji czyszczą jezdnie i one potem są naprawdę wypolerowane, na błysk, nie to co tutaj, wystarczy tylko spojrzeć na plac: wszędzie walają się papiery i resztki. Ach, Tereska na pewno śpiewa fado, a tym swoim śpiewem wyciska łzy z oczu, prawda? Bo Portugalia taka jest. Taka... tropikalna... Ingrid nie uwierzy, jak jej powiem. Nie przestaje ostatnio płakać, bo szaman, kiedy już przejechał jej tymi mieczami po plecach, powiedział, że jeżeli chce się pozbyć napięcia elektrycznego, które nagromadziło się w jej ciele, od kiedy pracuje w sektorze turystycznym, musi płakać.

Wujek Eduardo kładzie widelec obok talerza i pije łyk wina.

– No... – mówi – niezupełnie.

– Nie? – pyta Silvia z zainteresowaniem, które brzmi trochę nieszczerze.

– Nie – oświadcza wujek. – Sindy jest... jakby to powiedzieć? – Przechyliła lekko głowę i pociera sobie brodę gestem, który dodaje mu tajemniczości, o czym pewnie ktoś już mu kiedyś powiedział. – Jest bardziej... mmm... zaangażowana – mówi i mruży jedno oko. – Bardziej... jak dzisiejsza Portugalia.

Uśmiech mamy zmienia się w grymas żalu i zmartwienia.

– Och. Jest... biedna?

Silvia i ja, pomimo naszych chęci wysłuchania wujka Eduarda do końca, wybuchamy śmiechem. Kiedy mama zaczyna przemawiać ze swojej planety skojarzeń i rozkojarzeń, efekt jest właśnie taki i chociaż doskonale o tym wiem – wszyscy wiemy – to i tak nie przestaje mnie to zaskakiwać.

Wujek Eduardo, który zdążył uodpornić się na kosmiczną logikę mamy, kręci przecząco głową, odstawia kieliszek i wzdycha głęboko. Potem odsuwa krzesło i wstaje. Podchodzi do swojej torby podróżnej i wyciąga z niej kwadratowy futerał Louisa Vuittona, który choć na pierwszy rzut oka wygląda jak teczka na dokumenty, okazuje się iPadem.

Siada z powrotem przy stole, dotyka palcem ekranu, z którego wydobywa się charakterystyczny dźwięk, następnie kładzie urządzenie na stole i mówi:

– Chodźcie obejrzeć. Przedstawię wam Sindy.

Wstajemy szybko i stajemy za jego plecami. Sekundę później, upewniwszy się, że cała nasza uwaga jest na nim skupiona, wujek przesuwając znowu palcem po czarnym ekranie, który jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki zmienia się w teledysk na YouTubie, rozpoczynający się syntetycznymi grzechotkami i żółto-czerwonymi literami układającymi się w pseudonim Tereshiny i tytuł piosenki śpiewanej w języku portugalskim, którą mamy obejrzeć z hiszpańskimi napisami.

„Jestem suką z ulicy. Daj mi crack, daj mi crack”, głoszą napisy. A pod spodem: Sindy Lopes.

Silvia szturcha mnie łokciem tak mocno, że prawie tracę dech, i szepcze bezgłośnie: „Sindy Lopes?”. Olga mruga z niedowierzaniem, pochyła się lekko do przodu i opiera na ramieniu Emmy. Mama zaś klaszcze z zachwytem w dłonie.

– Tereska lubi psy! Tereska lubi psy! – wykrzykuje. – Ach, dobry początek. Punkt dla niej.

Napisy początkowe znikają, a to, co pojawia się na ekranie potem, jest czymś zawieszonym między okropnością a katastrofą: wysoki i chudy Michael Jackson z włosami jak pletwy ostrosza, wielkimi okrągłymi oczami, które wyglądają, jakby zaraz miały wyskoczyć z orbit na drugą stronę ekranu, i szczeciną sterczących jak druty wąsów. To właśnie Sindy, na pierwszym planie, ubrana w złoty obcisły kombinezon, z wąskimi mankietami i purpurowym kołnierzem, pod którym zaznaczają się maleńkie piersi ze sterczącymi sutkami, i adidas na białej platformie, które były modne w latach osiemdziesiątych, dopóki ktoś miłosierny nie wyrzucił ich za okno.

Sindy Lopes.

– Matko przenajświętsza – mówi stojąca obok mnie Olga głosem brzmiącym jak wstrzymywany jęk. – Przecież to jest...

Nie słyszymy, kim według Olgi jest Sindy, gdyż w tym właśnie momencie syntetyczne grzechotki ustępują miejsca piekielnemu waleniu rozsadzającemu uszy, a Ostrosz Wyłupiasty z wąsem zaczyna kręcić biodrami i rzuca przy tym w zawrotnym tempie wiązanek przekleństw w języku, który ma być chyba rapem w sosie z dorsza, a według zamieszczonych napisów słowa piosenki brzmią mniej więcej tak:

„Weź mnie, weź mnie,
Weź mnie na spacer.
Połóż mnie na tacę, aż wystrzelą race.
Jestem twoja jak ta kreska.
Wiesz, że lubię na pieska.
Aj aj aja
Aj aj aja”.

Wujek Eduardo z zadowoleniem bębni palcami o stół w rytm muzyki. Nikt z nas się nie odzywa. Sindy najpierw przechadza się po ekranie, dotykając się po całym ciele, a potem zrywa z siebie spodnie, jak striptizer z przydrożnego baru, i tańczy dalej w samych stringach. W tym momencie wujek ścisza muzykę i odwraca się do nas.

– I co? Jak wam się podoba?

Cisza.

– Prawda, że jest... wyjątkowa?

Cisza.

Silvia pochyla się lekko do przodu, żeby lepiej widzieć to, co dzieje się na ekranie, a mama odzywa się niepewnym głosem:

– A kiedy pojawi się Sindy?

Wujek Eduardo patrzy na nią.

– Amalio, to właśnie jest Sindy.

Mama pochyla głowę, zaczyna chichotać i kładzie sobie dłoń na policzku.

– Chi, chi, chi. Dzieciak. – A potem, poruszając w powietrzu ręką, dodaje: – Eduardzie, no wiesz co, przecież to jej brat, jak Boga Kocham! Żeby pomylić swoją narzeczoną z jej bratem... – mówi i kręci głową. – Powiem ci jedno: to przez twój wzrok, ale skoro odstawiłeś alkohol, to na pewno będziesz lepiej widział.

Silvia wykorzystuje okazję, żeby uruchomić silniki maszyny.

– Jest bardzo *szik*, wujku, naprawdę. – Uśmiecha się i znowu spogląda na ekran. – Widać, że jest przebojowa. Może nawet... jakby to powiedzieć... inna niż wszystkie.

Mama przechyla głowę z jednej strony na drugą, śledząc na ekranie ruchy Sindy.

– Masz rację, córciu – mówi w końcu. – Jeżeli ten dzieciak to naprawdę ona, w co wątpię, to na świętą Tereskę raczej nie wygląda. Nazwijmy rzeczy po imieniu. – Pochyla się nad iPadem, przykłada sobie rękę do oczu, żeby światło jej nie oślepiało, ale nadal nie wydaje się przekonana, i przesuwa palcami po ekranie, jakby chciała go wyczyścić. Potem otwiera szeroko oczy i mówi: – Wygląda trochę, jakby była... czarna.

Olga, na której plecach mama się opiera, podnosi brew i przewraca oczami.

– Ona *jest* czarna, Amalio.

– Aha – mówi mama i zbliża twarz do ekranu. Nagle uśmiecha się jak dziecko i wykrzykuje szczęśliwa: – No tak! Dlatego ma takie kręcone włosy! – Potem spuszcza wzrok i dodaje, wykrzywiając lekko usta: – Zawsze było mi trochę szkoda czarnych ludzi z powodu tych ich kędziorów.

Silvia odwraca się powoli i patrzy na nią z niedowierzaniem, ale powstrzymuje się od komentarza. Czeka, aż mama dokończy swoją myśl. Mama, gdy to do niej dociera, rzuca się w przepaść w stylu wolnym.

– Tak – mówi, potakując wolno głową. – Z powodu włosów. – I kiedy widzi, że nikt nie ma zamiaru się odezwać, ciągnie: – Na pewno są tak sztywne, że nie pozwalają im w nocy spać, bo jak tylko dotkną głową poduszki, to te kędziory zaczynają wbijać im się w czaszkę, a to musi bardzo boleć. Dlatego muszą spać na brzuchu, z głową w dół, jak nietoperze.

– Mamo, przestań – gani ją Silvia, która już nie wytrzymuje. Mama szuka mnie wzrokiem, ma nadzieję, że ruszę jej z pomocą, ale nie daję się wciągnąć do gry. Silvia wykorzystuje okazję, żeby powiedzieć głosem pełnym udawanej słodyczy: – Wujku, to kiedy, mówisz, są jej piętnaste urodziny? – Wujek Eduardo odwraca się i spogląda na nią ze zmarszczonym czołem. Potem, po kilku sekundach wahania, postanawia puścić to pytanie mimo uszu i skupia się znów na iPadzie. Sindy wije się dalej na ekranie w towarzystwie dwóch poobwieszanych kolczykami nastolatków strzelających do kamery z pistoletów na kapiszony i śpiewających chórki. Liczba sprośności na sekundę w słowach piosenki jest tak zawrotna, że Olga aż przetyka ślinę i przykłada rękę do twarzy. Emma, która stoi obok mnie, patrzy na ekran nieobecny wzrokiem i kładzie wujkowi rękę na ramieniu.

– Wujku, jeżeli tobie ona się podoba, to mnie również – mówi łagodnie, na co Olga odwraca się do niej, wyciąga lekko szyję i przechyla głowę.

– Mmm... mnie ona wydaje się trochę... – chrząka – radykalna? – W tym momencie rozlega się dzwonek komórki mamy, a ona, strzygąc uszami jak pies myśliwski, zapomina nagle o bożym świecie, prostuje się gwałtownie i odwraca, przy czym zahacza ramieniem o iPada, który leci w górę i ląduje na podłodze, a zaraz potem biegnie do kuchni, krzycząc „idę, idę”, i rzuca się na telefon jak gracz rugby na piłkę.

Sindy, leżąca na brzuchu na podłodze, milknie, a do nas dociera głos mamy udającej się korytarzem do swojego pokoju:

– Ingrid, kochanie, nie uwierzysz, jak ci opowiem. Popraw swojego buddę, żeby nie upadł, jak to usłyszysz... Ach... nawet nie wiesz...

Stoimy w ciszy i bezruchu, patrzymy na oddalającą się mamę, a kiedy ta w końcu znika na końcu korytarza, wujek Eduardo schyla się po swoje urządzenie, a Silvia zaczyna wodzić wzrokiem po sputnikach z brązową skorupą, które dalej leżą nietknięte na talerzach, i mówi Emmie szeptem:

– Szybko, pomóż mi wyrzucić te kamienie do kosza, to od razu przejdziemy do winogron. – Patrzy na zegarek i powstrzymuje jęk. – Boże! Już prawie za piętnaście dwunasta! Szampan! Trzeba otworzyć szampana!

Jednak osobą, która podnosi się, żeby jej pomóc, jest Olga – jak zawsze gorliwa i pilna, głosząca, podobnie jak Silvia, doktrynę sterylności, która zbliża je do siebie bardziej, niż chciałyby to przyznać. U szczytu stołu Sindy Lopes znowu zaczyna wyśpiewywać swoje sprośności w towarzystwie dwóch wytatuowanych przestępców, a siedząca przede mną Emma wpatruje się we mnie spojrzeniem pełnym światła płynącego z lamp w salonie, choć w jej oczach dostrzec można jeszcze jeden, hermetyczny blask. Rozpoznaję go bez trudu, gdyż jest on jednym ze znaków naszego wspólnego języka, którym kiedyś posługiwaliśmy się na co dzień – języka rodzeństwa, które wiele razem przeszło.

Po kilku sekundach blask znika. Płoszy je nerwowy głos Olgi.

– Emmo, skarbie, może mogłabyś nam pomóc...

Emma patrzy na nią i kiwa głową, a kiedy Olga wraca do kuchni, bierze leżący na stole iPhone i w pośpiechu wystukuje coś dwiema rękoma na klawiaturze, z zadziwiającą wręcz wprawą. Olga i Silvia wkładają talerze do zmywarki, wyrzucają resztki jedzenia i przygotowują cavę, winogrona i tabliczki słodkich turrónów.

Kilka sekund później rozlega się dzwonek mojego telefonu. Wyciągam go z kieszeni i widzę na ekranie powiadomienie o nowym SMS-ie. Od niej, rzecz jasna.

„Jeśli to dziewczynka, nazwiemy ją Sara”.

Podnoszę wzrok i napotykam spojrzenie jej zielonych oczu. Palce dłoni Emmy nadal spoczywają na iPhone, w napięciu i gotowości.

– Jesteś pewna? – pytam bezgłośnie.

Ona tylko się uśmiecha i potakuje głową, dyskretnie, niemal odruchowo. Potem spuszcza wzrok i zaczyna pisać dalej.

Jej palce szybko kończą swój frenetyczny bieg po klawiaturze telefonu, a do mnie sekundę później dociera kolejna wiadomość.

„Nie można odnaleźć spokoju, unikając życia, Leonardzie”.

Nasze zdanie, no tak! Krzyżujemy spojrzenia. Ona się uśmiecha. Ja również. W głębi korytarza mama rozmawia w swoim pokoju z Ingrid i chichocze, a siedzący z nami przy stole wujek Eduardo mamrocze coś pod nosem i wpatruje się w swojego iPada, który ponownie zagościł na stole. Za oknem słychać na placu krzyki i śmiechy osób przygotowujących się do świętowania Nowego Roku. Ulicę dalej jakiś samochód hamuje nagle z piskiem opon przypominającym krzyk, czym ucina gwałtownie głosy i nocne rozmowy. Emma kuli się w sobie, przymyka oczy, jakby czekała na cios. Trwa to zaledwie kilka sekund, ale są to sekundy zawieszony w powietrzu, jak rząd meduz unoszących się na powierzchni nieistniejącego akwarium, nieważkie i zabójcze.

Czuję ból w klatce piersiowej na widok przerażonej twarzy Emmy, jej skulonych ramion i zaciśniętej szczęki, bo jest to ten sam obrazek, który zobaczyłem tamtego pamiętnego dnia, kiedy Sara nie zadzwoniła, tamtego piekielnie gorącego czerwcowego popołudnia, gdy Sara potknęła się o chodnik życia, a Emma dała się porwać czasowi, który wciągnął ją w swoje wody pełne brudnej piany, desek, pustych butelek i stron zapisanych nieprzeżyтыми aż do dzisiaj chwilami.

Aż dotąd.

Sara.

Sara i Emma.

Tym razem, w odróżnieniu od tamtego popołudnia, cios nie zostaje wymierzony, a te kilka sekund oczekiwania rozplywa się nad naszymi głowami. Zegar wybija trzy kwadransy i Emma otwiera oczy, rozluźnia ramiona, twarz i mięśnie. Potem nabiera powoli powietrza i z wyraźną ulgą wydycha je przez nos, dzięki czemu staje się na nowo Emmą pełną zatrzaśniętych okien, która od kilku lat z uporem, raz za razem, zapisuje w miejscu imienia Sary imię Olga, żeby tylko pamięć jej nie zdradziła.

Potem uśmiecha się do samej siebie i głosem pełnym jasnych światła, głosem Emmy, którą była kiedyś, zanim sprawy przybrały zły obrót, mówi, patrząc w stronę okna:

– Sara to piękne imię dla dziewczynki, nie sądzisz?

Księga trzecia
Łódź, którą wszyscy płyniemy

Są dwa rodzaje ludzi:

Ci, którzy żyją, grają i umierają,

I tacy, których jedynym zajęciem

Jest utrzymywanie równowagi na krawędzi życia.

Są aktorzy

I są podniebni tancerze

Maxence Ferminé, *Platek śniegu*, tłum. Ewa Konarowska

Jeden

To, co się wtedy wydarzyło, można streścić w jednym zdaniu – jak anegdotę zasłyszana przypadkiem w cudzej rozmowie albo nagłówek w gazecie, o którym człowiek, nie znając dalszych szczegółów, szybko zapomina i przechodzi do następnego. Wszystko było proste, jak większość rzeczy, które zdarzają się bez uprzedzenia i wyznaczonych terminów. Jak kamień, który wpada do jeziora: spadanie, uderzenie, falowanie, spokój.

Akcja, reakcja.

Fizyka. Życie i śmierć.

Siła oddziaływania niektórych wydarzeń jest na tyle wielka, że rozum ludzki może objąć je wyłącznie jako skończoną całość, zupełnie jakby ich znaczenie zamykało się w samej ich istocie. Czas jednak udowadnia nam potem, że uderzenie może i było silne, ale to, co liczy się tak naprawdę, to rozchodzące się po nim fale, które z powrotem układają pionki na planszy naszego życia i zmieniają scenografię, którą aż do tej chwili uznawaliśmy za niezmienną. Czasami, i tylko czasami, przytrafia się komuś to, co przytrafiło się Sarze. W takich przypadkach życie rozkłada się przed nami na nowo, niczym scena teatru, na której dekoracje podnoszą się do góry, ale aktorzy grają dalej i nie zwracają uwagi na nagłą zmianę światła, rekwizytów, przestrzeni. To, co wcześniej było jadalnią w mieszkaniu, zamienia się w ulicę. Zimno zamienia się w ciepło. Mrok w jasność. Magią fikcji i zarazem horrorem naszej egzystencji jest właśnie to, że życie jest nie tylko prostą sekwencją wydarzeń, ale i następstwami tego, czym się wydaje, i że znaczenie, jakie czas nadaje danym przeżyciom, jest właśnie tym, co pozwala wyrazić ich rozmiary.

Tak właśnie było z Sarą. Najpierw miało miejsce prawdziwe wydarzenie, które wpadło do życia Emmy jak kamień w wodę, zatoczyło wokół siebie kręgi, które dotarły i do nas, potrząsając nami w ten sam sposób, w jaki płynąca motorówka wprawia w kołysanie pobliskie boje. Później, kiedy wody się uspokoiły, zrozumieliśmy, że nie jesteśmy już tacy sami. Nikt z nas.

Sara odeszła 13 czerwca po południu. Umówiły się z Emmą w jednej z kawiarni na ulicy Gran Via, żeby razem pójść do notariusza podpisać akt własności mieszkania, które niedawno kupiły. Był rok 2010, chociaż to akurat nie ma żadnego znaczenia. To, co jednak ma znaczenie, to godzina zdarzenia. Godzina wypadku i kilka kolejnych minut. I życie, które te minuty zaczęły odmierzać. Życie nas wszystkich.

Emma weszła do kawiarni o godzinie piątej. Zamówiła wodę gazowaną i muffina, po czym usiadła przy stoliku w ogródku letnim, jak najbliżej chodnika. Dwie minuty po piątej dostała od Sary wiadomość.

„Wychodzę właśnie ze szkoły. Za dziesięć minut będę na miejscu. Buziaki”.

W ciągu tych dziesięciu minut Emma zdążyła zjeść muffina, wypić pół butelki wody gazowanej, zapalić papierosa – w tamtych czasach paliły z Sarą – i przejrzeć dokumenty, które miała w teczce. Potem rozsiadła się na krześle, założyła okulary przeciwsłoneczne i czekała, obserwując przechodniów i uliczny zgiełk, spowita obłokiem spalin i gorąca bijącego od nagrzanego asfaltu.

W tym samym momencie, dwie ulice dalej, pewna taksówka zatrzymała się na czerwonym świetle. Taksówkarz włączył klimatyzator, spojrział w lusterko i właśnie szykował się do odpowiedzi na pytanie zadane przez jadącą na tylnym siedzeniu pasażerkę. Ułamek sekundy później rozpędzona ciężarówka, która nie zdążyła wyhamować na czas, uderzyła w tył taksówki, a ta wystrzeliła do przodu, potrącając grupę przechodniów czekających na pasach, i uderzyła w słup sygnalizacji świetlnej, który upadł z hukiem i zasypał chodnik odłamkami szkła. Większość przechodniów zdążyła w porę odskoczyć i uniknąć potrącenia. Dwóm osobom się nie

udało. Sara, która akurat stała oparta o słup sygnalizacji i pisała Emmie, że chwilę się spóźni, nie zdążyła nawet podnieść wzroku. Nigdy już się nie dowiemy, co było ostatnią rzeczą, o jakiej pomyślała, jaką zobaczyła, jaką poczuła. Wiemy tylko, co zdążyła napisać. Na ekranie telefonu, którego nie wypuściła z dłoni nawet w karetce, zapisała się licząca pięć i pół słowa wiadomość, której już nikt nigdy nie dokończy:

„Kochanie, poczekaj na mnie. Zaraz będę”.

Nie, nigdy nie dowiemy się, co przeżyła Sara w momencie pożegnania. Ani tego, co przeżyła Emma, która czekała prawie trzy godziny przy stoliku i wypatrywała jej wśród przechodniów, gdy w przedłużające się oczekiwanie zaczął się wkradać niepokój, a obok kawiarni, w której siedziała, przejeżdżały karetki i policyjne radiowozy. Nie wiedzieliśmy tego wtedy i nie wiemy teraz, bo Emma nigdy nie opowiedziała nam o tych trzech godzinach, a my nie mieliśmy odwagi zapytać. Dla nas, dla całej reszty, której wtedy nie było jeszcze na scenie, tragedia rozpoczęła się dopiero później. O godzinie ósmej czternaście, gdy wyszedłem z Maxem na spacer, otrzymałem od Emmy telefon. Pamiętam, że akurat zatrzymałem się w lodziarni i czekałem w kolejce, obserwując stojącą przede mną japońską parę, która doprowadzała ekspedientkę z Dominikany do rozpaczy tym, że wypytywała o każdy smak lodów po kolei. Pamiętam również zmęczone spojrzenie tej dziewczyny, jej znudzenie i lejący się z nieba żar. Mój telefon zadzwonił trzy razy. Zignorowałem go na początku, bo Japończycy w końcu znudzili się zadawaniem pytań i właśnie nadeszła moja kolej. Odebrałem dopiero za trzecim razem. Emma, po drugiej stronie słuchawki, długo się nie odzywała. Słyszałem jej powolny oddech, jakby ktoś dmuchał do telefonu. Myślałem, że to wiatr. Kiedy wreszcie się odezwała, jej głos brzmiał, jakby miała w ustach popiół.

– Sara nie zadzwoniła – powiedziała.

To wszystko. „Sara nie zadzwoniła”. W tym oto momencie kamień wpadł do wody, a fala, rozchodząca się od ogródka letniego po obrzeża miasta, zalała ulice, place i aleje, dotarła też do mnie i oblepiła mnie swoim błotem. Czekałem bez ruchu, ona również. Po chwili ciszy, która wydała mi się wiecznością, powtórzyła powoli:

– Sara nie zadzwoniła.

A później:

– Sara nie zadzwoniła. Saranie zadzwoniła. Saraniezadzwoniła. Saraniezadzwoniła Saraniezadzwoniła Saraniezadzwoniła Saraniezadzwoniła.

Poczułem niepokój, a lody, które przed chwilą kupiłem, zaczęły smakować jak piasek. Sekundę później zobaczyłem, jak wypadają mi z ręki, a Max podchodzi do nich niespiesznie i zaczyna je lizać z zadowoleniem.

Telefon od Sary. Cios. Potem przyszła kolej na resztę.

Całe życie mógłbym opowiadać o tym, co się stało i jak się stało. Mógłbym szczegółowo opisywać telefony, oczekiwanie, zamieszanie, szpital, rodziców Sary, pogrzeb, zmartwienie, koszmar... Mógłbym rozkładać na części pierwsze sceny, emocje, wspomnienia... ale dzisiaj wiem, że to nie one były ważne. Wystarczy jednak, że to wszystko zdarzyło się naprawdę, że Sara naprawdę zostawiła swoje życie na chodniku, trzymając w dłoni telefon z niedokończoną wiadomością, i że to właśnie było przyczyną tak wielu zmian. Naprawdę ważne było to, że nagle musieliśmy stać się czujni i gotowi do zacerowania Emmy wspólnymi siłami, choć niewiele wcześniej sami przeszliśmy amputację, jaką było zniknięcie taty, a ja do tego musiałem radzić sobie jeszcze z odejściem Andresa. Nie mieliśmy czasu na przygotowania i naprędce opracowaliśmy protokół działania w nagłych wypadkach, którego i tak nigdy nie mieliśmy okazji użyć, gdyż Emma od początku wykazywała spokój, którego się nie spodziewaliśmy i któremu daliśmy się zwieść.

Emma stanowczo odmówiła uczestnictwa w identyfikacji zwłok Sary w szpitalu. Nie, nie pojechała do szpitala. Nie była również na pogrzebie. Nie chciała o tym mówić. Nie widzieliśmy, żeby płakała. Mama zabrała ją do siebie i razem spędziły dwa dni, ale kiedy zaproponowała Emmie, żeby została z nią na dłużej, ta odmówiła z nieoczekiwanym zdecydowaniem. Nie chciała wyprowadzać się ze swojego mieszkania, w którym przez ostatnie cztery lata mieszkała z Sarą, i nie udało nam się jej przekonać, żeby poszła na zwolnienie. „Pewnie jest w szoku”, myśleliśmy. „Czasami ludzie tak reagują”, mówili nam inni. „Dajcie jej czas”. I tak też zrobiliśmy. Czas; wiedzieliśmy, że była to kwestia czasu, że rana była jeszcze zbyt świeża, zbyt rozległa, zbyt głęboka. Obserwowaliśmy ją i jej pilnowaliśmy. „Jeżeli upadnie, musimy być przy niej, by ją podnieść”, oświadczyła Silvia. „Ten dzieciak potrzebuje pomocy”, nalegała mama zmartwiona maską pozornego spokoju i pustej słodyczy, którą nagle przywdziała – i nie wiadomo, gdzie znalazła – Emma.

Na pierwszy rzut oka po śmierci Sary niewiele się zmieniło w życiu Emmy. W dniu, w którym wróciła do siebie, po przymusowym weekendzie w mieszkaniu mamy, zadzwoniła do mnie po południu zapytać, czy może pójść z Maxem na spacer. Pamiętam, że był poniedziałek i że cały ranek padało. Na tarasie ciepłe powietrze wczesnego lata wysysało z kałuży parę wodną, a w powietrzu unosił się zapach mokrego asfaltu. Chociaż telefon Emmy i jej prośba mnie zaskoczyły, zgodziłem się. Wy tłumaczyłem sobie, że pewnie chce wyjść z domu, przewietrzyć się, zająć czymś. Kiedy przyszła po Maxa, zaproponowałem, że im potowarzyszę, ale ona, bez namysłu i z tą samą delikatnością zabarwioną zdecydowaniem, które od czasu wypadku czuć było we wszystkich jej odmowach, powiedziała:

– Nie.

I już. „Nie”. Było to „nie” wolne i surowe, które spłynęło na mnie niczym cienkie, prawie przezroczyste płótno; nowy kamień uderzający o taflę wody, który nie daje czasu na odpowiedź. Stałem na środku salonu jak ogłuszony, nie wiedząc, co powiedzieć, a ona odwróciła się na pięcie i wyszła z Maxem na smyczy. Wrócili po kilku godzinach, a potem razem zjedliśmy kolację.

– Masz coś przeciwko, żebym została na noc? – zapytała po sprzątnięciu ze stołu.

Rytuał ten zaczął się powtarzać codziennie: Emma przychodziła do mnie zaraz po wyjściu ze szkoły, około czwartej trzydzieści. Szła z Maxem na spacer i wracała o godzinie ósmej. Potem jedliśmy razem kolację, siadaliśmy przy stole w salonie i ona poprawiała sprawdziany albo przygotowywała lekcje, a ja tworzyłem na komputerze napisy do filmów, zmywałem naczynia lub robiłem porządek w mieszkaniu, a potem wyprowadzałem Maxa na ostatni spacer. Czasem graliśmy w szachy albo oglądaliśmy jakiś film, ale najczęściej wychodziliśmy po prostu na taras z puszką coca-coli w ręku, siadaliśmy z Maxem na stopniu prowadzącym do salonu i godzinami rozmawialiśmy. Nasze pogawędki były swobodne i przyjacielskie, przepełnione spokojem czerwcowych nocy. Rozmawialiśmy o mamie, o lekcjach Emmy, o wszystkim i o niczym. Zadawała dużo pytań. Lubiła słuchać zwłaszcza o mojej pracy.

– Dalej, opowiadaj – mówiła i kładła mi dłoń na ramieniu. Znajomy gest. Kiedy Emma o coś prosi, kładzie dłoń na ramieniu rozmówcy i trzyma ją tam przez chwilę. Jej ręka nie ciąży, tylko grzeje, jak łapa kota, kiedy nie próbuje podrapać. Opowiadałem, co robiłem w ciągu dnia, a ona słuchała i często mi przerywała. Ciekawiły ją szczegóły, które dla mnie były codziennością, ale jej, jako komuś niewtajemniczonymu w mój zawód, wydawały się interesujące lub zdumiewające. Jeżeli akurat użyłem swojego głosu, jako lektor, jakiemuś aktorowi, którego ona lubi, prosiła mnie, żebym powtórzył dialogi, które tego dnia nagrałem. Sama wymyślała potem ich dalszy ciąg albo improwizowała odpowiedź. Lubiła też patrzeć, jak tworzę napisy. Siadała obok mnie na tarasie i słuchała z uwagą oryginalnych dialogów filmu, podczas gdy ja

obmyślałem ich hiszpańską wersję. Interesowało ją to, a mnie sprawiało przyjemność tłumaczenie jej wszystkiego, co robię – po części dlatego, że dla mnie również była to nowość, a po części dlatego, że od odejścia Andresa nie miałem okazji dzielić się sobą z wieloma osobami. Łączyłem tworzenie napisów i tłumaczenie scenariuszy z podkładaniem głosu do filmów i reklam dopiero od niedawna i dzięki zaskakującemu zbiegowi okoliczności moje życie zawodowe w krótkim czasie obróciło się o sto osiemdziesiąt stopni. Nawet się nie zorientowałem, kiedy zacząłem pracować w rytmie wprost niewyobrażalnym jeszcze kilka miesięcy wcześniej. Do dubbingu trafiłem przez przypadek – jeden z moich klientów zachęcił mnie do próbnego nagrania głosu dla pewnego studia poszukującego barwy takiej jak moja. Twierdził, że „załamujące się głosy, takie jak twój, zawsze są potrzebne, więc lepiej mnie posłuchaj; nic na tym nie stracisz”. I miał rację. Pewnego dnia odebrałem telefon, a ktoś z drugiej strony słuchawki zaproponował, żebym przyszedł do studia nagrać jeszcze jedną próbkę. Poszedłem, nagrałem, spodobałem się i podłożyłem głos do pierwszego filmu. Potem spróbowałem swoich sił również w reklamie i miałem tyle szczęścia, że już druga, którą nagrałem, promująca pewien samochód, okazała się – kto wie dlaczego – na tyle przełomowa, że mój głos stał się nagle symbolem innowacji.

Kiedy Emma zaczęła u mnie pomieszkiwać, żyłem pochłonięty pracą, dzięki której musiałem trzymać się w ryzach i wychodzić codziennie z domu. Moje dni wyznaczała podwójna współrzędna, która sprawiała, że wszystko stawało się proste: z jednej strony praca, a z drugiej Max. Sprawy osobiste, intymne, wszystkie niewyjaśnione kwestie, które wraz ze mną trafiły na poddasze, musiały poczekać na swoją kolej. Nagle dostrzegłem wokół siebie szum: mój głos, w różnych tonacjach i odcieniach, reklamował samochody, szczoteczki do zębów, benzynę, energię odnawialną, pralki, gumy do żucia i wielkie sklepy z wyposażeniem wnętrz. Musiałem poszerzyć zasoby swojego słownictwa o takie wyrażenia jak „kody czasowe”, „kłapy” czy „ujęcia”. Wszystko to pozwalało mi oddychać i sprawiało, że mogłem mniej być, a więcej robić. Stałem się niezwykle zapracowaną osobą i tak też postrzegałem samego siebie. „Jestem aktorem głosowym i odnoszę sukces w swoim zawodzie”, powtarzałem sobie w duchu, ciesząc się, że w końcu stałem się kimś, kto pojmuję, że „człowiek nie jest tym, kim jest, ale tym, co robi” – zwłaszcza kiedy może pracować sam i nie musi ufać nikomu. Pojawienie się Emmy w mieszkaniu zbiegło się w czasie z narodzinami tego Fernanda – i nie chcę go teraz osądzać, nie chcę osądzać siebie samego – którego ona o wszystko wypytywała, bo wydawało jej się to ciekawe. Słuchała mnie tak, jak słuchają dzieci, które czekają na odpowiedź – nawet jeżeli ta długo się nie pojawia, i być może nie pojawi się nigdy – a przy tym się nie nudzą. Często rozmawialiśmy do późna w nocy, a potem kładliśmy się spać na rozkładanej kanapie, z Maxem w nogach. Całowała mnie na dobranoc, wkładała telefon pod poduszkę i odwracała się, żeby zgasić światło, twarzą do okna. Codziennie rano wstawała wcześniej, żeby wyprowadzić Maxa na spacer, i szła do pracy. Powtarzała ten rytuał nawet w weekendy: budziła się o siódmej trzydzieści, jadła śniadanie, wyprowadzała Maxa i wychodziła.

Trwało to prawie rok: ani jednej łzy, ani jednego zająknięcia się, świadomego lub nie, o Sarze. Nigdy o niej nie mówiła, a jeżeli sami czasem o coś pytaliśmy, coś komentowaliśmy czy sugerowaliśmy, jej twarz zamieniała się w twarz pokerzysty. Uśmiechała się, jakby wiedziała coś, o czym my nie mieliśmy pojęcia, nie wypuszczała telefonu z dłoni i poruszała się jak w zwolnionym tempie. Mama i Silvia uspokoiły się trochę na wieść, że u mnie pomieszkuje, choć nadal starały się być czujne. „Niby Emma, ale jakby nie Emma”, mawiała mama, krótko i na temat, jak zawsze trafiając w sedno. „Jakby była znieczulona. To nie może oznaczać nic dobrego”, upierała się również Silvia. I miały rację. Emma była sobą, jej ciało fizycznie się nie zmieniło, ale czegoś w nim brakowało. Jej śmiech brzmiał pusto, jej uśmiech był odruchowy.

Patrzyła nam w oczy, gdy z nami rozmawiała, ale jej spojrzenie było zamknięte, okratowane niczym więzienie. Nie straciła apetytu, codziennie chodziła na basen, rzuciła palenie, zapisała się na siłownię i na squasha, ale każdy jej ruch był wyuczony, jakby stała się postacią filmową wypowiadającą kwestie napisane przez kogoś innego – jak postaci, którym ja codziennie podkładałem głos w kabinie nagraniowej. Ich wypowiedzi zawsze brzmiały spójnie i logicznie. Intonacja głosu Emmy również była bez zarzutu, ale między linijkami tekstu nie kryły się emocje, tylko powietrze.

No i jej oczy.

Każdy aktor głosowy uczy się, prędzej czy później, że oczy mówią dużo bogatszym językiem niż usta. Oczy sygnalizują dokładny moment, w którym dana postać ma zamiar się odezwać, i sugerują emocje, jakimi zabarwiona będzie jej wypowiedź. Dobry aktor wie, że w tym zawodzie kluczowe jest czytanie z oczu, a nie z warg, bo usta są tylko zwykłym megafonem oczu. Oczy Emmy nie wyrażały tego samego co jej głos, bo wypowiedzianym przez nią słowom towarzyszyła pustka. Słuchałem jej czasem i wyobrażałem sobie, jak by to było podkładać głos pod jej postać, ale dochodziłem do wniosku, że byłoby to niemożliwe. Odcięta. Emma była odcięta od studni swoich wewnętrznych przeżyć, nawet jeżeli ton jej głosu był spokojny i niezmienny, a czasem dało się w nim nawet usłyszeć słodycz. Zdawała się ślizgać po cienkim lodzie z wyjątkową wprawą i traciła równowagę tylko wtedy, gdy dostawała SMS-a lub zdawało jej się, że nie ma telefonu pod ręką. Wtedy jej spojrzenie stawało się błędne, mrużyła oczy i kulila się, jak pięść zaciskająca się na sobie samej, dopóki nie odczytała wiadomości albo nie znalazła komórki. Wtedy oddychała głęboko i wracała do swojego gładkiego uśmiechu, dłoni złożonych na kolanach i smutnych oczu.

Tak, wszyscy płyniemy na tej samej łodzi: z jednej strony kanapy Emma, pogrążona w czujnej, samotnej żałobie, z drugiej ja i moje poskładane na nowo życie, a u naszych stóp Max, dzielący się z nami swoim ciepłem – świadek oskarżenia naszej codziennej rutyny i wpływających tygodni, które zamieniały się w miesiące, rozciągając się w czasie jak spokój przed burzą, którego żadne z nas nie chciało ani nie potrafiło przerwać i który z pewnością trwałby, gdyby przypadek, czy też los, znowu nie zagrał z nami swoimi znaczącymi kartami.

I gdyby mama nie zrobiła tego, co zrobiła, zaskakując nas wszystkich i spadając, niczym skała na cienką warstwę kry, po której ślizgały się ostrza naszych łyżew.

Zmieniając wszystko.

Dwa

Z jadalni dobiega brzęk naczyń i sztućców, na który nakładają się głosy Emmy, Olgi i Silvii, a z pokoju mamy jej rozmowa z Ingrid. Nagle rozlega się nerwowy śmiech Olgi, komentarz wujka Eduarda i stanowcza odpowiedź Silvii, której nie słyszę ze swojego miejsca. Ponad nami wszystkimi rozpościera się głęboka noc, a wybuchy petard na dworze oznajmiają nam, że to już, że grudzień powoli dobiega końca. W powietrzu czuć pragnienie powitania nowego roku.

Łazienka mamy, albo raczej jej ściany, są odbiciem metamorfozy, jaką mama przeszła, od kiedy sprowadziła się do tego mieszkania i mogła popuścić wodze fantazji, ponieważ już nie musiała czekać na przyzwolenie ani wątpliwą przychylność taty, który od zawsze nienawidził – i pewnie nienawidzi do dziś – ozdób na ścianach. Ściany musiały być białe i puste. Żadnych obrazów i żadnych dziur. Żadnych roślin.

„Rośliny są jak psy, powinny mieszkać na dworze”, mawiał. I koniec. Kiedy czasem próbowaliśmy go przekonać, żeby pozwolił nam powiesić w pokoju plakat, zdjęcie czy pocztówkę, kręcił przecząco głową i parskał pogardliwie. Jego odpowiedź zawsze była taka sama. Ton głosu też. „Dopóki mieszkanie pod moim dachem, ściany pozostaną białe, a rośliny będą rosły w parku. Kiedy się wyprowadzicie, będziecie mogli robić, co wam się podoba”.

Ściany łazienki mamy spotkał ten sam los co resztę mieszkania. Kiedy tylko poczuła się jak u siebie, zaczęła wypełniać mieszkanie rzeczami, swoimi rzeczami, i nawet jeżeli nam wydają się one okropne – nieraz próbowałem przekonać ją z Silvią, że nie musi trzymać wszystkiego na wierzchu – nie daje przemówić sobie do rozsądku. Dla świętego spokoju kiwa tylko głową, że tak, tak, że wszystko niedługo sprzątnie, jak tylko pomaluje mieszkanie albo „może lepiej, kiedy kupię sobie nową szafę, już najwyższa pora” lub też „kiedy pochowam letnie ubrania i wyciągnę zimowe”.

Zawsze znajdzie jakąś wymówkę, żeby nie dotykać tego, co dla niej nietykalne, zamiast powiedzieć nam po prostu „Nie, bo to jest moje i tak mi się podoba”. Nie, mama tak nie mówi. Zbyt wiele lat musiała uciekać przed kolejnymi despotami – najpierw dziadkiem, a potem tatą – próbując uniknąć konfrontacji. Tak długo musiała się tłumaczyć i poruszać bocznymi ścieżkami, że teraz, gdy w pobliżu nie ma nikogo, kto by ją ograniczał, robi, co chce, ale nie mówi nam wprost niczego. Nauczyła się żyć w cieniu i już nie da się tego zmienić.

Ścianę nad toaletą zajmuje ogromna tablica korkowa pełna wycinków z gazet, miniaturowych plakatów filmowych i innych papierzysek. Nad drewnianą ramą wypisano białymi literami moje imię. Znam dobrze tę tablicę i jej zawartość: jest ona streszczeniem ostatnich trzech lat mojego życia, ekranem, do którego mama przybijała kolorowymi pinezkami, tydzień po tygodniu, miesiąc po miesiącu, ślady pozostawione przeze mnie na mapie jej wspomnień. Żółte pinezki przytrzymują wycinki reklam z gazet lub magazynów, przy których pracowałem jako lektor. Znaleźć tu można wszystko: zupy, samochody, sieci hamburgerów, pasty do zębów, mleko sojowe czy płatki śniadaniowe light. Niebieskie pinezki przesywają miniaturowe plakaty filmów, do których podkładałem głos, czerwone zaś afisze tych dzieł, do których stworzyłem napisy. Są tu także wywiady udzielone kiedyś przeze mnie dodatkowi niedzielnemu i magazynowi kinowemu. Całe moje CV, ostatnie trzy lata życia zawieszane na wysokości moich oczu. Mama z jednej strony chce w ten sposób pokazać, że jest ze mnie dumna, chwając się mną każdemu, kto wchodzi do jej łazienki, ale z drugiej próbuje mi uświadomić, że martwi się resztą, pustymi miejscami, które nie są pracą. „Praca”, zdaje się mówić moja tablica. „Jesteś tym, co robisz, Fernandzie”. Moje życiowe motto, od kiedy rozstałem się z Andresem i wyprowadziłem

wraz z Maxem do kawalerki przy plaży, brzmiało: praca, praca, praca. Niewiele lub nic więcej. Często o tym z mamą rozmawialiśmy i doskonale wiedziałem, co myśli na ten temat.

– Fernandzie, nie możesz być taki podejrzliwy wobec świata – powtarzała mi z tym ślepym zaufaniem, które dalej pokłada w ludziach i które mnie, po jej przejściach z tatą, wydaje się niepojęte. – Andres to już przeszłość. Wyszło, jak wyszło, ale to już przeszłość.

Mama wie, że nie chodzi tylko o Andresa, lecz także o wszystkich przed nim; o to, że zawsze trafiam na niewłaściwych mężczyzn, bo w głębi duszy jestem taki jak ona. Wie, że nie wybrałem dobrze za pierwszym razem i że popełniłem ten sam błąd za drugim razem i za trzecim. Zawsze to samo, zawsze ten sam typ: zaklinacz węży, niepewny siebie, ale umiejący się sprzedać, szeroki uśmiech i wąski cień... Wieczne odbicie taty. Mama o tym wie, jak i ja, ale wie również, że ani Andres, ani cała reszta tak naprawdę się nie liczy, bo to ja zawsze ich wybieram. W tym jesteśmy z Emmą do siebie podobni. Prosimy o niewiele, zadowolamy się tym, że jesteśmy dla kogoś ważni, że stajemy się godni czyjejś uwagi. Emma nie potrafiła żyć inaczej. Ja położyłem temu kres.

Za każdym razem, kiedy dochodzimy do tego punktu, mama milknie. Patrzy na mnie ze smutkiem, cmoka językiem i dalej przypina pinezki, czym przypomina mi, że w życiu, i na tablicy, zaczyna brakować mi miejsca. Ja z kolei patrzę na te kolorowe główki i czekam, aż los da mi jakiś znak, aż ześle mi... cokolwiek, co by mogło znaczyć, że jestem gotowy wrócić i dokonać lepszych wyborów, że tym razem już się nie pomyłę, że się zmienię.

Na przeciwległej ścianie, obok drzwi, wiszą dwie kolejne tablice korkowe, identyczne i dużo mniejsze. Ta po prawej stronie, niemalże pusta, jest Silvii. Oprócz najnowszego zdjęcia do dowodu, które mama wyszperała na pewno w jej teczce, wiszą na niej same pocztówki: Miami, Rio, Auckland, Nowy Jork, Oslo... Niektóre przyklejone są zdjęciem do dołu i ukazują zwięzłe wiadomości napisane starannym i zwartym pismem Silvii. Wszystkie brzmią tak samo: „Cześć, mammo. Jestem w... Mam nadzieję, że u ciebie wszystko w porządku. Tęsknię za tobą. Całuję. S.”. Tablica na lewo – Emmy – wypełniona jest zdjęciami, na których Emma zawsze znajduje się w czyimś towarzystwie: Emma ze mną, Emma z mamą, z Silvią, z Olgą, ze swoimi przyjaciółkami w Patagonii, ze swoją drużyną ze squasha, Emma z... Na żadnej fotografii nie jest sama. Do kilku z nich pozuje razem z Sarą.

Trzy tablice korkowe – niczym trzy okna, przez które mama się nam przygląda i za pomocą których przemawia do nas bez słów. Są symbolem tego, jak nas widzi, czerwonym światłem, które zauważa w każdym z nas. Łazienka i jej ściany wydają się listem, który mama pisze do nas od dawna, do każdego z osobna, jakby próbowała powiedzieć nam bez słów: „Widzę. Jestem waszą matką i widzę, co się dzieje z wami, z waszym życiem”. Silvii mama próbuje przekazać za pośrednictwem tablicy, że nie wie, jak do niej dotrzeć, że kilka zdań przesłanych co piętnaście dni nie wystarcza i że Silvia zdaje się tęsknić za czymś, czego nawet nie potrafiłaby wyjaśnić. Mama układa jej pocztówki niczym puzzle. „Popatrz, córuś, na to, czego mi nie mówisz. Popatrz, jak się oddaliła?”.

Emmie, za pomocą tablicy pełnej zdjęć, chce przekazać coś zupełnie innego: „Moja młodsza córka nie potrafi być sama. Jest tak samo zależna od innych jak ja i popełnia te same błędy co ja”. Jej kolaż właśnie to wyraża, nawet jeżeli Emma nie dostrzega w nim żadnego przesłania. Mama zadedykowała nam ściany swojej łazienki i wiem, że nie robi tego dla urozmaicenia wystroju, tylko dlatego, że to dla niej ważne. Chce nam w ten sposób powiedzieć, że jest naszą matką i że stara się być przy nas, jak tylko może, i próbuje, od kiedy uwolniła się od taty i jego cienia, odzyskać należne jej miejsce.

Słyszę jej rozmowę przez telefon i mimowolnie się uśmiecham. Wybuchy śmiechu, które towarzyszą jej słowom, są tak zaraźliwe, a jej komentarze tak... w jej stylu, że do dzisiaj

zaskakuje mnie to, co zrobiła, by przywrócić Emmę do życia. Może nie chodzi o to, co dokładnie zrobiła ani jak to zrobiła, ale o to, że dostrzeżliśmy w niej wtedy po raz pierwszy tę zdecydowaną i doświadczoną Amalię, która wcześniej nie była oznaczona na naszych mapach. Mama dorosła, poczuła, że bez taty gra główną rolę, i jednym gestem uświadomiła nam swoją wielkość, zmieniając ponownie scenografię.

Wycieram ręce ręcznikiem i otwieram drzwi. Choć zamierzałem wrócić do salonu, nagle zatrzymuję się w korytarzu. Wyszepiane przez mamę słowa docierają do moich uszu i wbijają mnie w podłogę.

– Tak uważasz, Ingrid? – mówi. – Sama nie wiem. To chyba nie jest dobry pomysł. Atmosfera jest dzisiaj tak napięta, że jeżeli im o tym powiem, to naskoczą na mnie jak dzikie bestie, zwłaszcza Silvia. – Chwila ciszy. – Tak, dzisiaj naskakuje na wszystkich, bez wyjątku.

Milknę ponownie, tym razem na trochę dłużej.

– Aha – mówi po chwili. – Ona już od dłuższego czasu ma jakiś problem, wystarczy na nią spojrzeć, ale oczywiście nikt nic nie mówi, a mnie to już w ogóle nie słuchają.

Cisza. Odwracam się na lewo i podchodzę na paluszkach do drzwi jej pokoju. Kiedy przez nie zaglądam, widzę, że leży na łóżku, wsparta o ogromne poduszki, z Shirley chrapiącą na jej szyi, jak żywa etola. Mama rozmawia przez telefon, podtrzymując słuchawkę barkiem, gdyż w dłoni trzyma koc, który od kilku miesięcy dla mnie wyszywa. Jej oczy są przymknięte. Za dużo światła. Nie widzi mnie.

– Sama nie wiem – mówi. – Najpierw ciąża dziewczynki, potem mój brat... – Przykłada dłoń do twarzy i marszczy usta. Jest zaniepokojona, zmartwiona i jak każda matka dzieli swoje obawy z przyjaciółką gotową jej wysłuchać. – Czasami mam wrażenie, że ja się zupełnie nie liczę – mówi smutnym głosem. – Że nie biorą mnie pod uwagę. I... wciąż jeszcze pamiętam, jak bałam się cokolwiek zrobić przy Manuelu, bo wszystko zawsze było nie tak i...

Cisza. Przetykam ślinę. Nagle zaczynam czuć się nieswojo, podsłuchując jej rozmowę. „Nie powinienem”, myślę w duchu. „To nie w porządku”. Nie ruszam się jednak z miejsca. Mama i jej oblicze B odzywają się ponownie, a ja dalej stoję tam, gdzie stałem.

– A do tego Eduardo z tą... dziewczyną, czy kim tam ona jest. Ach, Ingrid, mój brat nigdy się nie nauczy. – Wzdycha, na wpół smutna, na wpół zrezygnowana. – Aż nie wiedziałam, co mam ze sobą zrobić. – Słucha tego, co Ingrid mówi po drugiej stronie słuchawki, potakuje i zaczyna wyszywać jeden z kwadratów koca, przykrywając Shirley włóczką. Potem stwierdza: – Nawet nie jestem pewna, czy to naprawdę dziewczyna. Z tymi wąsami, owłosionymi nogami i tym... tymi... stringami. – Krzywi się ze wstrętem. – Może i jestem ślepa, ale zapewniam cię, że tam w środku widać było coś dużego, i to bardzo dużego, czego my nie mamy, nie mówiąc już o... – Ingrid najwyraźniej jej przerwała. Chwilę później mama otwiera szeroko oczy, przytakuje wolno i kładzie sobie dłoń na piersi. – Mój Boże – mówi zmartwionym głosem. – Myślisz, że... – Zamyka na kilka sekund powieki, a kiedy je otwiera, jej oczy są wielkie jak spodki. – Myślisz, że Eduardo może być... gejem?

Cisza.

– No tak! Jak mogłam na to nie wpaść? – wykrzykuje i zastyga z uniesioną igłą. Zaraz jednak zdaje sobie sprawę, że reszta mogła ją usłyszeć, zakrywa więc sobie usta dłonią i przykleja je do słuchawki. – Dlatego zawsze mieszkał za granicą i miał takiego pecha do kobiet! No przeecież! – Oddycha głęboko i potakuje powoli głową. – Ach, Ingrid... czyli mój brat również. Pomyśl, jak musiał biedak cierpieć w milczeniu. I w samotności. – Podnosi brew i przechyla lekko głowę. – Chociaż właściwie to sama nie wiem, czemu się dziwię, może homoseksualizm jest genitalny... Musi być genitalny, bo niedawno czytałam o tym w „El País”, pisali właśnie, że się go dziedziczy, a poza tym sama wiesz, co mówią: niedaleko pada jabłko od

jabłoni, a dwa jabłka już przecież mamy.

Oj. Igła gramofonu znowu zaczyna tańczyć po płycie mamy oblicza A, tego od szumów i hałasów. Nagle twarz jej się rozjaśnia, a oczy po raz kolejny otwierają szeroko. Wygląda teraz jak mała dziewczynka.

– Oj, Ingrid, genetyczny, genitalny... Co za różnica? Nie bądź taka przewrażliwiona. Ważne, że to się dziedziczy – mówi i wymachuje ręką w powietrzu. Potem zapada cisza. Na chwilę. – Tak! No ja nie wiem do końca, czym ona jest, ta cała Sindy Tereska, ale to dla mnie jakaś podejrzana sprawa, te jej włosy i wypukłości tam, gdzie nie powinno ich być. Mówię ci to już teraz. Nawet nie wiem, jak mają zamiar razem spać, przez te sztywne kłaki, które ten chłop ma na głowie i nogach. Seks trwa, ile trwa, i dzięki Bogu zazwyczaj niezbyt długo, ale spanie to co innego... Przecież człowiek musi spać. No tak czy nie?

Cisza.

– Tak, jestem w szoku, kochanie, mówię ci. – Milknij na chwilę. – Że też żadne z nas wcześniej niczego nie zauważyło... – Znowu cisza. – Tak, to prawda. Co za odwaga, pokazać nam swojego chłopaka w ten sposób, co? Wyobraź tylko sobie, co mogły mu powiedzieć Silvia i Olga, z tymi ich niewyparzonymi językami. Ten chłopiec jest przecież taki czarnutki i taki... portugalski. – Kręci przecząco głową i cmoka językiem. – Na pewno nie jest mu łatwo. – Cisza. Kiwa głową jak posłuszna dziewczynka. – Tak, oczywiście. Jeżeli Eduardo postanowił się ujawnić, to musimy go wesprzeć. Żeby nie miał wątpliwości. – Przerzywa na chwilę. – Tak. Biorę się do roboty. Jak tylko wrócę do stołu, nie martw się.

Zapada dłuższa cisza. Mama słucha w skupieniu i głaszcze Shirley, która leży teraz na jej szyi na plecach, z głową odrzuconą do tyłu. Mama przytakuje, a potem nagle marszczy czoło.

– Naszą... sprawę? – pyta zdezorientowana.

Cisza.

– Ach tak, naszą sprawę! Teraz rozumiem. – Leżąca na jej szyi Shirley zaczyna zsuwać się do tyłu, ale mama nawet tego nie zauważa. – Nie, Ingrid, nie mam pojęcia, jak na to zareagują – mówi i masuje z roztargnieniem swoją pupilkę drutem po brzuchu. Shirley wyciąga język i dalej wisi między dwoma łózkami z głową w powietrzu niczym odurzony nietoperz. – Chociaż może masz rację. W sumie to nie mogą nic mi powiedzieć. Jeden dopiero co wyszedł z szafy, a druga z wynajętym brzuchem, czy jak to się tam nazywa. Jakby mnie nic już nie mogło w życiu spotkać – mówi naburmuszona. Potem robi minę, jakby zbierała się w sobie na odwagę. – Może lepiej, żeby dowiedzieli się teraz i zaczęli się do tej myśli przyzwyczajać, nie uważasz? Poza tym mamy jeszcze tyle do zrobienia, potem może nie być czasu! – Chichocze z zadowoleniem, a Shirley dalej ześlizguje się z jej szyi. – Nawet nie wiesz, jak się cieszę! Nie mogę się doczekać! – wykrzykuje, ale zaraz znowu ścisza głos i zakrywa sobie usta dłonią, jakby przypomniawszy sobie, że ktoś może ją usłyszeć.

Nietrudno odgadnąć, że mama i Ingrid coś razem knują, ale nawet nie jest to dla mnie zaskoczeniem. Spiskują za naszymi plecami od samego początku ich znajomości, jak dwie małe dziewczynki na koloniach, a my próbujemy je wyhamować, kiedy i jak tylko możemy, choć nie zawsze udaje nam się to na czas. Mama zaczyna żegnać się z Ingrid, a ja odsuwam się od drzwi i powoli oddalam korytarzem w stronę salonu, na wpół rozbawiony, na wpół zaintrygowany. Do moich uszu docierają jeszcze jej ostatnie słowa.

– Jak szło to, co mamy powiedzieć, jak dolecimy? – Kilka sekund ciszy, a potem mama dodaje rozbawionym głosem, który tak dobrze znam i który natychmiast uruchamia wszystkie możliwe alarmy na moim radarze czerwonych światełek, bo nigdy nie wróży niczego dobrego. – Ano tak, do zwycięstwa, aż po kres, towarzyszeko Che! – Milknij, ale na krótko. – Aha, bez Che? Mmm, dobrze, to do zwycięstwa, aż po kres, towarzyszeko Sinché!

Cisza. Mama przytakuje zniecierpliwiona i cmoka językiem.

– Ty, kochana, już mi nie mieszaj w głowie. Dobrze to powiedziałam. Poza tym nie rozumiem, po co chcesz teraz zmieniać imię na takie... orientalne. Myślisz, że musimy zmienić imiona, bo jak komuniści dowiedzą się, że mamy śluby kościelne, to w ogóle nas nie wpuszczą?

Przebiega mnie lekki dreszcz i nie mogę oprzeć się myśli, że ta noc, ostatnia noc kończącego się roku, tak naprawdę dopiero się zaczęła i że musimy być przygotowani na wszystko. Nie mamy czasu do stracenia. Ciszę przerywa głos Silvii dobiegający z salonu: „Mamo, czas na winogrona! Możesz tu łaskawie przyjść?”, na które mama reaguje głośnym westchnieniem.

– Już idziemy, kochanie – mówi, jak zawsze mając na myśli siebie i Shirley. – Nalej mi tylko odrobinę, dobrze? Wiesz, że od cavy mam gazy.

– Gazy to możesz mieć, mamo, od gadania przez telefon – odpowiada Silvia, a wujek Eduardo wybucha śmiechem.

– Ingrid, muszę już kończyć – mówi mama i zniża głos prawie do szeptu. – Słyszałaś ją, prawda? Co ci mówiłam? Jest nie-znoś-na.

– Mamo, masz dwa wyjścia: odłożyć słuchawkę albo odłożyć słuchawkę!

– I pamiętaj, żeby zrobić mi trochę reiki, ale tego, które robisz opiekunom ze schroniska, dobra? Słuchaj, tak sobie teraz myślę, że nie opowiedziałam ci, jak wczoraj wpadłam w banku na Isidora, tego chłopaka na wózku, co wyprowadza psy...

– Ma-mo!

Zatrzymuję się na sekundę w korytarzu, niemal naprzeciwko drzwi od łazienki, i dostrzegam swoje odbicie w stojącym lustrze przypominającym długie okno, które mama powiesiła wysoko i w poprzek. Znowu widzę swoją twarz, zupełnie jak kilka miesięcy wcześniej w barze, kiedy czekałem, aż kelner przyniesie mi kawę. Na wspomnienie chwili, kiedy mężczyzna jedzący śniadanie przy stoliku w kącie obejrzał się, napotykać w lustrze moje spojrzenie, wciąż jeszcze przechodzą mnie ciarki. Wspominam również to, co stało się potem, albo raczej dopiero zaczynam wspominać, bo kiedy powietrze przeszywa nagły krzyk mamy, obraz, który zobaczyłem w lustrze, natychmiast się rozmazuje.

– Shirley, uważaj!

Słyszę tępe uderzenie, któremu towarzyszy skowyt starego szczura, a sekundę później widzę Shirley przemykającą między moimi nogami jak strzała; warczy i trzyma w pysku wyszywany przez mamę koc i wbite w niego igły. Mama w końcu wstaje, mruczając pod nosem: „Kochanie, mamusia jest roztargniona i cię nie widziała. No, malutka, nie idź sobie. Chodź, chodź, mamusia zrobi ci magiczny masaż, jak ciocia Ingrid, i przestanie boleć”.

Napotkane w barowym lustrze spojrzenie zniknęło na dobre i zostawiło mnie samego. Moje rude kędziory, podświetlone od tyłu, wyglądają teraz jak pomarańczowa aureola, a moja biała skóra na tle jasnej ściany zdaje się jeszcze bledsza niż zazwyczaj.

Mama staje w drzwiach swojego pokoju. Pantofle w kwadraty nadal zdobią jej stopy, a od leżenia na poduszce przygniotły jej się włosy z tyłu głowy. Na mój widok uśmiecha się szeroko, ale kiedy Silvia znowu wzywa ją krzykiem, przewraca oczami i wystawia język, a potem wzrusza ramionami i zaczyna cicho chichotać, zachęcając mnie do tego samego.

Kładzie mi dłoń na ramieniu i spogląda w lustro. Nasze spojrzenia się krzyżują. Na jej ustach znowu pojawia się uśmiech. Na moich również.

– Idziemy? – pyta.

Podaję jej ramię, ona się na nim opiera, a potem ponownie patrzy w lustro i nagle zauważa, że przygniotły jej się włosy. Otwiera z przerażeniem oczy.

– O matko...! – mówi i klepie się wolną ręką po głowie. – Brakuje mi kawałka czaszki.

Śmiejemy się. Oboje.

– Mogłeś mi o tym powiedzieć, draniu – mówi, poważniejąc nagle i próbując zaradzić zniszczonej fryzurze. Bez skutku. – Mmm, lepiej? – pyta.

– Lepiej.

– Kłamca.

– Już prawie północ! Już prawie północ! – krzyczy z salonu Silvia. Widzimy, że wstaje od stołu i przewraca swoje krzesło. – Mamo, Fernandzie!

Mama oddycha głęboko, bierze mnie znowu pod rękę i mówi, wznosząc po raz kolejny oczy do góry:

– Chodźmy, synku. Jeżeli twoja siostra i Shirley nie przestaną tak szczeakać, to sąsiedzi pomyślą sobie, że obdzieramy tu kogoś żywcem ze skóry, i zadzwonią po policję.

Z uśmiechami na ustach zaczynamy maszerować w stronę salonu, gdzie reszta już na nas czeka. Zegar na placu właśnie wybija północ, swoimi uderzeniami zamyka miniony rok. Kawalek dalej, bliżej morza, rozbłyskują na niebie fajerwerki i rozświetlają okna salonu jak kolorowe robaczki świętojańskie. Wszyscy stoją wokół stołu, z miseczkami winogron w dłoni: wujek Eduardo u szczytu, po jego prawej stronie Silvia, po jego lewej stronie dodatkowe nakrycie i puste krzesło, a dalej Emma i Olga.

Już zaraz, za chwilę, przyjdzie czas na toast.

A potem na inne rzeczy.

Noc jeszcze się nie skończyła.

Trzy

Jest piętnaście po pierwszej i już od jakiegoś czasu nie słyhać fajerwerków, które wraz z wybiciem północy wypełniły niebo. Ciszę na placu mącą jedynie klaksony samochodów lub krzyki nastolatków idących do metra. Tutaj, w salonie mamy, cava i turrony ustąpiły miejsca kawie i niespiesznej rozmowie. Te kilkadziesiąt minut upłynęło nam spokojnie, na winogronach, toastach, całusach i uściskach.

Silvia pali, a Olga od dłuższej chwili opowiada ze szczegółami o remoncie, jaki będą musiały przeprowadzić przed narodzinami dziecka. Mama słucha jej z udawanym zainteresowaniem i przyklejonym do twarzy uśmiechem. Co jakiś czas przytakuje i wtrąca jedno ze swoich „o, jak miło”, na które Olga reaguje chrząknięciem i dalszymi wywodami na temat materiałów – które koniecznie muszą być ekologiczne, zwłaszcza farby – kolorów, tekstur i marek budowlanych.

Marki to jej ulubiony temat.

– Mają kolosalne znaczenie... – podkreśla Olga po raz trzeci i kładzie dłoń na nadgarstku mamy, która mruga i próbuje się skupić na jej słowach. – Bo pozwól, że ci powiem – chrząknięcie – że choć na pozór mogą wydawać się nieistotne, to marki są tak naprawdę ogromnie ważne. Marka jest jak gwarancja. A gdy chodzi o dzieci, gwarancja to podstawa.

Silvia patrzy na mnie ze znudzoną miną i próbuje dać mi pod stołem kopniaka, którego udaje mi się uniknąć. Gdy zauważa, że nikt się nie odzywa, Olga przetyka ślinę i ciągnie:

– W gruncie rzeczy dobrzy rodzice... – przerywa i spogląda na Emmę, która bawi się z roztargnieniem swoim telefonem – albo dobre matki... – przechyla lekko głowę i zmusza się do grymasu, który ma być uśmiechem – powinni być jak solidna kasa.

Wujek Eduardo podnosi wzrok znad swojego iPada, leżącego obok jego pustego kieliszka, i kiwa kilka razy głową, jakby właśnie zobaczył na ulicy rower jadący bez kierowcy. Mama otwiera oczy i kładzie rękę na dłoni Olgi.

– Wystarczy tylko chwilę cię posłuchać. – Olga patrzy na nią i nie wie, czy potraktować jej słowa jako krytykę, czy komplement, ale mama szybko rozwiewa jej wątpliwości. – Człowiek od razu się domyśla, że pracujesz z ludźmi. Co też mówię, z ludźmi. Z osobami! Mnie nigdy nie przyszyłoby do głowy takie... mmm... poetyckie porównanie.

Silvia znowu próbuje kopnąć mnie pod stołem i tym razem jej się to udaje. Olga uśmiecha się z zadowoleniem i odchrząkuje. Otwiera usta, żeby kontynuować swój wywód, ale mama, przygotowana do wystrzału, uprzedza ją.

– To prawda – mówi i kiwa powoli głową, jakby ważyła każde słowo. – Dobra matka musi być jak solidna kasa.

– Właśnie tak – odpowiada Olga.

– Tak – nalega mama. – Jak prawdziwa kasa pancerna, w której człowiek mógłby przechować oszczędności całego swojego życia i nie bałby się, że go okradną, najlepiej z szyfrem, bo kluczyk można przecież zgubić, chociaż z drugiej strony szyfr można zapomnieć i człowiek ma problem, bo jak wtedy taki sejf otworzyć? Przecież po to jest sejfem, żeby nikt poza nim się do niego nie dostał, prawda, Eduardzie?

Olga wygląda na zbitą z tropu. Mama, od kiedy skończyła rozmawiać z Ingrid, nie ustaje w wysiłkach włączenia do rozmowy również wujka Eduarda, który wciąż wpatruje się w ekran swojego iPada i mamrocze coś pod nosem, odpowiadając nam zdawkowo.

– Co? – pyta i podnosi wzrok. – Ach tak. Masz rację z tymi kasami – zgadza się z wymuszonym uśmiechem, po czym uderza kilka razy palcem w obudowę tabletu. Ale gdy tylko

dostrzega, że Olga patrzy na niego z uniesioną brwią, zaczyna mieć wątpliwości. – Są takie... problematyczne – dodaje, gestykułując rękoma. – I takie... ciemne.

Mama nagle rozpromienia się jak raca i z głośnym brzęknięciem odkłada swoją filiżankę na talerzyk.

– Dobrze mówisz, braciszku – oświadcza. – Ciemne jak... jak dżungla albo ocean, albo jak... jak wewnątrz szafy!

Wujek Eduardo podnosi znowu oczy.

– Wnętrze szafy...?

Mama kiwa powoli głową z przygnębioną miną.

– Tak. Nie ma nic ciemniejszego od wnętrza szaf.

Silvia odwraca się w jej stronę.

– Mamo.

– Tak?

– Można wiedzieć, co ty znowu wygadujesz?

Mama napręża szyję.

– Oj, córciu. Wszyscy przecież wiedzą, że wnętrza szaf są ciemne, a nawet przerażające. Czytałam, już nie pamiętam gdzie, o badaniach jednej z organizacji, co to zajmują się wojennymi traumami czy czymś tam, w których stwierdzono, że duży odsetek mieszkańców krajów pierwszego świata miewa koszmary o szafach. I to takie prawdziwe koszmary, takie koszmarnie: szafy z zębami, z karabinami, szafy pełne teściowych, pełne pajaców, takich jak te z McDonalda, czy norweskich pisarzy, a nawet szafy przypominające chińskie sklepy, ale bez obsługi, która pomogłaby ci się zorientować w tych korytarzach pełnych plastiku i zasłon prysznicowych...

– Mamo – Silvia patrzy na nią z niedowierzaniem. – Dobrze się czujesz?

Mama jest tak rozpedzona, że nawet jej nie słyszy.

– A skąd niby wzięło się wypadnięcie z szafy?

– Wyjście z szafy, Amalio – poprawia ją wujek Eduardo ze zniecierpliwioną miną, po czym odkłada iPada ekranem do dołu. – Z szafy się wychodzi. A nie wypada.

– Właśnie! – wykrzykuje mama i uderza dłonią w stół, czym wprawia filiżanki i sztuce w tak mocne drżenie, że leżąca na jej kolanach Shirley zrywa się i zaczyna szczeleć. – Wyjść z szafy! – Patrzy teraz na wujka Eduarda. – Trzeba wyjść z szafy, braciszku!

Olga chrząka i próbuje załagodzić sytuację:

– Amalio, jeżeli masz problem z chowaniem zimowych ubrań i wyciąganiem letnich, to ja ci chętnie pomogę. Nie wiedziałam, że tak to na ciebie wpływa...

Mama patrzy na nią niewidzącym wzrokiem i dalej się uśmiecha. Potem znów skupia się na wujku Eduardzie, ale ponieważ nie wie, co zrobić, by sam domyślił się tego, co chce mu przekazać, zaczyna gestykulować, nie wydając z siebie ani słowa. Na szczęście udaje mi się złapać w porę pustą butelkę, która stała przed mamą i o mały włos nie poszybowała w kierunku Olgi. To nieme mlócenie powietrza rękoma jest czymś, do czego mama się ucieka, kiedy próbuje naprowadzić nas na trop problemu, który męczy ją od dłuższego czasu. Wie, dokąd zmierza, ale nie znajduje właściwej drogi. W takich chwilach zatrzymuje się w miejscu, tak jak teraz, i rozważa, jakie słowa i formułki najlepiej mogłyby go wyrazić. W dziewięćdziesięciu dziewięciu procentach dokonuje jednak złego wyboru.

Silvia patrzy na mnie z uniesionymi brwiami. Wiem, że ona już wie, że ja wiem. Mama nie daje nam jednak wytchnienia i czasu do namysłu. Oto i ona w całej swojej okazałości.

– Eduardzie, kochanie – zaczyna, kładąc sobie dłoń na szyi i masując się delikatnie. – Tak sobie myślałam, że... jakby to powiedzieć... że ślub z Tereską z Lizbony może być dla ciebie lekkim wstrząsem, bo przecież wiadomo, jacy ci Portugalczycy są, to znaczy wiadomo, że są

trochę owłosieni i że gdyby nie ich złączone brwi, to przez te atlantyckie wiatry nie widzieliby nic na oczy.

Cisza. Silvia zapala kolejnego papierosa, a Olga odruchowo wyciąga rękę, prosząc ją bez słów o jednego. Mama nawet na nie nie patrzy. Zmierza prosto do celu. Zamykam oczy i oddycham głęboko.

– Mówię o ich otwartości, bo nie wiem, czy w Portugalii geje, lesbijki i transseksiści mogą brać ślub i... nie chciałabym, żebyś cierpiał, Eduardzie. – Kręci przecząco głową, porusza przy tym całym ciałem i potrząsa siedzącą jej na kolanach Shirley, która teraz kładzie łeb na obrusie. – A przy okazji powiem ci, co jeszcze mnie martwi. – Wujek Eduardo marszczy brwi. Nie ma pojęcia, o czym mama mówi. – Wypukłość.

Spuszczam wzrok i wbijam go w filiżankę, ale i tak nie potrafię się opanować i wybucham śmiechem. Natychmiast staram się udać, że to kaszel.

– Wypukłość...? – pyta wujek, zupełnie zdezorientowany. Nagle coś chyba zaczyna świtać mu w głowie, bo cały się napręża i spogląda na mamę z niepokojem, jaki ma też wypisany na twarzy Emma. – Jaka wypukłość, Amalio?

– No... to coś – odpowiada mama, nalewając sobie wody. – To coś dużego.

Wiem, że jeżeli podniosę wzrok, to tym razem nie zdołam już powstrzymać się od śmiechu, gdyż z trudem przychodzi mi nawet oddychanie. Postanawiam więc wpatrywać się w swoje dłonie, jakbym nagle nauczył się czytać z linii papilarnych życia, zdrowia i pieniędzy. Silvia pali dalej, jak opętana, i wydmuchuje dym nosem. Kiedy spoglądam na nią kątem oka, widzę, że patrzy na mamę w skupieniu, i nawet przy tym nie mruga. Chwilę później słyszę sugestię, która pada z jej ust:

– Mamo, jeżeli chcesz, nagram telefonem to, co mówisz, żebyś przed pójściem spać mogła sobie posłuchać, i może wtedy zrozumiesz, dlaczego czasem tak trudno jest być twoją córką, i nie będziesz potem mogła zasnąć przez dwa tygodnie.

Mama odwraca się do niej i cmoka językiem, widocznie poirytowana, nie tyle samym komentarzem, ile tym, że został wypowiedziany właśnie w tym momencie.

– Eduardzie, kochanie – ładuje ponownie broń – chodzi mi o to, że... Tereska ma taką wypukłość w majtkach, która nie jest... normalna. Co ja mówię, normalna. Nie jest zdrowa. Ja wiem, że jest z Portugalii, a Portugalczycy, wiadomo... Ingrid mówi, że to dlatego, że śpiewają w barach i jedzą tyle dorsza, który ma w sobie dużo rtęci i przez to skacze im testosteron, puchnie wszystko tam na dole i wypadają włosy. – Kręci powoli głową i wykrzywia usta. – Chcę tylko powiedzieć, że... – Nagle dopadają ją wątpliwości. – Jeżeli chcecie się pobrać z Tereską, czy jak tam ma na imię, to ona wcześniej powinna się chyba zoperować, nie sądzisz? – Wujek Eduardo otwiera ze zdziwienia oczy, ale nic nie mówi. Z prawej strony dobiega mnie za to prychnięcie Silvii. – No, nie patrz tak na mnie – ciągnie mama. – Takie operacje przeprowadza się już od wielu lat i wierz mi, że tak będzie lepiej. Raz, dwa, i po krzyku. Dzięki temu będziecie mogli z Tereską zaakceptować swoją orientację do końca. Chciałam ci powiedzieć, braciszku, że wykazałeś się wielką odwagą, pokazując nam swojego chłopaka. Takie gesty trzeba doceniać i ja, jako twoja siostra, jestem z ciebie dumna – mówi drżącym głosem i przetyka ślinę. – Przykro mi tylko, że tyle lat musiałeś się z tym ukrywać, udawać i ze strachu być z tymi wszystkimi kobietami, które... biedaczki, to przecież nie ich wina... że tak wyszło.

Na chwilę zapominam o stole w salonie mamy i wspominam niektóre narzeczone wujka Eduarda; jedna za drugą zaczynają przechadzać mi się przed oczami, jakby chodziły po wybiegu niedorzeczności. Najpierw przypomina mi się Irina – piękna dziewczyna, wnuczka jakiejś rosyjskiej hrabiny, którą wujek Eduardo poznał w Buenos Aires i która tak mało wiedziała o sprzątanii i prowadzeniu domu, że kiedy zamieszkali razem, to już pierwszego dnia

spróbowała ugotować kurczaka w sosie strogonoff, tylko że nie oskubała go najpierw z piór. Incydent ten zakończył niestety ich romans. Pamiętam również Lorenę, boliwijską stewardesę, piętnaście lat starszą od wujka, która, co wujek zdradził nam dopiero po wielu latach, nigdy nie nosiła majtek i sikała zawsze na stojąco, ale najgorsze wcale nie było to, że nie kucała, ale że załatwiała swoje potrzeby tam, gdzie akurat stała, co tłumaczyła tym, że naśladuje jedynie rdzenną ludność ze swojego ojczystego kraju. Przed oczami staje mi również Rose, Niemka z Hamburga, która na śniadanie piła piwo, była kiperem tytoniu, miała pożółkłe zęby i czerwone włosy – których czasem nie myła całymi dniami, a czasem tygodniami – a mama panicznie się jej bała. Choć to zaledwie trzy z wielu kobiecych postaci, które gościły w życiu wujka, każda z nich odbiegała w jakiś sposób od normy, a mama zawsze szczerze się tym martwiła i domyślam się, że od dawna szukała jakiegoś prostego, spójnego i zrozumiałego wyjaśnienia pecha, jaki wujek miał do kobiet, i to, które podsunęła jej przez telefon Ingrid, pasowało jak ulał. Wujek Eduardo musi być gejem, stwierdziła szwedzka przyjaciółka mamy. A ona zobaczyła wtedy światelko w tunelu i chwyciła się zdesperowana tego, co akurat miała pod ręką, jak zawsze, gdy zamartwia się o kogoś z nas.

A kiedy mama już się czegoś chwyci, zachowuje się jak bullterier: nie wypuści swojego pomysłu z paszczy, choćby miała uschnąć z pragnienia. Widzę, że szykuje się do kolejnego ataku.

– Nie – mówi, przewraca oczami i ruchem dłoni nakazuje wujkowi Eduardowi milczenie. – Nie musisz nic mówić, Eduniu. Wyobrażam sobie, przez co musiałeś przejść, i chcę, żebyś wiedział, że to już się nie powtórzy. Myślę nawet, że powinienes przywieźć do nas Tereskę, żebyśmy mogli ją poznać. – Jej oczy nabierają nagle blasku. – No tak! Przecież ona może tutaj się zoperować! – Kładzie sobie dłoń na piersi, a z jej ust wydobywa się dziwny odgłos. – Och! Moglibyście się pobrać według szamańskich obyczajów. Ingrid porozmawiałaby z Osvaldem, czy jak tam się nazywa ten facet od mieczy neutralizujących promieniowanie elektromagnetyczne, żeby udzielił wam ślubu. Och, byłoby tak pięknie. Może nawet ten szaman mógłby od razu Tonina zoperować. Chodzi przecież tylko o obcięcie... prawda? – mówi i ogląda się na Olgę, która tak zeszywniała, że już nawet nie mruga. W jej dłoni tli się nietknięty papieros, a siedząca obok niej Emma przesuwa palcem po ekranie iPhone'a, jakby przeglądała książkę telefoniczną w poszukiwaniu numeru na pogotowie.

Później nastaje chwila ciszy, której mama tak nie znosi, i to tylko zachęca ją do dalszego bredzenia.

– Homoseksualizm jest przecież poważną sprawą. I bardzo genitalną, bez wątplenia. Olga odruchowo otwiera i zamyka usta. Potem, zaniepokojona, odwraca się do Emmy i mówi:

– Kochanie – łapie ją za nadgarstek i patrzy na zegarek. – Robi się późno i twoja mama jest już zmęczona. Poza tym czeka nas długa droga do domu, a wiesz, jak ludzie dzisiaj jeżdżą...

Silvia, która dopiero co przestała się śmiać, opiera brodę na dłoni i mówi, dalej się szczerząc:

– Mamo, ciebie to po prostu trzeba nagrać, ale nie po to, żeby torturować cię przed snem, tylko żeby wysłać cię do *Masz talent*. – Mama patrzy na nią pytająco i marszczy brwi. Silvia przechyla lekko głowę, wpatruje się w nią uważnie, a potem pyta: – Czy ty siebie słyszysz?

Mama przechodzi samą siebie, nie ma co do tego wątpliwości, i wszyscy wiemy, że jest w stanie ciągnąć to aż do rana i że nawet jeśli po drodze się pogubi, to i tak dalej będzie brnąć na oślep w te surrealistyczne bagna, z których potem cudem uda jej się wydostać, i to niekoniecznie w całości. Patrząc teraz na nią, zapędzoną w ślepy zaułek, zaczynam się domyślać, że próbuje coś przed nami ukryć, gdyż znam ją dobrze i wiem, o czym rozmawiała z Ingrid. Od kilku minut

stara się odwrócić naszą uwagę. W rzeczywistości nie martwi jej ślub czy orientacja seksualna wujka Eduarda, nie obchodzi jej Tereska, jej wypukłości w majtkach czy włosy jak druty, bo dla umysłu mamy to już przeszłość. Komputer osobisty, wmontowany w jej mózg, oznaczył sprawę wujka Eduarda jako „załatwioną” i kiedy dotarło do niej, że przesadziła, obawiając się poczucia wstydu i milczenia, postanowiła, jak to ona, bredzić dalej. Gdy tylko zauważyła, że może grozić nam przy stole chwila ciszy, chwytając się rozpaczliwie pierwszej rzeczy, mniej lub bardziej logicznej, która przychodzi jej do głowy, i niczym mała dziewczynka daje się ponieść spirali coraz większych kłamstw, dopóki ktoś lub coś z zewnątrz – zawsze jest to ktoś lub coś z zewnątrz – nie przybędzie jej na pomoc, skupiając na sobie całą uwagę.

Mama robi to wszystko, by przyspieszyć upływ czasu, w oczekiwaniu, aż ktoś inny znajdzie się w centrum powszechnego zainteresowania i pozwoli jej przemyśleć w spokoju następne wystąpienie, czyli to, co przez telefon nazwała „naszą sprawą”. Wiem, po tylu latach wspólnych radości i cierpień, że jest to coś, co ją dzisiaj gryzie, i wiem również, że całe to przedstawienie z wujkiem Eduardem jest tylko wstępem, przygotowaniem terenu pod to, co ma zaraz nastąpić.

Czeka na kamizelkę ratunkową. I ją dostaje, gdy łagodny głos Emmy wypełnia salon swoim delikatnym brzmieniem, a jej słowa, niczym kolejny kamień, opadają ciężko na stół i wprawiają w ruch kołyszące nas fale.

– Sara zawsze powtarzała, że nie ma nic gorszego niż niewiedza – mówi, gładząc odruchowo ręką czerwoną papierową serwetkę, która leży nietknięta na talerzu z jej prawej strony. – Chociaż moim zdaniem najgorsza jest czyjaś nieobecność – dodaje i uśmiecha się smutno. Potem mówi przeprasząc: – Nie ma nic bardziej nieprzyjemnego niż czyjaś nieobecność.

Wymieniamy z mamą spojrzenia. To zdanie, dokładnie te same słowa, wypowiedziała kiedyś mama, kiedy próbowała wyciągnąć Emmę ze studni pełnej błota i zwrócić ją, po śmierci Sary, życiu. Zdanie to było dostatecznym dowodem na to, co każde z nas uważało za niemożliwe – potwierdzeniem cudu. Usłyszeć je z ust Emmy po tak długim czasie to jak powrót do przeszłości i przeżycie na nowo tego, co wydarzyło się tamtego pamiętnego dnia, w którym mama i ja, dokładnie rok po śmierci Sary, odkryliśmy prawdę, a także tego, co stało się kilka dni później.

W ciszy, która nas teraz kołysze, patrzę najpierw na Emmę, a potem na puste miejsce obok niej, na dwa talerze, kieliszki, serwetkę i krzesło. Wiem, że ktoś z zewnątrz mógłby pomyśleć, że czekamy na kogoś, kto nie przyszedł; a przynajmniej ja sam odniósłbym takie wrażenie, gdybym nie wiedział tego, co wiem. Tylko że ja nie jestem nikim z zewnątrz, tylko kimś w samym oku cyklonu. Nie jestem tatą ani Andresem, ani Sarą, ale częścią tych, którzy zostali, częścią tej rodziny, która dzięki mamie nauczyła się walczyć z nieobecnościami i zrobiła im w swoim życiu miejsce. Wszyscy jesteśmy jej za to wdzięczni. Zwłaszcza Emma.

Chociaż wcześniej tak nie było. Wcześniej było inaczej.

Zwykły przypadek lub znaczona talia losu zadecydowały jednak, że wszystko zmieni się w dniu, w którym odkryjemy tajemnicę Emmy, a mama zdecyduje się działać, włączyć syrenę alarmową i postawić wszystko na jedną kartę.

Żadna z nich nie będzie potem taka jak kiedyś.

Cztery

Był to zwykły przypadek. A może i nie, może było to coś dużo prostszego. Może życie czasem zabiera nam coś bezpowrotnie, a potem, innym razem, kiedy najmniej się tego spodziewamy, postanawia nagle o nas zadbać, kierując się zasadą wynagradzania strat, która nie ma nic wspólnego z prawami fizyki czy chemią, tylko z porządkiem rzeczy, którego do tej pory nikt nie potrafił wyjaśnić. Do dziś nie jestem pewny, co się dokładnie wydarzyło; wiem jedynie, co zapamiętałem. Przypominam sobie, że było gorąco i że zbliżało się czerwcowe święto San Juan, bo pod wieczór słychać było wystrzały petard, a na placach układano stosy ze starych drewnianych mebli, które potem miały zostać spalone. Poza tym dzień zaczął się jak każdy inny: Emma wyszła z domu wcześniej, wyprowadziwszy wcześniej Maxa na spacer, a ja krzątałem się do południa i sprzątałem mieszkanie. Spotkałem się potem z Silvią na obiad w barze wegetariańskim, a o godzinie czwartej przekroczyłem próg studia, aby ponownie nagrać ogłoszenie, które skończyłem tydzień wcześniej i które nie przypadło mojemu klientowi do gustu. Liczyłem, że zajmie mi to jakieś pół godziny, więc obiecałem mamie, że o czwartej trzydzieści pójdę z nią do sklepu z artykułami dla osób niepełnosprawnych wzrokowo, żeby kupić jej specjalny telefon komórkowy, który Silvia zobaczyła kiedyś na wystawie.

Nie przeliczyłem się i kilka minut przed piątą maszerowaliśmy z mamą w kierunku ulicy Gran Via, nieopodal placu Universidad, rozmawialiśmy o wszystkim i o niczym i szukaliśmy cienia, w którym moglibyśmy się schronić przed popołudniowym oślepiającym słońcem. Kiedy znaleźliśmy się na Gran Vii i skręciliśmy w lewo, w stronę centrum, stanąłem nagle jak rażony piorunem. Mama po kilku sekundach również się zatrzymała. Odwróciła się do mnie i zasłoniła sobie dłońią oczy.

– Co się stało?

Przed nami, w odległości jakichś dziesięciu metrów, w ogródku letnim, siedziała Emma z Maxem u stóp. Odwrócona była do nas bokiem, na nosie miała okulary przeciwsłoneczne. Na jej stoliku stała butelka wody i leżało coś, co przypominało drożdżówkę lub małą kanapkę. Przez kilka chwil wpatrywałem się w nią bez słowa. Nie mogłem ruszyć się z miejsca. Nie potrafiłem tego wyjaśnić, ale cały ten obrazek migotał na czerwono na tle ulicznego zgiełku, jak syrena alarmowa. Coś było nie tak. Nie w porządku.

– Emma – powiedziałem cicho, jakbym się bał, że może mnie usłyszeć. Mama zmrużyła oczy, na próżno próbując coś zobaczyć.

– Gdzie? – zapytała.

Jej „gdzie” wbiło mnie w ziemię i udzieliło odpowiedzi na pytanie, którego sam nie ośmieliłem się wcześniej zadać.

Gdzie. No właśnie.

Emma siedziała w tym samym ogródku letnim, w którym czekała na Sarę tamtego popołudnia, gdy wszystko rozpadło się na kawałki. Ten sam ogródek. Ten sam stolik. Butelka wody. A to, co leżało na talerzyku, wcale nie było kanapką, tylko przepołowionym muffinem.

Poczułem, że wstrząsają mną zimne dreszcze, a moja koszula zaczyna nasiąkać potem spływającym mi po plecach. Mama zbliżyła się powoli i chwyciła mnie za ramię.

– Co się dzieje? – zapytała i pociągnęła mnie lekko ku sobie.

Zawahałem się. Znałem roztargnienie mamy i jej kiepską orientację w terenie, dlatego pomyślałem, że jeżeli zacznę zachowywać się normalnie, pomimo wewnętrznego roztrzęsienia, to pewnie nie skojarzy faktów i tego miejsca. Chciałem jej powiedzieć, że się pomyliłem, że wydawało mi się, że zobaczyłem Emmę i że szybko powinniśmy przejść na drugą stronę ulicy,

bo akurat mamy zielone światło, i o wszystkim zapomnieć. Miałem to zrobić i pewnie bym zrobił, gdyby mama nie odwróciła się w stronę ogródka w chwili, gdy zegar na wieży uniwersytetu, ledwo słyszalny wśród ulicznej wrzawy, zaczynał wybijać pełną godzinę.

Pięć uderzeń, metalicznych i pustych, jak bębnienie palcami o szybę, po których Emma nie była już zrelaksowaną kobietą, siedzącą przy stole z psem, lecz linią sztywnych pleców, ledwo dotykających oparcia krzesła, spuszczoną głową i wzrokiem wbitym w ekran telefonu. Widziałem, że pije łyk wody, a potem gryzie delikatnie muffina, nie wypuszczając telefonu z ręki.

– Co się dzieje? – dopytywała mama.

Zrozumiałem, że już za późno i że nie ma sensu udawać, że nic się nie stało. Poza tym chciałem przekonać się, co będzie dalej. Popatrzyłem na mamę.

– Tam siedzi Emma – powiedziałem, szukając w mojej wewnętrznej bazie danych głosu lektora, który zabrzmiałby uspokajająco.

– I?

Odetchnąłem głęboko.

– W tym samym miejscu i o tej samej porze, mamó.

Choć dzisiaj trudno mi w to uwierzyć, tych kilka słów wystarczyło jej wtedy za całe wyjaśnienie. Mama zbliżyła się i zapytała:

– Widzisz ją?

Przytaknąłem.

– Mniej więcej – odpowiedziałem.

– Podejźmy trochę bliżej – poprosiła. A potem zapytała: – Myślisz, że może nas zobaczyć?

Nie, byłem pewien, że nas nie zobaczy. Emma siedziała odwrócona do nas bokiem i nie mogła widzieć tego, co działo się na chodniku za jej plecami. „Możemy podejść trochę bliżej”, pomyślałem.

Skradaliśmy się w kierunku kawiarni jak szpiedzy, przyklejeni do fasad dwóch kamienic znajdujących się między rogiem ulicy a letnim ogródkiem. Zatrzymaliśmy się przy trzecim budynku i stanęliśmy obok wejścia do sklepu z artykułami gospodarstwa domowego. Siedząca kilka metrów dalej Emma odłożyła telefon na stół i podniosła głowę. Napiła się wody i zjadła resztę muffina. Max spał u jej stóp z głową wspartą na łapach, również odwrócony do nas tyłem.

Mama, trzymając mnie pod rękę, zmrużyła oczy, żeby lepiej widzieć.

– Co teraz robi? – zapytała.

Nie odpowiedziałem od razu. Po kilku sekundach Emma podniosła lewą rękę, spojrzała na zegarek, jeszcze bardziej wyprostowała plecy, odwróciła gwałtownie głowę, wzięła iPhone'a i zbliżyła go do twarzy. Ja również instynktownie spojrzałem na zegarek.

Były dwie po piątej.

– No, co teraz robi? – dopytywała mama; pociągała mnie za ramię, ze zmartwieniem w głosie, którego nawet nie próbowała ukryć.

Chciałem powiedzieć, że nic, żeby się nie martwiła i że lepiej będzie, jak już pójdziemy. Właśnie miałem rzucić „chodźmy”, ale kiedy otworzyłem usta, Emma zrobiła coś, co odebrało mi mowę: gdy tak siedziała przy stole, z wyprostowanymi plecami i telefonem w dłoni, zaczęła się kiwać, najpierw delikatnie, prawie niedostrzegalnie – w przód i w tył – a potem coraz mocniej i mocniej. Po chwili kołysała się jak boja na morzu, w przód i w tył, w przód i w tył, odrywając wzrok od ekranu telefonu tylko po to, żeby spojrzeć na zegarek.

Mama ścisnęła mnie za ramię.

– Fernandzie – powiedziała.

Spojrzałem na nią.

– Mamo... ona się kiwa – powiedziałem w końcu nie swoim głosem. Zmarszczyła czoło.

– Kiwa...?

Nic innego nie przyszło mi do głowy.

– Tak, kiwa. – Gdy zobaczyłem, że mama stoi nieruchomo i wpatruje się we mnie, jakby czekała na dalszy ciąg, przełknąłem ślinę i skoczyłem w przepaść, świadomy nieodwracalności swojej decyzji. – Kiwa się i patrzy na telefon, co kilka kiwnięć spogląda też na zegarek. Potem zaczyna od nowa.

Mama, nie puszczając mojego ramienia, odwróciła się w stronę osoby, którą jak przeczynała, była Emma.

– A później...? – zapytała słabym głosem.

Popatrzyłem znowu na Emmę i gdy zauważyłem, że kołysze się na krześle jak szalona – kiwnięcie, iPhone, kiwnięcie, iPhone, kiwnięcie, zegarek i od początku – zastanowiłem się, czy ta scena i ta zagubiona przy kawiarnianym stoliku Emma, z Maxem u stóp, jest tylko jednodniowym wypadkiem, zwykłym zbiegiem okoliczności, czy wręcz przeciwnie, czy jest tym, czym się wydaje, od kiedy Sara odeszła, a ona zaczęła wyprowadzać Maxa na spacer. Wszystkie szczegóły spadły na mnie nagle jak deszcz kamieni i pomogły mi ułożyć, jeden po drugim, elementy puzzli, które miałem porzucane na stole, ale nawet o tym nie wiedziałem. Przypomniałem sobie pedantyczną punktualność, z jaką Emma przychodziła po Maxa, jej sprzeciw, żeby ktokolwiek im towarzyszył, radość, z jaką Max wychodził ze mną na wieczorny spacer, chociaż powinien być zmęczony po długiej, rzekomo, przechadzce. Wszystko się zgadzało.

– Myślę, że powinniśmy już iść – zasugerowałem, choć sam nie wiedziałem dlaczego.

Mama nawet na mnie nie spojrzała.

– Nie – stwierdziła krótko. – Poczekaj. – A kilka sekund później dodała: – Może jej przejdzie. – Powiedziała to tak łamiącym się głosem, że aż ścisnęło mnie w gardle. Nie było w nim nadziei i od razu domyśliłem się, że mama również dostrzegła brakujące elementy układanki i szukała teraz rozpaczliwie odpowiedzi, przyczyn, sposobów zatkania tej dziury, bo fala bólu, której nadejście przeczynała, przerażała ją swoim ogromem. Odetchnęła głęboko, wypuściła powietrze nosem i odparła: – Nie możemy jej tak zostawić.

– Mamo, nic nie da się zrobić – odrzekłem.

Popatrzyła na mnie. Jej głos był pierwszą oznaką przemiany, jaka wtedy zaczęła w niej zachodzić.

– Możemy ją obserwować – oznajmiła. – Stąd. I poznać prawdę. – Zanim zdążyłem odpowiedzieć, stanęła obok mnie w wejściu do sklepu, przechyliła lekko głowę, dotknęła nią mojego ramienia i rozkazała: – Wszystko mi, kochanie, opisz. Co teraz robi?

Emma kołysała się dalej, w zawieszaniu między ekranem iPhone'a a tarczą zegarka. To właśnie widziałem i to właśnie chciałem jej powiedzieć. Jednak zamiast „kiwa się”, oznajmiłem:

– Emma czeka, mamo.

Mama puściła moje ramię i wzięła mnie teraz za rękę.

Tak, Emma czekała i czekała, dokładnie przez trzy godziny, a ja i mama przez cały ten czas staliśmy na warcie, milczący i nieruchomi. Wpatrzeni.

Od czasu do czasu mama pytała:

– A teraz?

Moja odpowiedź zawsze była taka sama, bo przy stoliku Emmy nic się nie zmieniło: kiwnięcie do przodu, krótka przerwa, kiwnięcie do tyłu, nerwowe spojrzenie na telefon, kolejne kiwnięcie, nadgarstek, zegarek i od nowa. Popołudnie powoli zaczynało destylować gorąco,

a w mieście, na rogach ulic, pojawiała się coraz więcej cieni, mieszających się z tłumem, codziennością i odgłosami ruchu ulicznego. Tak, moja odpowiedź, przeplatająca się z milczeniem, z jakim mama jej słuchała, zawsze była taka sama. Przechodnie mijali nas obojętnie, a zegar na wieży uniwersytetu wybił najpierw szóstą, potem siódmą, a na koniec ósmą godzinę. Kiedy ostatnie uderzenie zegara zmieszało się z odgłosem autobusów i samochodów jadących po Gran Vii, mama ścisnęła mnie za rękę i zapytała:

– Idziemy?

Jej głos był tak słaby, że nawet nie odpowiedziałem. Objąłem ją tylko w pasie i pocałowałem w czoło. Potem ruszyliśmy w kierunku przeciwnym do Emmy i skręciliśmy w pierwszą ulicę prowadzącą do zachodniej części miasta, a kiedy tylko zobaczyłem wolną taksówkę, podniosłem rękę.

Mama zawisła na moim ramieniu.

– Nie – powiedziała. – Mam ochotę się przejść.

Opuściłem rękę.

– Dobrze. Pójdę z tobą.

Szliśmy wolno, każde z nas pochłonięte swoim własnym milczeniem. Barcelona zaczynała pogrążyć się w mroku, a ruch uliczny stawał się spokojniejszy. Kiedy dotarliśmy do jej bloku, mama pożegnała się ze mną buziakiem, ale zanim zniknęła w drzwiach, odwróciła się, popatrzyła na mnie i oznajmiła ze zmęczonym uśmiechem:

– Jutro tam wrócę.

Nie wiedziałem, co powiedzieć. Ja również byłem wycieńczony.

– Nie musisz mi towarzyszyć – dodała, nie przestając się uśmiechać. – Mogę iść sama. Z tonu jej głosu wywnioskowałem, że nie było sensu przekonywać jej, żeby tego nie robiła.

– Nie, mamo – odparłem. – Pójdę z tobą.

Kiwnęła głową. Potem odwróciła się i gdy już zamykała delikatnie drzwi, dodała:

– Lepiej chyba będzie, jeżeli na razie nie wspomnimy o tym Silvii. Wiesz, jak ona reaguje. Poza tym jutro wyjeżdża na kilka tygodni, więc nie ma sensu jej martwić.

– Jasne.

Kiedy po długim spacerze dotarłem w końcu do swojego mieszkania, Emma i Max już na mnie czekali. Emma była taka jak zawsze: spokojna, wyważona, pusta w środku. Pogawędziliśmy chwilę, gdy przygotowywała kolację. Zachowywała się tak naturalnie, że przez chwilę zwątpiłem, czy to, co widzieliśmy z mamą kilka godzin wcześniej, zdarzyło się naprawdę. Moje wątpliwości szybko jednak zostały rozwiane, bo kiedy usiedliśmy do kolacji, dostałem od mamy SMS-a:

„Jutro za kwadrans piąta, w tym samym miejscu, dobrze?”.

Nasze trzy kolejne popołudnia, moje, Emmy i mamy, wyglądały tak samo. Emma po pracy przychodziła po Maxa. Ja wychodziłem potem z domu i jechałem rowerem wzdłuż Las Ramblas, skręcałem w lewo, w ulicę Pelayo, dojeżdżałem do placu Universidad i zostawiałem rower na parkingu przylegającym do wejścia do metra. Mama już tam na mnie czekała. Rytuał Emmy również się powtarzał: woda, muffin, czas, uderzenia zegara, napięcie, kołtysanie się, telefon, zegarek... To samo, zawsze to samo, dzień po dniu, ta sama scena, to samo pytanie mamy, mieszające się z uderzeniami zegara na wieży uniwersytetu i popołudniowym ulicznym gwarem:

– A teraz co robisz?

Niewiele można by o tych kilku dniach powiedzieć. W moich wspomnieniach wypełnione są milczeniem – w jakim ja i mama pogrążyliśmy się, kiedy staliśmy przed wystawą sklepową –

i oczekiwaniem. Emma, przy swoim stoliku, na próżno czekała, aż jej telefon zadzwoni, a ja na próżno czekałem, aż mama wydostanie się z tego umysłowego labiryntu, w którym najwidoczniej się znalazła, nie wiedząc, jak pomóc swojej młodszej córce. Jeżeli w czasie naszego czuwania próbowałem wciągnąć ją do jakiejś rozmowy, zachowywała się jak nie ona: marszczyła brwi ze zniecierpliwieniem i nie odrywając wzroku od stolika, odpowiadała szorstko: „Poczekaj. Myślę”. I na tym się kończyło. Zastanawiałem się nawet, czy nie zadzwonić do Silvii, do Tokio, i nie opowiedzieć jej wszystkiego, ale nie potrafiłem się na to zdobyć. I dzisiaj cieszę się, że tego nie zrobiłem. Inaczej pewnie nigdy nie wydarzyłoby się to, co się wydarzyło – mama pewnie nigdy nie dostrzegłaby swojej szansy i nie zdobyłaby się na to, na co się zdobyła, a Emma nie siedziałaby dzisiaj z nami przy stole, z Olgą z jednej strony i pustym talerzem z drugiej.

Gdyby mama nie opracowała swojego planu, gdyby nie wymyśliła tego, co jakiś czas później nazwie Krzesłem Nieobecności, Emma pewnie straciłaby głowę, a my stracilibyśmy Emmę.

I siebie wraz z nią.

Pięć

Czwartego dnia od naszego pierwszego czuwania przy wystawie sklepowej na Gran Vii, polegającego na wpatrywaniu się w Emmę kołyszącą się przy stoliku, dostałem od mamy SMS-a: „Jutro nie idziemy. Zadzwoń do ciebie. Musisz na wszystko się zgodzić”.

Telefon zadzwonił pięć minut później. Była prawie dziesiąta i właśnie kończyliśmy z Emmą jeść kolację. Rozmawiałem z mamą, jakbyśmy się tego dnia nie widzieli, o błahostkach, a kiedy już zacząłem się zastanawiać, czy jej wiadomość nie była fałszywym alarmem albo jednym z pomysłów, o których zapomina i do których później nie chce się przyznać, mama nagle oświadczyła, że koleżanka Ingrid otworzyła niedaleko restaurację i że skoro następnego dnia jest piątek, a Emma wcześniej wychodzi z pracy, to moglibyśmy pójść tam na obiad wszyscy razem. Zakryłem dłonią słuchawkę i spytałem o to Emmę, a ona się zgodziła. Potem jednak zmieniła zdanie.

– Jutro kończę o drugiej trzydzieści – powiedziała. – Muszę zostać po lekcjach, bo mam zebranie.

Przekazałem tę informację mamie.

– To świetnie – odpowiedziała stanowczo. – Im później, tym lepiej – dodała szeptem, jakby Emma mogła ją usłyszeć. A potem, już swoim normalnym głosem, zapytała: – O trzeciej wam pasuje?

Zapytałem o to Emmę, która pokiwała, bez przekonania, głową.

Spotkaliśmy się przed restauracją za pięć trzecia. W czasie obiadu nie wydarzyło się nic nadzwyczajnego, nie licząc komentarza mamy, do którego ja i Emma nie przywiązaliśmy wtedy żadnej wagi, a który był tak oczywistą zapowiedzią tego, co później miało się wydarzyć, że do dziś nie wiem, jak mogłem go przeoczyć.

Gdy usiedliśmy przy stole, kelner podał każdemu z nas menu, postawił na środku stołu koszyczek z chlebem i talerzyk oliwek i już chciał zabierać sztucce, które leżały obok mnie – usiedliśmy we trójkę przy stoliku dla czterech osób – gdy mama podniosła dłoń i z miną doświadczonej, cierplivej klientki pokręciła przecząco głową.

– Proszę się nie kłopotać – powiedziała. Kelner spojrział na nią z niepewną miną, ale mama nie odwróciła wzroku i nie opuściła dłoni, więc w końcu wzruszył ramionami i odszedł. Potem każde z nas skupiło się na swojej karcie.

Nie pamiętam, co jedliśmy, ale nie wydaje mi się to teraz istotne. Ważne jest jednak to, że mama siedziała obok Emmy, a ja naprzeciwko mamy. Ważne jest również to, że restauracja szybko opustoszała i zostaliśmy we trójkę, nie licząc stolika dla dwóch osób na drugim końcu lokalu, zajmowanego przez małżeństwo zaprzyjaźnione z kierownikiem sali – starszym siwym panem wyglądającym na Argentyńczyka i podrywacza – który co kilka minut podchodził do nich, żeby chwilę porozmawiać.

Deser zamówiliśmy dopiero kwadrans po czwartej. Gdy spostrzegła, która jest godzina, Emma nagle zaczęła się denerwować.

– Powinam już iść – powiedziała. – Muszę wyprowadzić Maxa.

Wymieniliśmy z mamą spojrzenia.

– Nie musisz, kochanie – powiedziała mama z udawaną beztroską, zanim ja zdążyłem się odezwać, kładąc Emmie dłoń na ramieniu. – Wyprowadziliśmy go przed obiadem, prawda, Fernandzie?

– Ale... – zaczęła Emma i popatrzyła na mnie ze zdziwieniem. – Przecież Max zawsze o tej porze idzie na spacer.

Uśmiechnąłem się. Staralem się, by mój uśmiech był uspokajający, ale nie wiem, czy mi się to udało.

– Nie przejmuj się – powiedziałem. – Rano poszliśmy na długą przechadzkę, wytrzyma do wieczora.

Emma przełknęła ślinę, ale nie nalegała, bo właśnie podszedł do nas kelner, a mama, spoglądając na Emmę znad karty deserów, wykorzystała tę okazję, żeby oznajmić:

– Poza tym niedługo wpadnie Ingrid na kawę. Tak się cieszy, że cię zobaczy...

Emma nic wtedy nie zamówiła. Za dwadzieścia piąta zadzwonił telefon mamy. Była to Ingrid.

– Tak, tak, jesteśmy. – Cisza. – Oczywiście, że na ciebie poczekamy. – Znowu cisza. – Tak, Emma jest z nami. Powiedziałam jej, że przyjdiesz. – Ostatnia i dużo krótsza chwila ciszy. – Dobrze, tylko się pospiesz. Buziaki.

Emma próbowała zaprotestować, ale mama stanowczo jej przerwała.

– Mówi, że jest niedaleko, w domu jakiejś klientki. Leczy reiki jej papugę.

Emma spojrzała na zegarek i zacisnęła usta. Potem odetchnęła głęboko, popatrzyła na ekran swojego telefonu, który leżał na stole, i jakby trochę się odprężyła. Kiedy kelner zapytał, czy chcemy kawę, mama odmówiła ruchem głowy, a ja poprosiłem o kawę z mlekiem i lodem. Emma wahała się przez chwilę. Potem podniosła wzrok i powiedziała:

– A ja poproszę wodę gazowaną i muffina.

Mama rzuciła mi wymowne spojrzenie.

Następne dziesięć minut zdawało się wiecznością, zwłaszcza Emmie, która patrzyła na nas, ale nas nie słuchała i sama się nie odzywała, tylko siedziała spięta i wodziła wokół siebie pustym wzrokiem, który nie wróżył niczego dobrego. Od czasu do czasu piła mały łyk wody, nie więcej, i gryzła powoli muffina, którego pokroiła na małe kawałki. Mama zagadywała mnie jak gdyby nigdy nic, a ja odpowiadałem jej ze ściśniętym żołądkiem i ani na chwilę nie spuszczałem Emmy z oka.

Mama zamilkła dopiero, kiedy o piątej odezwał się dzwonek telefonu Emmy. Dzwonił kilka sekund, a potem się wyłączył i okrył nas ciężką zasłoną milczenia, które odbijało się echem od spokojnych głosów dobiegających z drugiego końca restauracji. Mama zwróciła się do Emmy.

– Już piąta? – spytała zaskoczonym głosem. – Oj, ta Ingrid, niedługo nas tu chyba zamkną – dodała przekornie. Emma jej nie słuchała. Wyprostowała plecy, odrywając je od oparcia krzesła, spojrzała na zegarek i podniosła swój telefon odruchowym gestem, który widziany z tak bliska, aż mnie przeraził. Przełknęła ślinę, raz, drugi, trzeci, jakby próbowała coś powiedzieć.

– Ja... – zaczęła zachrypniętym głosem, mrugając powiekami w zastraszającym tempie – muszę już iść.

Dłoń mamy zamknęła się na nadgarstku Emmy jak hak. Jej ruch był tak szybki, że nim się spostrzegłem, jej palce zaciskały się już na opalonej skórze Emmy, która odwróciła się do niej zdumiona.

– Nie, kochanie – powiedziała mama, głosem brzmiącym słodko i kryształowo, jakby właśnie odbił się od okna, przed którym siedzieliśmy. – Nie musisz nigdzie iść.

Emma jęknęła i spojrzała w dół, na rękę mamy. Potem zmarszczyła czoło, jakby czegoś nie rozumiała, i zapytała szeptem:

– Nie?

Mama powoli zaprzeczyła głową i uśmiechnęła się delikatnie, ale nie puściła jej dłoni.

– Nie, córeczko. Możesz tutaj poczekać.

Emma mrugnęła kilka razy. Teraz to ja musiałem przełknąć ślinę, gdyż jej twarz zmarszczyła się nagle jak pognieciony papier; zaczęła otwierać i zamykać usta, jakby brakowało

jej tchu.

– Mamo – powiedziała, spojrzała znowu na ekran telefonu i zamknęła oczy.

Mama spojrzała na mnie, nie puszczać jej nadgarstka, a potem pochyliła się ku niej, wolną ręką poklepała ją delikatnie po palcach i szepnęła:

– Poczekamy razem.

Emma nic nie odpowiedziała. Spojrzała na drzwi i pokręciła przecząco głową.

– Chcesz? – nalegała mama.

Cisza.

– Jak długo jeszcze, córeczko? – zapytała mama. Emma zmarszczyła znowu brwi, nie rozumiejąc pytania. – Jak długo jeszcze będziesz na nią czekać?

Emma szarpnęła się, jakby próbowała wydostać się z uścisku mamy, ale ta jej nie puściła.

– Możesz czekać, ile tylko chcesz, kochanie – powiedziała mama dziwnie spokojnym, lecz zdecydowanym głosem. – Całe życie, jeżeli tego właśnie pragniesz. – Emma znowu szarpnęła dłoń. – Ale wiesz co? Mnie życie nauczyło, że czekanie na coś, co nigdy nie nadejdzie, to okrutna śmierć. A ja nie pozwolę, żeby ciebie to spotkało.

Emma wygięła plecy, nie dotknęła przy tym jednak oparcia krzesła, i chrząknęła, przesuając kciukiem prawej dłoni po ekranie swojej komórki. Potem, mechanicznym gestem, zaczęła gładzić telefon, coraz szybciej i szybciej.

– Emmo, kochanie – powiedziała wtedy mama. – Sara już nie zadzwoni.

Emma wydała wówczas z siebie odgłos, który brzmiał jak suchy szloch, a ułamek sekundy później, kiedy mama zupełnie się tego nie spodziewała, pochyliła się gwałtownie do przodu. Mama odwróciła się wtedy do mnie, a kiedy nasze spojrzenia się spotkały, Emma odchyliła się do tyłu, jak automat, wracając do swojej pozycji wyjściowej. Potem zaczęła się kołysać, mrugać powiekami i kręcić przecząco głową. Jej usta wypowiedziały tylko jedno słowo, które zabrzmiało jak głuchy strzał.

– Nie.

Wpatrywaliśmy się w nią z mamą, a jej kołysanie stawało się coraz gwałtowniejsze. Pierwsze „nie” pociągnęło za sobą kolejne, wypowiedane najpierw wolno, a potem coraz szybciej – „nie” i „nie” wypływało z jej ust niczym mantra.

– Nie, nie, nienie, nienienienienienienienie.

Choć cała ta scena trwała pewnie zaledwie kilka sekund, nam wydała się całym życiem – dzieciństwem, młodością, dojrzałością i śmiercią. Emma uwięziona w echu swoich „nie”, a mama i ja przelykający ból niczym kamienie. Nagle mama wstała z krzesła, objęła Emmę od tyłu i położyła jej brodę na szyi, przytulając swój policzek do jej twarzy. Emma zastygła wtedy na chwilę, a mama od razu wykorzystała to, żeby powiedzieć jej do ucha:

– Nie pozwolę, żebyś tak się zatraciła, kochanie, bo jeżeli ty się poddasz, to i ja opadnę z sił.

Emma przełknęła ślinę i zamknęła oczy, zaciskając mocno powieki, jakby wycofywała się w głąb siebie, ale mama chwyciła ją zdecydowanym ruchem za brodę i kazała jej spojrzeć w przód.

– Popatrz – powiedziała i wskazała na puste krzesło. Chwilę później Emma otworzyła oczy. – Tutaj, przed nami, siedzi Sara. – Emma zacisnęła szczęki. – Widzisz ją? – Emma zaprzeczyła ruchem głowy. Miała błędny wzrok. – A pamiętasz babcię Ester? Ona też z nami jest. – Emma przytaknęła powoli, marszcząc czoło.

– Mamo... – wybełkotała, ale mama jeszcze z nią nie skończyła.

– Mnie babcia teraz często odwiedza – ciągnęła. – Myślicie, że jestem sama, ale ja zawsze kładę na stole dwa nakrycia. Talerz, sztućce i jej ulubiony kieliszek, ten z błękitnego szkła.

Czasami rozmawiamy, innym razem słuchamy chwilę radia, a potem opowiadam jej, co u mnie słyhać i jak wy się macie... A jeżeli któregoś dnia się nudzimy, to biorę się za wyszywanie i pokazuję jej koc, który dziergam dla twojego brata, a ona śmieje się wtedy tym swoim zaraźliwym śmiechem i mówi, że jestem pomyłona, że z moim wzrokiem nie powinnam tymi drutami niczego dziergać, że mogę sobie nimi wydłubać oko, a przecież o wzrok muszę teraz dbać jak nigdy.

Oddycham głęboko i zaciskam dłoń na serwetce. Przypomina mi się nagle babcia i jej śmiech, szczery i niepohamowany, i czuję nagle falę tęsknoty, wielką, wilgotną i słoną, która niczym spirala skurczów rodzi się w szyi i rozchodzi wzdłuż kręgow i żeber, aż do nasady kręgosłupa. Zatęskniłem za nią, jak już dawno nie tęskniłem za nikim, i nagle zrozumiałem, że mama musi czuć się samotna, bez niej, bez tego wszystkiego, co babcia zawsze potrafiła z niej wydobyć, bez jej czujnego, wyczekującego spojrzenia, zachęcającego do dalszego trudu. Chciałem podzielić się z nimi tą myślą, ale głos mamy mnie zagłuszył:

– Oddałabym życie, żeby raz jeszcze przytulić się do mamy, tylko jeden raz, i powiedzieć jej, że mi się udało, że wyszłam z tego, z czego wyszłam, i że brakuje mi jej spojrzenia, które podpowiedziałoby mi, czy dobrze zrobiłam. Oddałabym wszystko, co mam, córeczko – powiedziała smutnym głosem. – Wszystko, oprócz waszej trójki, bo bez was, bez ciebie i twojego rodzeństwa, nie miałabym już nic do zaoferowania i na nic nie mogłabym czekać. A tak nie może być. Życie, kiedy człowiek na nic już nie czeka, nie ma sensu.

Spuściłem wzrok i na próżno próbowałem złapać dech – moje płuca były ściśnięte. Kiedy podniosłem oczy, przekonałem się, że Emma również otwiera i zamyka usta, próbując wciągnąć powietrze. Patrzyła na mnie, ale mnie nie widziała.

– Babcia, kochanie, zawsze powtarzała, że każdy z nas ma swoje Krzesło Nieobecności – ciągnęła mama tym samym tonem. – Jest ono przy nas od urodzenia i tylko czeka, aż tchniemy w nie życie. Moje Krzesło zawsze zajmuje babcia. Dbam o to, by czuć jej obecność i jej nie stracić, ale również o to, żeby nie zatracić samej siebie.

Emma przymknęła oczy, a po jej policzkach spłynęły powoli maleńkie łzy, jakby przecierały trudny i nieznany szlak. Znowu zaczęła się kołysać, ale tym razem delikatniej. Chociaż jej wzrok nadal był pusty, to teraz nie odrywała go od krzesła, które przed nią stało. Kołysała się całym ciałem, ale jej wzrok pozostawał nieruchomy. Mama, obejmując Emmę od tyłu, z twarzą przyklejoną do jej szyi, zaczęła poruszać się wraz z nią, w tym samym tempie, w przód i w tył, w przód i w tył.

– Tak, kochanie, właśnie tak – powiedziała i ją pocałowała. – Popatrz sobie na nią, a ja cię ukołyszę. Powiedz jej, że od tej chwili, za każdym razem, gdy usiądziesz przy stole, znajdzie się tam miejsce również dla niej. Posadźmy ją z babcią, ze wszystkimi, którzy odeszli i już więcej nie zadzwonią, z naszymi nieobecnymi – mówiła jej cicho do ucha, kołysząc się z nią w przód i w tył, a ja raz za razem przełykałem ślinę, usiłując nie wstać i nie poprosić ich, żeby zrobiły na swoim Krześle miejsce dla osób, które ja sam straciłem, żeby pozwoliły mi się kołysać ze sobą. – Powiedz jej, że miłość wcale nie jest czekaniem na coś, czego nikt nie może ci dać – wyszeptwała mama. – Nie. To nie jest miłość – powiedziała i pocałowała ją raz jeszcze.

Twarz Emmy była tak napięta, że jej łzy kapały teraz prosto na obrus. Odczekała kilka sekund, żeby się odezwać, a kiedy to zrobiła, jej głos był chrypiący, zmęczony.

– Boli – powiedziała tylko. „Boli”.

Mama jeszcze silniej przytuliła ją do siebie i dalej powoli się z nią kołysała.

– Oczywiście, że boli – usłyszałem jej głos. – Zaczynanie wszystkiego od nowa zawsze boli, ale jeszcze bardziej boli trwanie w zawieszaniu. – Odczekała chwilę, a potem dodała: – Wiem dobrze, o czym mówię. Wierz mi, córeczko.

Emma przytaknęła i zamknęła oczy. Ja również przymknąłem na chwilę powieki. Kiedy otworzyłem je, przekonałem się, że ich kołysanie powoli zaczynało ustawać.

– Ale ja tutaj jestem – ciągnęła mama – i będziemy kołysać się razem, ile tylko będzie trzeba. A jeżeli będę musiała pójść na dno, żebyś ty mogła wypłynąć na powierzchnię, to to zrobię. Jeżeli będę zmuszona wyciągnąć cię ze studni, żebyś żyła, to to zrobię, bez względu na ból. Bo nie ma w życiu niczego ważniejszego, córeczko. – Spojrzała potem na mnie i wbijając mnie swoim wzrokiem w krzesło, powiedziała: – Nie ma w życiu niczego ważniejszego. Nie dla matki.

Kiwanie dobiegało końca, wreszcie ustało całkowicie. Emma oddychała ciężko, przez usta, a mama, nie odrywając policzka od jej twarzy, głaskała ją po włosach. Później wyciągnęła rękę i chwyciła telefon Emmy, na którym ta mocno zacisnęła palce.

– Już, córeczko. Już.

Emma nadal ciężko oddychała, chociaż jej oddech stawał się coraz wolniejszy i wolniejszy, a kiedy mama pociągnęła znowu za telefon, rozluźniła palce. Mama położyła jej komórkę na stole, ekranem do dołu.

– Już, kochanie, już.

Wtedy Emma skuliła się w sobie i zrobiła się maleńka, jakby chciała zniknąć w ramionach mamy, która otoczyła ją całą sobą.

Głuche szlochanie Emmy długo odbijało się od nagich ścian lokalu, ale mama nawet na chwilę nie przestała głaskać jej po głowie i szeptać jej do ucha rzeczy, których nie zdołałem ze swojego miejsca dosłyszeć. Po przeciwnej stronie restauracji kierownik sali i jego znajomi dalej zajęci byli sobą, swoimi rozmowami i żartami. Przy naszym stoliku czas płynął jednak gdzieś ponad nami, kołysał się w tym samym miarowym tempie, dopóki wszystko się nie uspokoiło.

Kiedy wyszliśmy na ulicę, popołudniowe cienie zaczynały się wydłużać na chodnikach. Powietrze pachniało solą i wilgocią, a od wschodu wiał ciepły wiatr. Poszliśmy do domu pieszo, Emma i mama z przodu, objęte w pasie, a ja z tyłu, obserwując ich zgarbione plecy.

Wszyscy byliśmy wycieńczeni.

Sześć

Na żadnym rodzinnym spotkaniu nie może teraz zabraknąć Krzesła Nieobecności, dodatkowego talerza, kieliszka i sztućców. Jest to pierwsze nakrycie, jakie kładziemy na stole, zawsze na rogu, obok Emmy, i ostatnie, które sprzątam. Dla nas jest to „Krzesło”, dla Olgi zaś „kolejny dziwny zwyczaj waszej matki, który muszę uszanować, bo wiadomo – matka to matka”. Emma poprawia widelec, który potrąciła, odkładając telefon, na którym sprawdzała godzinę, po czym mówi Oldze: „Wpół do czwartej. Powiedz tylko, kiedy będziesz chciała jechać”, i pozwala, by przy stole znowu zapadła cisza przerywana uderzeniami zegara na placu. Mama, zgodnie ze swoją antymilczeniową polityką, nie wytrzymuje i pyta niespodziewanie:

– Jakie to świetne, prawda?

Wujek Edu patrzy na nią, podnosząc brew, a Olga obraca się w jej stronę.

Mama, która jakiś czas temu przyniosła koc, żeby go wyszywać przy stole, przerywa na chwilę swoje robótki ręczne i z czarującym uśmiechem dodaje:

– No, joga.

Silvia i ja mierzymy ją teraz wzrokiem.

– Joga? – pyta Silvia. – Jaka joga?

Mama powoli podnosi igłę do góry i szeroko otwiera oczy.

– Och, nie mówiłam wam? – pyta. – Zapisalam się na zajęcia jogi.

Olga patrzy kątem oka na Emmę.

– To wspaniale, Amalio – oświadcza swoim głosem zza bankowego okienka. – Na pewno dobrze ci to zrobi. W pewnym wieku nic tak nie pomaga w zachowaniu formy fizycznej i psychicznej jak ćwiczenia. W tym roku dostaliśmy w banku darmowe wejściówki na zajęcia z...

– Tak, ja również się cieszę – przerywa jej mama z nutką satysfakcji w głosie. – Ingrid zapisała się razem ze mną. – Milknie na chwilę, po czym dodaje: – Na Wielki Tydzień.

Silvia marszczy czoło.

– Wielki Tydzień?

– Tak.

– A dlaczego akurat na Wielki Tydzień?

– Dlatego że... no wiesz... przez te wszystkie procesje, i w ogóle.

Wujek Eduardo robi zdziwioną minę i kiwa powoli głową, próbując przyswoić sobie to, co właśnie usłyszał, a ja powstrzymuję się od śmiechu i wyprzedzam swoim pytaniem Silvię oraz jej zły humor:

– Mamo, co ma piernik do wiatraka? Co mają wspólnego procesje wielkanocne z jogą?

– Ano mają, mają – odpowiada mama, która próbuje jakoś z tego wybrnąć. Przez kilka sekund nikt się nie odzywa, aż w końcu ona sama, ponieważ wystrzega się ciszy jak zarazy, dodaje: – Ingrid mówi, że te kapturki, które zakłada się niewolnikom w czasie procesji, sprowadzają negatywne wibracje z kosmosu, a w czasie Wielkiego Tygodnia ciało powinno się oczyścić z wszelkich pozaziemskich złogów.

Parskam śmiechem, ale ona dalej uśmiecha się czarująco. Domyślam się od razu, że popełniłem błąd.

– Mówi też – zaczyna się rozpędzać – że Jezus był mistrzem jogi. I reiki. Dlatego leczył wszystko, czego dotykał. I dlatego też osiołki i woły tak go kochały.

Emma, która myślami jest gdzie indziej, stwierdza nagle:

– Ale przecież Wielki Tydzień trwa tylko kilka dni.

Mama wymachuje igłą w powietrzu tak energicznie, że aż włóczka spada z jej kolan i toczy się po podłodze na korytarz.

– Można powiedzieć, że to takie... warsztaty.

Silvia przechyla lekko głowę.

– Aha, warsztaty. Ciekawe – mówi z powagą. A potem, wkładając łyżeczkę do stojącej przed nią pustej filiżanki po kawie, dodaje zmęczonym głosem: – Mogłybyście przy okazji wynająć sobie majstra, żeby znalazł piątą klepkę, której wam brakuje.

Mama nadal wymachuje w powietrzu igłą, potrąca przy tym butelkę wody, która zaczyna chwiać się niebezpiecznie, ale Olga w porę przytrzymuje ją ręką.

– Córciu, dlaczego ty taka jesteś? – pyta mama, kręcąc głową. – Gdyby Ingrid cię słyszała... a taka jesteś jej bliska...

Silvia prycha i marszczy usta.

– A ja uważam, że to świetny pomysł – przejmuje pałeczkę wujek Eduardo. – Na takich... warsztatach na pewno można poznać wielu interesujących ludzi. – Uśmiecha się kokieteryjnie. – Może... może nawet znajdziesz tam sobie chłopaka, Amalio.

Mama wybucha śmiechem.

– Oj, Edziu! O czym ty mówisz, jakiego chłopaka? Ty zawsze tylko o jednym.

– A gdzie się odbywają te całe... warsztaty? – pyta Emma. – Tutaj, na osiedlu?

Mama mruga kilka razy i robi niewinną minę. Potem patrzy na mnie, jakby czekała, aż ja odpowiem na to pytanie. Gdy widzę jej spojrzenie, uświadamiam sobie nagle, że zapuściła się na głębokie bagna. Jej wzrok jest jedną z tych – dobrze mi znanych – rac z napisem „pomóż mi, synku”. Przypominam sobie fragmenty rozmowy, którą kilka godzin wcześniej podsłuchałem na korytarzu, i staję się czujny.

Oto nadeszła chwila prawdy.

– No, tak mniej więcej – mówi mama, odkładając igłę i dotykając swoich przygniecionych włosów z tyłu głowy.

Olga odchrząkuje.

– Mniej więcej?

– Tak – mówi mama. – Wiesz, trochę tu, trochę tam.

„Boże”, myślę w duchu i widzę, że Silvia się napręża i zaczyna sobie wyłamywać palce u rąk.

– Mamo, zapomnij o „trochę tu, trochę tam” – mówi tonem starszej siostry. – Albo tu, albo tam.

– No właśnie, albo tu, albo tam – odpowiada natychmiast mama.

Wujek Eduardo parska śmiechem, a Silvia zapala papierosa i mówi:

– Mamo, nie zaczynajmy znowu. Można wiedzieć, gdzie te warsztaty mają się odbyć?

Mama znowu przeczesuje sobie dłonią włosy i odpowiada beztrąsko:

– W takim jednym miejscu.

Gdybym nie wyczuwał jej zdenerwowania, roześmiałbym się na całego. Widzę jednak, że jest spięta i że na oślep szuka jakiegoś wyjścia z sytuacji. Silvia odkłada łyżeczkę na talerzyk.

– W jakim znowu miejscu?

– Mmm... nie pamiętam dokładnie.

– Mamo...

Mama patrzy na mnie i wzdycha.

– No dobrze, jak już musisz wiedzieć, to troszkę daleko, ale o nic się, córciu, nie martw, Ingrid jedzie tam ze mną, a na miejscu dobrze się nami opiekują.

– Mamo, to naprawdę wspaniale – mówi Silvia i wypuszcza powietrze nosem. – Ale

mogłabyś mówić nieco jaśniej? Troszkę daleko może oznaczać jakiekolwiek miejsce od Las Ramblas aż do tych górskich miasteczek, w których mieszkają hipisi i ich wiecznie zasmarkane dzieciaki jedzące tylko surowe warzywa.

Mama się uśmiecha.

– Mmm... to raczej bliżej plaży niż gór.

Wujek Eduardo przytakuje.

– Ach, plaża – mówi. – Nie ma nic lepszego niż plaża. W Lizbonie jest taka plaża, nazywa się Baberinho, wypełniona po brzegi pięknymi kobietami i ich krągłościami, na których widok mężczyźni ślinią się jak buldogi.

Olga chrząka wymownie i cmoka językiem. Silvia puszcza słowa wujka mimo uszu i dalej wpatruje się w mamę.

– Plaży? Jakiej znowu plaży? Tej w Barcelonie?

Mama nie odpowiada.

– W Sitges?

Kolejny nerwowy uśmiech mamy.

– W Cadaques?

Mama zaczyna masować sobie szyję, a potem odchrząkuje i łącząc w powietrzu palec wskazujący z kciukiem, mówi:

– Troszkę dalej.

Silvia zaczyna się jeżyć, a Olga, która jeszcze przed chwilą chciała wstać od stołu, rozsiada się wygodnie na krześle.

– Aha – mówi Silvia. – Dalej.

Mama przytakuje.

– Po drugiej stronie.

Silvia nie wytrzyma.

– Po drugiej stronie czego? – pyta zniecierpliwiona i uderza ręką w stół, czym wprawia w drżenie talerze, kieliszki i sztućce.

Mama przetyka ślinę i bierze głęboki wdech.

– W Varadero – wyrzuca w końcu z siebie i patrzy na mnie błagalnym wzrokiem, robiąc przy tym minę pod tytułem „co mnie teraz czeka, synku?”. – Ingrid i ja jedziemy na dziesięć dni do Varadero.

Cisza. Zegar na wieży kościelnej wybija na placu trzy kwadransy, a między jego uderzeniami słychać głucho powarkiwania Shirley, która pewnie bawi się w pokoju mamy kłębkami włóczki.

Cisza się przedłuża.

Nie mać jej żaden odgłos.

Mama siedzi obok mnie wyprężona jak struna, czuje na sobie ciężar naszych spojrzeń, więc spuszcza głowę, przymyka na chwilę powieki i mówi drżącym głosem:

– No... na Kubie. – Kiedy otwiera oczy i napotyka przeszywający wzrok Silvii, dodaje głosem, który ma brzmieć beztrąsko: – Prawda?

Siedem

Silvia i ja, w odróżnieniu od Emmy, odziedziczyliśmy oczy po tacie. Wielkie, zielone, jaśniejsze latem i ciemniejsze, prawie niebieskie, zimą. Kiedy byłem mały, babcia Ester powtarzała, że mam świdrujące spojrzenie i oczy jak niemieckie lasy. Nigdy nie wiedziałem, co te „niemieckie lasy” miały dokładnie oznaczać, ale podejrzewałem, że chodziło o ich kolor, o odcień zieleni. Myślałem, że „niemieckie” miało znaczyć tyle, co „z północy”, i tym wyjaśnieniem się zadowalałem. Pewnego dnia, wiele lat później, kiedy pamięć zaczynała płatać babci figle i zamknęła ją w labiryncie wspomnień z czasów, gdy mnie nie było jeszcze na świecie, jedliśmy podwieczorek u niej w domu. Nagle zamilkła, popatrzyła na mnie poważnym wzrokiem, jakby właśnie zdała sobie z czegoś sprawę, i powiedziała:

– Twoje oczy są jak niemieckie lasy.

Tak dawno nie słyszałem tego zdania w jej ustach, że nie mogłem powstrzymać uśmiechu. Ona poszła w moje ślady i obydwójce wybuchnęliśmy śmiechem. Chichotaliśmy jak małe dzieci, które schowały się przed rodzicami, żeby w zaciszu namiotu postawionego na balkonie obmyślić we dwójkę jakiś plan, nieważki w swojej niewinności. To jedna z rzeczy, za którymi najbardziej tęsknię – babci poczucie humoru, jej nietypowe, czasem surrealistyczne postrzeganie rzeczywistości, podobne do mamy, choć dużo bardziej świadome i uważne. Tęsknię za jej śmiechem: szczerym, głośnym i beztroskim. Babcia śmiała się od wewnątrz, śmiech wypełniał ją aż po brzegi. „Jak się śmiać, to na całego”, mawiała z zadowoleniem. I taka właśnie była: wszystko albo nic, krytyczna, gwałtowna i nieubłagana w swoich osądach, groźna dla każdego, kto mógłby zagrażać jej najbliższemu, okrutna, kiedy coś szło nie tak jak trzeba – dla wszystkich oprócz mamy i mnie. Przy nas babcia była inna, jej łagodne oblicze zarezerwowane było wyłącznie dla naszej dwójki. Może właśnie dlatego nigdy z niczego nie musiałem jej się tłumaczyć. Babcia czytała we mnie jak w otwartej księdze i od małego udawiała mi swoimi żartami, że nie warto przejmować się drobnostkami; jako praktyczna optymistka potrafiła zamieść wszystkie moje zmartwienia pod dywan swoim poczuciem humoru i pogodą ducha, bo widziała w swoim życiu zbyt wiele, by ugiąć się pod ciężarem zmartwień. Pamiętam tamten dzień w jej salonie i do dziś czuję na skórze ciepło popołudniowego słońca; widzę jej drżące, pokryte plamami ręce, z dwiema obrączkami na serdecznym palcu, podające mi kawę. Patrzyliśmy na siebie przez chwilę i kiedy już myślałem, że podejmiemy na nowo przerwana wcześniej rozmowę, ona wskazała palcem moje oczy i powiedziała:

– Jak niemieckie lasy. Pełne szczelin, do których nigdy nie dociera słońce.

Nie wiedziałem, co powiedzieć. To wyjaśnienie, po tylu latach, było jak silne i głuche uderzenie w pierś. Zmusiłem się do uśmiechu, a ona dalej nalewała kawę, jak gdyby nigdy nic. Potem nałożyła mi na talerz połowę kanapki, dotknęła swoją dłonią mojej i odezwała się ponownie:

– Spróbuj wpuścić w nie trochę więcej światła. – I zniżając wzrok, dodała: – Zanim będzie za późno.

Popatrzyłem na nią pytająco. Widziała, że nie rozumiałem jej słów.

– W te puste miejsca, kochanie.

Jej słowa były pierwszą rzeczą, jaka przyszła mi do głowy, kiedy osoba, siedząca kilka miesięcy wcześniej przy stoliku w kącie kawiarni, odwróciła się z podniesioną ręką w stronę lady, a nasze spojrzenia spotkały się w zawieszonym pod sufitem lustrze. Poczułem wtedy, że krew uderza mi do głowy, a skóra zaczyna palić.

To były moje oczy. I oczy taty.

Oczy, które zobaczyłem w lustrze, były dwiema zielonymi szczelinami w twarzy starszego człowieka. „Postarzał się”, pomyślałem zaskoczony. Z trudem przełknąłem ślinę i zastanowiłem się, co zrobić. Najpierw przyszło mi do głowy, że najlepiej byłoby wstać i uciec. Nie zdecydowałem się jednak na to, bo akurat podszedł do mnie kelner z kawą i croissantem, zasłonił mi widok i zepsuł nastrój chwili. Kiedy odszedł, tata siedział odwrócony do mnie plecami, pochylony nad stolikiem.

Przypuszczam, że trwało to najwyżej minutę, może dwie. Ale to nie czas był istotny – ważniejsze było to, co się stało: tata na jednym brzegu, a ja na drugim, on odwrócony plecami do mnie, a ja do niego, te same oczy pełne szczelin i bagaż doświadczeń, coraz cięższy i cięższy, który los każdemu z nas kładł na barki. Na próżno próbowałem zebrać myśli, uspokoić wzburzone fale wyrzutów, emocji i obrazów, które wbiły mnie nagle w taboret. Poczulem, że moja koszula jest mokra od potu, i przez sekundę miałem ochotę zadzwonić do Silvii, ale natychmiast uznałem, że to nie jest dobry pomysł. Kiedy próbowałem się uspokoić i wsypać cukier do kawy, kelner stanął za ladą i zaczął wycierać talerze, zasłaniając mi odbicie taty. Kilka sekund później ojciec podniósł głowę i się do mnie uśmiechnął. Gdy zobaczyłem jego krzywy uśmiech, przyszło mi na myśl zdanie babci, które utorowało sobie w mojej głowie drogę przez kawiarniany gwar: „Spróbuj wpuścić w nie trochę więcej światła”.

Pomyślałem wtedy, że może to, co babcia nazywała „wpuszczeniem światła”, było czymś równie prostym i ludzkim jak zrozumienie, że nawet jeżeli życie każdego z nas składa się z wydarzeń, których nie możemy kontrolować – rzeczy, które zmieniają nas w ten czy inny sposób – to czasem możemy zatrzymać się po prostu i zapytać. Że może to niewiele, że może zdarza się rzadko, ale że to i tak więcej niż zgoda na dźwiganie na plecach nadludzkiego ciężaru tylko po to, by nikomu nie przeszkadzać, i więcej niż ukrywanie się zawsze w tych samych szczelinach. Uświadomiłem sobie nagle, że istniało tak wiele rzeczy, których nie wiedziałem i o które chciałbym zapytać, i pomyślałem, że być może rozum pomoże mi kiedyś pojąć to, czego czas i milczenie do tej pory nie wyjaśniły. Głos babci Ester rozległ się w mojej głowie, kiedy mieszałem łyżeczką kawę z mlekiem. Usłyszałem również jej śmiech i nagle zatęskniłem za nią tak mocno, że oddałbym wszystko, żeby mieć ją przy sobie, obok, razem z jej pewnością i notatnikiem z kolorowymi kartkami, który – od kiedy pamięć zaczęła ją zawodzić i coraz częściej zanikać – zawsze przy sobie nosiła i zapisywała w nim to, czego nie chciała zapomnieć: listy zakupów, istotne lub ciekawe wiadomości, zasłyszane w radiu podczas śniadania, powracające znienacka wspomnienia, które próbowała za wszelką cenę uchwycić... Nazwiska przyjaciół i ważnych dla niej osób, których nie było już wśród nas. Przede wszystkim jednak spisywała rzeczy, które chciała wiedzieć – lub zapamiętać – i które wyrażała często pytaniem „dlaczego...?”. Pytania, które w ostatnich latach jej życia zamieniły się w niewygodne, niemal dziecinne, bezpruderyjne. Babci „dlaczego” były jak pytania małej dziewczynki, których wcześniej nie miała odwagi zadać; były jak strzały z łuku, które trafiają w sam środek tarczy rodzinnych rzeczywistości pozamykanych w szafach, do których nikt nigdy nie strzela, bo wszyscy wiedzą, że odpowiedzi byłyby szyfrem otwierającym kufry pełne zatrutych skarbów. Część notatnika poświęconą pytaniom „dlaczego?” – fioletowe kartki na samym jego końcu – babcia otwierała tylko przy mnie. Przytrzymała je kilkoma spinaczami, które zdejmowała jedynie po to, by zadać kolejne pytanie – lub zanotować odpowiedź, którą udało mi się znaleźć samemu lub z jej pomocą – albo przeczytać mi nowe pozycje na liście. Z czasem zrozumiałem, że babcia robi to, by móc umrzeć w spokoju, poznawszy odpowiedzi na dręczące ją pytania. Chciała odejść z odrobioną pracą domową i świadomością, że wszystko jest na swoim miejscu, że wszystko zostało wyjaśnione. Czasem do mnie dzwoniła i po krótkim grzecznościowym „Cześć, kochanie, co u ciebie słyhać?” mówiła: „Zapisałam całą stronę. Kiedy wpadniesz na

podwieczorek? Jutro?”. Odwiedzałem ją tak często, jak tylko mogłem. Lubilem do niej przyjeżdżać i widzieć ją czekającą na progu, w spodniach – prawie nigdy nie nosiła spódnic – w golfie, z perłami na szyi i błyskiem w oku, któremu towarzyszył rozbijający mnie uśmiech małej łobuzicy. Po zamknięciu drzwi brała mnie za rękę i ciągnęła do salonu, gdzie miała przygotowaną kawę, kanapki i ciastka. Na bocznym oparciu fotela leżał notatnik, zawsze otwarty na fioletowych kartkach. Babcia siadała, wzdychała i mówiła z radością: „Spiskujmy”, na co ja odpowiadałem: „Sprawdziłaś dobrze, czy nas nie podsłuchują?”. Wybuchła śmiechem, a ja wraz z nią. Zawsze ten sam żart, który powtarzaliśmy, gdy się widzieliśmy, ten sam wybuch śmiechu. Śmiałyśmy się i patrzyłyśmy sobie w oczy, szczęśliwi, że możemy spiskować we dwojkę, jakby cały świat ograniczał się nagle do czterech ścian jej salonu. Babcia nalewała kawę i kładła mi na talerzu połowę kanapki, a potem patrzyła, jak jem, brała do ręki notatnik, zakładała okulary i czytała mi pięć lub sześć pytań, które zdążyła zanotować przez te kilka dni, kiedy się nie widzieliśmy. Brzmiały one mniej więcej tak: „Dlaczego twój ojciec nie przyszedł na pogrzeb dziadka?”; „Dlaczego twoja matka musiała sprzedać jedno z mieszkań, które jej podarowaliśmy, żeby opłacić wam studia?”; „Dlaczego twoja siostra Silvia i ten jej norweski mąż nie mają dzieci? To przez nią czy przez niego?” czy też „A Emma? Myślisz, że to dlatego, że miała pecha do przygłupich narzeczonych, czy była taka już wcześniej?”. Pytania. Dlaczego. Ciekawość babci nie znała granic, a spokój, z jakim słuchała wszystkich odpowiedzi, nigdy nie przestał mnie zaskakiwać. Szczegóły tego, co mówiłem, zapisywała w notatniku swoim niespiesznym, okrągłym i uporządkowanym pismem, kiwając od czasu do czasu głową albo mrużąc coś pod nosem, a ja, jej chodząca pamięć, zamieniałem się w rodzinnego biografę i razem z nią wypełniałem luki w miejscach, których babcia nie chciała zostawić pustymi.

Rytuał fioletowych kartek babci Ester i jej pytań „dlaczego?” powtarzał się prawie do jej śmierci. Pewnego popołudnia, kilka godzin przed swoim odejściem w szpitalu, do którego ją zawieźliśmy, odczekała, aż mama i Emma zjedzą do szpitalnego baru, a potem oświadczyła mi z błyskiem w oczach:

– Mam coś dla ciebie.

Siedziałem przy jej łóżku z gazetą w rękach. Nie wiedziałem, jak zareagować.

– Otwórz szufladę.

Zrobiłem, o co prosiła. W środku znalazłem bąbelkową kopertę z moim imieniem wypisanym na skrzydle.

– Nie pokazuj tego nikomu. Obiecujesz? – zapytała, kiedy otwierałem kopertę.

Przytaknąłem.

– Obiecuję.

Kiedy w końcu wyjąłem to, co było w środku, poczułem w ustach gorzki smak.

Odczekałem kilka sekund, żeby podnieść wzrok i na nią popatrzeć.

– Dbaj o niego – powiedziała z tak zmęczonym uśmiechem, że aż musiałem przełknąć ślinę. – To historia nas i naszych najbliższych opowiedziana przez ciebie. – Zaczepnęła powietrza i dodała: – Historia prawd, nie pustych miejsc.

Włożyłem notatnik z powrotem do koperty, a potem położyłem się obok niej. Zrobiła mi miejsce na łóżku, postępując cicho, a ja objąłem ją ramieniem. Skuliła się – maleńka, koścista. Z wielkimi uszami i ramionami jak dwa kruche skrzydła. Leżeliśmy tak przez chwilę, w ciszy, patrząc przez okno i wsłuchując się w szpitalny gwar dochodzący zza drzwi i przytłumione głosy mieszające się z krzykiem papużek w ogrodzie, aż w końcu poczułem, że delikatnie opiera głowę o mój bark. Odczekałem kilka sekund; pomyślałem, że pewnie zasnęła, ale kiedy się poruszyłem, żeby wstać, powiedziała:

– Nie czekaj, wnusiu, tak długo jak ja, żeby wypełnić wszystkie puste miejsca –

powiedziała ledwo słyszalnym głosem. Przechyliłem głowę i zobaczyłem, że patrzy na mnie z uśmiechem na sinych ustach, jej uśmiechem. – Wątpię, żebyś miał tak ładnego wnuka jak ja, który mógłby ci pomagać, kiedy pamięć zacznie cię zawodzić – dodała i ścisnęła mi ramię kościstą dłonią. Potem zamknęła oczy i wydała z siebie lekkie westchnienie.

Wyszedłem, kiedy spała. Została z mamą.

Odeszła w nocy, zabierając ze sobą element naszej wspólnej układanki i zostawiając po sobie pustkę – wielkie „dlaczego”, na które do dzisiaj nikt nie potrafi odpowiedzieć. Mama, która tamtej nocy spała z nią w szpitalu, opowiedziała nam potem, że babcia umarła nad ranem, kiedy ona wyszła na chwilę do łazienki. „Jakby czekała z odejściem, aż zostanie sama”, powiedziała, a my jej uwierzyliśmy, bo nietrudno było wyobrazić sobie babcię planującą co do sekundy moment swojej śmierci. Podobno kilka godzin wcześniej, kiedy mama czytała przy jej łóżku, odzyskała jeszcze na chwilę przytomność. Otworzyła oczy, popatrzyła na mamę i powiedziała: „Chyba o niczym nie zapomniałam”. Potem zapadła w głęboki sen, z którego już się nie wybudziła.

Kopertę z notatnikiem babci otworzyłem dopiero kilka miesięcy później. Tej samej nocy, której mi ją dała, odłożyłem ją na półkę z książkami. Przypomniałem sobie o niej przez przypadek, przy okazji sprzątanania. Od kilku dni myślałem dużo o babci, a dwie wcześniejsze noce nawet o niej śniłem. Nad ranem nie pamiętałem szczegółów, ale byłem pewien, że to ona i że coś próbowała mi powiedzieć.

Usiadłem w fotelu, otworzyłem kopertę i wyjąłem notatnik. Uśmiechnąłem się, gdy zobaczyłem, że jak zawsze oplotła go podwójnie gumką recepturką, ale zaskoczyło mnie, że był taki cienki. Otworzyłem go i zrozumiałem dlaczego: zostały w nim tylko fioletowe kartki. Po całej reszcie, po kartkach w innych kolorach, nie było śladu. Przez chwilę wertowałem notatnik, przypomiąłem sobie sytuacje, rozmowy i żarty, a potem zacząłem czytać pytania i odpowiedzi zapisane przez babcię starannym pismem pilnej uczennicy i z każdą chwilą coraz bardziej za nią tęskniłem. Kiedy dotarłem do ostatniej strony, zobaczyłem małą kopertę przyklejoną do trzeciej strony okładki. Otworzyłem ją. Wewnątrz była kartka z jej nazwiskiem i adresem w rogu. Pośrodku widniało jedno zdanie, napisane fioletowym flamastrem:

„Zawsze mamy prawo wiedzieć, wnusiu”.

Zawsze mamy prawo wiedzieć. Tak właśnie brzmiała jej ostatnia notatka i to właśnie zdanie przyszło mi do głowy, kiedy mieszałem w obecności kelnera kawę z mlekiem, i postanowiłem sobie, że jeżeli tata siedzi pod oknem, jeżeli może tam siedzieć odwrócony do mnie plecami, jakbyśmy się nie znali, to ja... chcę wiedzieć. Obiecałem sobie w duchu, że nie wyjdę z baru, dopóki z nim nie porozmawiam i nie otrzymam odpowiedzi na moje własne „dlaczego?”. Wyobraziłem sobie wtedy babcię, siedzącą w salonie, ze swoim notatnikiem z fioletowymi kartkami wypełnionymi różnymi listami i pytaniami. Poprosiłem kelnera o papier i długopis. Kiwnął głową, wytarł ręce, podszedł do kasy i wrócił z ołówkiem i kartką w kratkę. Podał mi je z uśmiechem pełnym pustych miejsc, a ja bez namysłu nagryzmołem pięć krótkich, prawie nieczytelnych pytań.

Dlaczego nie byłeś na pogrzebie babci?

Dlaczego śmiałeś się z mamy i nazwałeś ją kretynką w dniu, w którym nie zauważyła, że drzwi od balkonu są zamknięte i wpadła na nie, raniąc sobie szkłem czoło?

Dlaczego nigdy nas nie przytulałeś?

Dlaczego zawsze mówisz, że taki już jesteś, i koniec? Taki, czyli jaki? Taki dla kogo? Dla nas? Jesteśmy dla ciebie nikim? A nie powinniśmy być kimś?

Dlaczego za tobą nie tęsknię, skoro jesteś moim ojcem? Dlaczego nie wiem, kim jesteś, tato? Dlaczego nigdy nie podarowałeś nam niczego na nasze urodziny? Dlaczego chciałbym, żeby wszystko ułożyło się inaczej?

Na tym poprzestałem. Zapiisałem całą kartkę i pomyślałem, że na początek powinno wystarczyć. Zwróciłem kelnerowi ołówek, wypilem duszkiem kawę, wziąłem kartkę do ręki i zamknąłem oczy. Odetchnąłem kilka razy głęboko i wstałem z taboretu. Zanim się odwróciłem, pomyślałem jeszcze o babci i o jej zdaniu – „Zawsze mamy prawo wiedzieć” – i się uśmiechnąłem. Kelner popatrzył na mnie i wrócił do swoich zajęć.

Odwróciłem się.

Kilka godzin później, kiedy mama otworzyła drzwi i zobaczyła mnie na progu, z Maxem na smyczy i torbą podróżną pod pachą, zmrużyła oczy i coś w mojej twarzy wyczytała, bo nawet nie podeszła, żeby dać mi buziaka na przywitanie. Stała w miejscu i tylko na mnie patrzyła.

– Możemy zamieszkać na kilka dni z tobą i Shirley? – zapytałem.

– Pewnie, że możecie – powiedziała i odsunęła się.

Ani jednego „dlaczego” czy „co się stało”. Nic. Kiedy położyłem torbę na posłaniu dla gości i usiedliśmy razem na drugim łóżku, na którym ona spała, położyła mi rękę na głowie i zapytała:

– Chcesz herbatę? Albo piwo?

Podniosłem wzrok. Nawet się nie zdenerwowałem.

– Mamo, przecież ja nie piję.

Zrobiła minę niewiniątka i powiedziała:

– No właśnie, kochanie, właśnie dlatego.

Zaczęliśmy się śmiać, najpierw ja, a potem ona. Nasza radość nie trwała jednak długo i chwilę później mama wzięła się za sprzątanie szafy, żeby zrobić mi trochę miejsca. Nawet jeżeli korciło mnie, żeby jej o wszystkim opowiedzieć, nie mogłem tego zrobić, a ona nie poprosiła mnie o żadne wyjaśnienia ani wtedy, ani w ciągu następnych tygodni. Żadnego nawiązania do tamtego popołudnia. Żadnego pytania czy komentarza. Pomieszkuję u niej do dziś. Dzielimy razem pokój, jakbyśmy byli na wakacjach. Ja dalej robię to co wcześniej – pracuję, chodzę do siłowni i na spacer z Maxem, spędzam niektóre weekendy u Emmy i Olgi na wsi, gram w squasha z Emmą, jeżeli akurat jest w mieście, lub z ludźmi z siłowni, kiedy jej nie ma, a do swojego mieszkania zachodzę tylko po to, by sprawdzić skrzynkę na listy. Nic więcej.

I czekam. Nie wiem na co, ale czekam. Mama do niczego mnie nie zmusza i wiem, że w głębi duszy cieszy się z mojego towarzystwa, nawet jeżeli wspólne mieszkanie nie zawsze jest łatwe. Miewamy swoje wzloty i upadki, ale one i tak zazwyczaj kończą się którymś z jej numerów i śmiechem – przede wszystkim śmiechem. Mama nadal miewa swoje małe napady szaleństwa i co rusz knuje z Ingrid jakiś spisek za naszymi plecami. O większości z nich i tak mi jednak mówi, a ja muszę wtedy ją kryć, żeby Silvia o niczym się nie dowiedziała. Nie jest to najlepsze rozwiązanie – wiem, że nie powinienem mieszkać na czterdziestu pięciu metrach kwadratowych z dwoma psami i matką, jakakolwiek by ona była.

– To nie jest normalne – powtarza Silvia z kwaśną miną za każdym razem, gdy spotykamy się we dwójkę na obiad, a ja zaczynam opowiadać jej o mamie. – To nie jest zdrowe. Poza tym nie rozumiem, jak możesz spędzać tam tyle czasu. – A potem dodaje, ścisząc głos: – Nie wiem, jak z nią wytrzymujesz.

Ani ona, ani Emma nie wiedzą, że chwilowo mieszkam u mamy. Nie wiedzą, że jej dom jest teraz moim schronieniem, i nawet sobie nie wyobrażają tego, co tamtego poranka wydarzyło się w kawiarni przy plaży. Nie powiedziałem o tym ani im, ani mamie. Nie wiem, jak by na to zareagowała Emma. Z nią nigdy nic nie wiadomo, chociaż teraz, kiedy cieszy się wizją wspólnego macierzyństwa z Olgą, pewnie by się tym nie przejęła. Co do Silvii... i tak nie jest to najlepszy okres jej życia, wystarczy tylko na nią spojrzeć.

Może nigdy im o tym nie powiem.

Tak pewnie będzie lepiej.

Skąd mieć pewność?

Osiem

– Na Kubie?

Silvia pali powoli, patrzy na mamę wzrokiem pełnym cieni i napina szyję, jakby próbowała powstrzymać strumień brudnej cieczy cofający jej się z żołądka. Mama nalewa sobie szklankę wody, rozlewając połowę na obrus.

Tak, na Kubie. To właśnie powiedziała. A potem spojrzała na mnie z miną „Boże, co mnie teraz czeka, czym sobie na to zasłużyłam?”, która w innych okolicznościach przyrody pewnie by mnie rozbawiła, ale w obecnej sytuacji, sądząc po wyrazie twarzy Silvii i podniesionej brwi Olgi, moja radość tylko pogorszyłaby sprawę.

Stało się to zaledwie kilka sekund wcześniej. Mama zrzuciła na nas swoją bombę, a jej odłamki rozprysnęły się na wszystkie strony i raniły nawet odprężenie, które o tej porze nocy, prawie o świcie, zaczynało u nas gościć. Po zrzuceniu zapadła głucha cisza, a mama, która obawiała się konsekwencji, bez wahania skoczyła na główkę i zaczęła wypełniać milczenie szumem, hałasem i pogrążającymi ją jeszcze bardziej szczegółami.

– Jedziemy z taką jedną organizacją pozarządową – zaczyna się usprawiedliwiać, aby uprzędzić reakcję Silvii, która co ciekawe, postanawia jedynie dołączyć do cavy i ze zmęczoną miną rozsiada się na krześle. Gdy widzi, że nikt nie zabiera głosu, mama opowiada dalej. – Ingrid ma taką koleżankę, Suleimę, która jest blogerową nauczycielką jogi, czyli wiecie, ma takie coś, co pozwala pisać w internecie, tylko że o jodze i bodyhealingu i innych rzeczach o duchu i ciele, a oprócz tego Suleima jest też guru, ale takim prawdziwym, z pomarańczowym wdziakiem i w ogóle, i ma taki ośrodek jogi w Sorii, do którego celebryci jeżdżą się oczyszczać i w którym kubańscy wolontariusze sprzątają za darmo. I czasami organizuje też takie kursy w Varadero, ale tylko dla kilku kobiet. Albo kilkunastu, góra piętnastu czy dwudziestu. – Znowu na mnie patrzy, szuka w mojej twarzy potwierdzenia, że weszła na dobrą ścieżkę. Nie znajduje go, więc szybko odwraca wzrok i ciągnie: – Pomyślcie tylko, jaka Suleima jest hojna, płaci za nasz bilet w jedną stronę i za hotel, *all inclusive*. A do tego VIP!

Wujek Eduardo patrzy na nią ze zdumieniem i marszczy czoło.

– Mmm, no proszę. Kubańczycy tacy właśnie są, trzeba im to przyznać – odzywa się głosem znawcy. – Dzielią się, czym tylko mogą. Problem w tym, że nigdy niczego nie mają i często wymyślają różne rzeczy, żeby móc innym coś ofiarować. Nie chodzi o to, że kłamią, ale że... wyprzedzają rzeczywistość. Stąd przecież wziął się kubizm.

Odwracam się do niego. Olga bierze kawałek turrona i wkłada go sobie do ust, a Emma ziewa i poleruje ekran swojego iPhone'a serwetką z talerza leżącego przed Krzesłem Nieobecności.

– Kubizm...? – pyta Silvia, odkładając kieliszek i wyciągając kolejnego papierosa.

Wujek Eduardo uśmiecha się, zadowolony, że cała uwaga znowu skupiła się na nim.

– Oczywiście – mówi. – Kubizm wymyślono na Kubie, gdzie by indziej? – Oblizuje sobie górne zęby i gdy tylko widzi nasze pytające miny, dodaje: – Nie mówcie, że o tym nie wiedzieliście.

Mama spieszy mu z pomocą.

– W rzeczy samej, Eduardzie – mówi. – Wystarczy tylko spojrzeć na Głorię Estefan. – Nasze spojrzenia zwracają się teraz ku niej. Jak w meczu tenisa. – Albo Buena Wiza Club.

Wujek wybucha gromkim śmiechem, który odbija się od ścian salonu. Mama oddycha z ulgą. Leżący u moich stóp Max podnosi głowę i wzdycha ciężko. Kiedy znowu zapada cisza, mama postanawia kontynuować swoje przedstawienie.

– No, to tyle z mojej strony – mówi. – Nie ma się czym martwić. – Patrzy na Silvię, która wpatruje się w martwy punkt, po czym dodaje: – Kilka dni jogi, kąpeli leczniczych, masaży, medytacji... A w zamian Suleima poprosiła nas tylko o małe... przedstawienie.

Emma podnosi oczy.

– Przedstawienie?

Mama przytakuje.

– Tak. Mamy trochę poudawać, że wychodzimy za mąż za tych chłopczków, których ona tam ma, żeby w ten sposób mogli przyjechać sprzątać ośrodek w Sorii i zarabiać na chleb. Co za hojna kobieta!

Cisza. Oldze w końcu udaje się wygrać z kawałkiem turróna, który od kilku chwil próbowała rozgryźć w ustach, wydając przy tym głośne i złowieszcze „krak”. Silvia opiera się łokciami o stół.

– Za mąż...? – pyta wolno.

Mama przytakuje i spieszy z wyjaśnieniem.

– Tak. Ale tylko na niby – oznajmia z uśmiechem zadowolenia. – I tylko na lotnisku.

Potem, po powrocie do Hiszpanii, już nie. Ingrid mówi, że te chłopczki zostaną już w Madrycie, bo Suleima wynajmie autokar i zaraz po wylądowaniu zawiezie ich do Sorii. Biedaczka, już teraz ma wyrzuty sumienia, bo kiedyś zabierała ich najpierw do takiego pensjonatu w Madrycie, żeby się zaaklimatyzowali i trochę pozwiedzali, ale Ingrid mi mówi, że kiedy wchodzili do jakiegoś centrum handlowego, to od razu biegli do supermarketu i zjadali wszystko, co tylko wpadało im w ręce, nawet żywe kraby i langusty z akwarium, aż w końcu, co wcale mnie nie dziwi, Suleima postanowiła, że najlepiej będzie, jak od samego początku będą jej pomagać w ośrodku, sprzątać i masować klientki, żeby trochę im przeszedł ten ich kubizm.

Silvia zerka na mnie, a potem zamyka oczy i bierze kilka głębokich wdechów. Potem opiera brodę na dłoni i mówi głosem, który ku zaskoczeniu wszystkich, jest zmęczony, niemal beznamiętny.

– Mamo.

Mama odwraca się do niej.

– Tak?

– Wiesz, że to, co właśnie powiedziałaś, nie jest normalne, prawda? – pyta powoli Silvia. W jej głosie pobrzmiwa teraz ostrzegawcza nutka.

Mama, która zna ten ton równie dobrze jak ja, zaczyna mrugać, grając na zwłokę.

– Jak to normalne?

– Normalne, mamo – powtarza Silvia. – Normalne.

Mama marszczy usta. Choć zazwyczaj ten gest doprowadza Silvię do szału, tym razem nie robi na niej żadnego wrażenia.

– No dobrze, Suleima nie jest może typem kobiety...

– Jestem na to zbyt zmęczona, mamo – przerywa jej Silvia.

Mama milknie i ciężko wzdycha.

– Tak, córciu, jest bardzo późno. – Patrzy na swój zegarek. – Ojej, prawie czwarta.

– Nie, mamo, jestem tak w ogóle zmęczona – odpowiada Silvia i wzrusza lekko ramionami. – A najbardziej męczy mnie... to – dodaje, mierzając nas wszystkich wzrokiem i zataczając ręką łuk nad stołem.

Mama przetyka ślinę.

– To...?

– Tak, mamo – mówi smutno Silvia. – To, że musimy wysłuchiwać twoich bredni i ciągle mieć cię na oku, żebyś nie popełniła jakiegoś głupstwa, jakbyśmy zamienili się rolami i to my

byli matką, a ty córką. Właśnie to, że od tylu lat muszę być matką swojej matki. Wiesz, jakie to jest męczące?

– Już dobrze, dobrze – wtrąca się pojednawczo wujek Eduardo, przechylając lekko głowę i kładąc dłoń na ramieniu Silvii, która odskakuje nagle gwałtownie, jak rażona prądem.

– I twoje szaleństwa – zamierza się znowu Silvia. – To, że nigdy nie słuchasz i że musimy potem wszystko za ciebie naprawiać, bo wiadomo, biedna Amalia, zawsze taka roztrzępana, nieprzyzwyczajona do życia w pojedynkę... – Przerzywa na chwilę, by wziąć głęboki wdech. – Ale wiesz co? Nie ty jedna jesteś samotna, a nawet gdybyś była, to i tak nie miałabyś prawa robić tego, co chcesz, i nie oglądać się przy tym na innych.

– Ale ja... – próbuje bronić się mama.

– No właśnie, właśnie w tym problem – przerywa jej Silvia. – W tym „ale ja”, którym zawsze się wykręcasz, którym cały świat zawsze się od wszystkiego wykręca, bo tak jest łatwiej: ja robię, ja myślę, ja decyduję, ja się bawię, a ty... radź sobie. Wszyscy tak robimy. I wszyscy na tym korzystamy: ja, ta rodzina, to miasto i ten gówniany kraj, z tym gównianym rządem i gównianymi przedsiębiorcami, którzy najpierw wyciskają z ciebie ostatnie soki, a potem wyrzucają cię na bruk, wzywają pewnego dnia na dywanik i mówią, że są bardzo zadowoleni z twojej pracy, że jesteś naprawdę świetna, ale niestety muszą zrezygnować z jednego z dwóch kierowników zespołu, bo tłuste lata już się skończyły, i okazuje się, że tą, która wylądowała na bruku, jesteś właśnie ty... Bo nie masz żadnej choleryjnej rodziny do wykarmienia i nie liżesz dyrektorowi tyłka, nie grasz z nim w golfa, nie załatwiasz mu darmowych wejściówek na mecze Rafy Nadala, żeby poszedł z tą swoją rosyjską narzeczoną. I już. Tak... po prostu.

„Ojoj”.

Spuszczam wzrok. Kątem oka widzę, że mama trochę skuliła się w sobie, z ręką zawieszoną kilka centymetrów nad stołem, jakby opierała ją na czymś niewidzialnym, i z przymkniętymi oczami, bo Olga przestawiła akurat butelkę wody i odbicie lampy w szkle ją razi.

– Córciu – mówi. Silvia oddycha głęboko. Wygląda na wyczerpaną. Nie odpowiada. Siedzi bez ruchu. – Czyli...? – pyta mama zduszonym głosem.

Silvia odpowiada dopiero po chwili. Udaje jej się odzyskać swój zwykły oschły ton, ale nie jest tą Silvią co zawsze.

– Czyli nic, mamó – odpowiada i powoli pociera sobie dłonią szyję. – Nic.

– Aha.

Mija kilka sekund i nikt się nie odzywa. Mama w końcu kładzie rękę na obrusie.

– Dolać komuś kawy? – pyta Olga, sięgając sztywno po dzbanek.

Cisza.

– No dobrze... – mówi mama spokojnym tonem. I zaraz dodaje prawie szeptem: – A ja się z tego cieszę.

Silvia podnosi wzrok i kręci głową, szczerze zdumiona.

– Słucham?

– Cieszę się, córciu.

– Dlaczego?

– Bo już nie będziesz mi przysyłała pocztówek. – Bierze do rąk okruszek chleba i powoli, odruchowo obraca go w palcach.

Silvia parska i znów kręci głową.

– Mamó, właśnie ci oznajmiłam, że wyrzucili mnie z pracy – mówi głosem, w którym pobrzmiwa gniew. – „Nic” znaczy „na bruku”.

Mama spuszcza oczy.

– Dotarło to do mnie, córciu. – Po czym dodaje, lekko zaciskając szczęki: – Nie jestem głupia.

Silvia kurczy się w sobie, jakby otrzymała niespodziewany cios.

– Nie to miałam na myśli.

Mama patrzy na nią i się uśmiecha, ale w jej uśmiechu kryje się tyle tęsknoty, że Olga zaczyna dyskretnie chrząkać. Mama krzyżuje na chwilę swoje spojrzenie ze wzrokiem Silvii.

– Przez twoje pocztówki zawsze ogarniał mnie smutek, córciu – mówi cichym, jakby przeproszającym głosem.

Silvia marszczy czoło. Tego się nie spodziewała. Ani ona, ani nikt.

– Smutek?

– Tak.

– Dlaczego?

– Bo byłaś daleko.

– Mamo, byłaś w pracy. – Po czym dodaje trochę łagodniejszym tonem: – W podróżach służbowych.

– Córciu, ty zawsze jesteś w podróży, nawet jeżeli nigdzie nie wyjeżdżasz – oświadcza mama ze wzrokiem wbitym w okruszek chleba, nie mając odwagi spojrzeć na Silię, która musi słyszeć w jej słowach to samo przygnębienie co ja. – Zawsze się gdzieś spieszysz... – Mama jest smutna i tak właśnie brzmi jej głos, jak głos smutnej matki. Mija kilka sekund. Gdy widzi, że Silvia znowu zaczyna pocierać sobie ręką szyję, ciągnie: – Może teraz, kiedy będziesz miała więcej czasu... – milknie na chwilę i bierze głęboki wdech – mogłybyśmy gdzieś razem wyjechać. Bez pocztówek, bez niczego.

Chwila ciszy. Potem Silvia przełyka ślinę i robi minę, jakby próbowała się uśmiechnąć, ale na próżno; jej usta drżą. W jej oczach pojawia się błysk.

– Bardzo bym tego chciała – mówi mama i patrzy na nią z miną małej dziewczynki, która prosi o coś, przepełniona strachem, że odpowiedź może ją zaboлеć. Znamy dobrze tę minę, bo jest to jej oblicze B, to, z którym dorastaliśmy. Ponieważ Silvia nie odpowiada, przechyla lekko głowę i dodaje nieśmiało: – Oczywiście jeżeli Peter nie będzie miał nic przeciwko.

Miałem na Silię nie patrzeć, ale już za późno. Widzę w jej oczach zwątpienie i chęć wyrzucenia tego z siebie. Waha się przez chwilę, a potem się poddaje. Błysk w jej oczach zamienia się w łzy.

– Peter na pewno nie będzie miał nic przeciwko, mamo. – Nie potrafi powstrzymać uśmiechu. – O to nie musisz się martwić.

Mama również się uśmiecha. Szczęśliwa. Jest szczęśliwa. Pijana szczęściem.

– Wyślemy mu razem pocztówkę – mówi. – I napiszemy, że za nim tęsknimy. Co ty na to?

Silvia zaciska zęby, nie przestaje się jednak uśmiechać i zaczyna szybko mrugać, bo łzy oblepiają już jej rzęsy. Nie może ich powstrzymać i dwie ciężkie krople spadają na stół i wbijają się w obrus jak gwoździe. Zaczynam szukać ręką pod stołem jej dłoni. Ona ścisza mnie mocno, ale zaraz puszcza.

– Pewnie, mamo – mówi urywanym głosem. – Pewnie.

A wtedy mama zaskakuje nas wszystkich i przystępuje do ofensywy. Najpierw chrząka, a potem, niespiesznie, wstaje, odkłada Shirley na podłogę i idzie do łazienki. Po chwili wraca z małą tablicą korkową w dłoni, do której przyczepione są pocztówki, obchodzi cały stół, staje za krzesłem Silvii i kładzie tablicę na jej talerzyku deserowym. Następnie przytula się do jej pleców, tak jak kiedyś do Emmy, i przykleja policzek do mokrej od łez twarzy Silvii, przyciska ją do piersi i kołysze delikatnie. – Już wystarczy tych pocztówek, córciu. Wystarczy – szepcze jej do

ucha.

Razem zaczynają się kołysać, a wtedy zegar na placu wybija czwartą trzydzieści. Kiedy dźwięk jego uderzeń milknie i staje się wspomnieniem, w salonie zapada cisza. Max po chwili przeciąga się na moich stopach, a Olga zwraca się do Emmy.

– Na nas już chyba pora, prawda, kochanie? – pyta z miękkością, jakiej nigdy dotąd nie słyszałem w jej głosie.

Wujek Eduardo, u szczytu stołu, potakuje wolno głową, chociaż jego spojrzenie jest czujne, jakby przytakiwał w odpowiedzi na pytanie, które tylko on usłyszał. Mama z Silvią nadal siedzą przytulone, skupione na sobie, nie zwracając uwagi na resztę. Już się nie kołyszą, tylko oddychają w tym samym miarowym tempie i patrzą przed siebie. Mama się uśmiecha, a Silvia, w jej ramionach, wygląda na odprężoną. Na jej czole połyskują kropelki potu.

– Petera już nie ma, prawda, córciu? – pyta mama.

Silvia nie odpowiada od razu. Kołysze się znowu, bezpieczna w ramionach mamy, a potem odwraca się do niej.

– Nie – mówi zdławionym głosem.

Mama potakuje.

– Aha.

Milkną. Mama znowu ją obejmuje i trwają tak, oddychając równo, jakby czas się zatrzymał, a oprócz nich w salonie nie było nikogo. Pierwsza odzywa się mama:

– Zdejmę te pocztówki z tablicy, dobrze, córciu?

Silvia milczy, ale się nie rusza. Mama widzi to i wyciąga rękę po pierwszą kartkę, ale wtedy wujek Eduardo podnosi wzrok i kładzie rękę na karku Silvii.

– Nie – mówi.

Mama nieruchomieje, a Silvia odwraca się do niego z pytającym wyrazem twarzy.

– Sama musisz je zdjąć – oznajmia wujek, patrząc Silvii w oczy. Ona kręci przecząco głową. – Tak – nalega. Mama cofa rękę i znowu przytula Silvię do siebie, a ta kuli się w jej ramionach. – Wiesz dlaczego? – pyta wujek, który dalej się w nią wpatruje.

Silvia znowu kręci głową.

– Nie – mruży pod nosem.

– Bo w ten sposób będziemy mogli zrobić to razem – mówi wujek Eduardo i uśmiecha się delikatnie. – Jak kiedyś, przed... tym wszystkim. – Przerywa na moment, po czym dodaje: – A w tym czasie coś ci powiem.

Silvia się nie rusza.

– Co ty na to?

Cisza.

Wujek Eduardo bierze dłoń Silvii i pociąga ją w stronę tablicy. Silvia na początku się opiera, ale w końcu dosięga pierwszej kartki. Zaciska palce na pinezce. Powoli, bardzo powoli jej palce wyciągają ją z pocztówki, a wujek Eduardo mówi:

– Opowiem ci, jak lubię siedzieć tutaj, przy tym stole, i myśleć, że jest jeszcze na świecie ktoś, kto pomimo upływu lat wciąż na mnie czeka. To pozwala mi znaleźć w sobie wielką siłę i iść naprzód, bo bycie sierotą dało mi się, od śmierci dziadków, we znaki i chyba już jest za późno, żebym się czegokolwiek nauczył.

Dłoń Silvii, którą steruje wujek Eduardo, kładzie pocztówkę na obrusie, przed mamą. Potem znowu kieruje się w stronę tablicy, powoli, odruchowo, jak ręka robota.

– Opowiem ci, jak lubię słyszeć wasz śmiech i doprowadzać was do śmiechu – mówi, przy czym odrywa wzrok od Silvii i spogląda na resztę. – Gdybym miał córkę, byłaby tobą. Nie taka jak ty, tylko byłaby tobą. Upartą, impulsywną, wytrwałą... i zagubioną, czasem do mnie

podobną, a czasem ode mnie różną... Opowiem ci również, że chciałbym być dla ciebie kimś ważnym, kimś wielkim, kimś silnym, bliskim, kto nie będzie ciągle zostawiał cię samej... I że żałuję, że cię zawiodłem.

Dłoń Silvii kierowana jego ręką odczepia drugą pocztówkę i kładzie ją na pierwszej; Silvia nie stawia już teraz oporu, przełyka ślinę. Wujek Eduardo cofa rękę, a dłoń Silvii sama zmierza w kierunku tablicy. Wujek mówi dalej, nie odrywając od niej oczu.

– Opowiem ci, że Sindy wcale nie istnieje. – Dłoń Silvii zatrzymuje się w powietrzu, ale tylko na chwilę. – Nie, nie istnieje. Wymyśliłem ją dzisiaj w samolocie, żeby nie przyjechać tutaj z pustymi rękoma i żeby udawać coś, czego nie ma i pewnie nigdy nie będzie. – Urywa na chwilę i oddycha głęboko. – Z jednej strony chciałbym, żeby istniała, a z drugiej cieszę się, że nie istnieje, bo tylko w ten sposób będę mógł dalej ją wymyślać, nie obawiając się, że zaboli zbyt mocno.

Silvia wpatruje się ze skupieniem w tablicę. Zdejmuje pocztówki, jedna po drugiej, powolnym i jednostajnym ruchem, jak dziewczynka bawiąca się kartami, i słucha słów wujka.

– Opowiem ci, że jesteś zła na życie i że masz ku temu powody. Ja na twoim miejscu na pewno też bym się gniewał, ale mylisz się, jeżeli uważasz, że bezruch jest lepszy. Nie, stanie w miejscu to nie jest życie, powinnaś o tym wiedzieć.

Silvia na chwilę zamiera. Wypuszcza powietrze nosem, a wujek ciągnie:

– A na końcu opowiem ci, że jestem samotny i że czuję się samotny. I że od kiedy nie ma waszego taty i możemy spędzać sylwestra razem, przyjeżdżam tutaj zawsze z nadzieją, że poprosicie mnie, bym został, bo sam wstydzę się zapytać wprost, czy za mną tęsknicie. Boję się odpowiedzi. – Spuszcza wzrok i próbuje się uśmiechnąć. – Jestem starym głupcem, wiem o tym.

Silvia zdejmuje ostatnie pocztówki, a ramiona mamy, która schowała twarz w jej włosach, zroszone są łzami. Wujek Eduardo dalej mówi o sobie, o tym, czego nigdy nie powiedział, i o tym, co chciałby powiedzieć, aż w końcu Silvia odczepia ostatnią pinezkę i ostatnią pocztówkę. Nieruchomieje przed pustą tablicą i czeka, aż wujek skończy mówić.

– Jest pusta – oświadcza.

Wujek się uśmiecha. Teraz tak.

– Grzeczna dziewczynka.

Silvia przytakuje bez słów.

– Trzeba będzie zapłacić ją na nowo – mówi wujek.

Cisza.

– Pocztówkami, oczywiście.

Cisza.

– A pierwsza mogłaby być z Lizbony...

Silvia odwraca się do niego, ale nie widzę jej miny, bo siedzi teraz do mnie plecami. Wujek ma za to wypisaną na twarzy dziecięcą radość.

– Co ty na to?

Patrzą na siebie w milczeniu, aż w końcu on przechyla lekko głowę i wygładza ręką serwetkę.

– To tylko taki pomysł – mówi i czerwieni się lekko. – Nie słuchaj moich bredni.

Silvia się uśmiecha. Z mojego miejsca widzę jedynie połowę jej uśmiechu. Jest podobny do uśmiechu mamy, ale zalany teraz łzami i smarkami. Wyciąga rękę i kładzie ją na ramieniu wujka.

– No pewnie – mówi. – To jest bardzo dobry pomysł.

Wujek przełyka ślinę i spuszcza wzrok.

– Musiałbym tylko trochę posprzątać dom przed twoim przyjazdem – mówi, ale nie

patrzy na nią, jak małe dziecko.

Silvia zaczyna się śmiać. On do niej dołącza.

– Tak, wujku, lepiej go posprzątaj.

Milkną potem obydwójce i podczas gdy mama przytula się do Silvii, z drugiej strony stołu, obok Krzesła Nieobecności, Emma gładzi z roztargnieniem ramię Olgi. Na placu rozlega się syrena policyjna. Max u moich stóp wzdycha przez sen, a jego westchnienie rozchodzi się po całym salonie niczym maleńka fala.

– Na nas już czas – mówi Olga i chrząka, spoglądając na zegarek i Emmę. – Już późno, a mamy daleko do domu. Nie wiadomo, co nas dzisiaj czeka na drodze – dodaje i odwraca się do mamy.

Mama przytakuje, prostuje się powoli z lekkim sapnięciem i odsuwa od Silvii, która trzyma teraz dłoń na ręce wujka i nie zwraca na nas uwagi. Kładzie jej ręce na ramiona, a potem odwraca się do okna. Niebo dalej jest ciemne, choć już nie czarne. Dostrzec można na nim od strony morza nikłe światło porannej zorzy.

– Dzisiaj zobaczymy świt – mówi mama, nie odrywając wzroku od okna. A potem, jakby rozmawiała z kimś po drugiej stronie szyby, z kimś, kogo tylko ona widzi, potakuje głową, uśmiecha się przelotnie i dodaje: – Tak, dzisiaj zobaczymy świt.

Księga czwarta
Fioletowe poranki

Wszystko ma w życiu sens, a każde zakończenie jest zarazem nowym początkiem. Tyle że w danej chwili o tym nie wiemy.

Mitch Albom

Jeden

Jest już po szóstej. Wujek Eduardo i Silvia wyszli ostatni, jakieś dziesięć minut po odjeździe Olgi i Emmy, gdyż taksówka, którą zamówili, długo nie przyjeżdżała. Sprzątnęliśmy z mamą ze stołu, włożyliśmy naczynia do zmywarki i kiedy już myślałem, że pójdziemy spać, ona otworzyła szafkę pod zlewem i zaczęła czegoś w niej szukać, mruczając pod nosem, aż w końcu wyjęła puszkę ciastek.

– Ciasteczko? – zapytała, kiedy podawała mi metalową puszkę z miną psotnej dziewczynki. Były to ciastka w belgijskiej czekoladzie, które czasami kupuje w dziale *gourmet*, w El Corte Inglés, i ukrywa je potem, jakby były sztabką złota, wśród środków czystości.

– Mamo, dostaniesz niestrawności, jak nie przestaniesz jeść – skarciłem ją. – Jesz czekoladę od północy, bez przerwy.

– Nieprawda – odpowiedziała, mocując się z opakowaniem. A potem dodała: – To tylko raz w roku.

Usiedliśmy na stole z otwartą puszką ciastek między nami. Ona naląła sobie coca-colę, a ja mleko.

– Ach – westchnęła, napiła się i odstawiła szklankę na obrus. – Dobrze, co?

Popatrzyliśmy na siebie. Chciałem zapytać ją, co dokładnie miała na myśli, gdy mówiła to swoje „dobrze, co?”, ale mnie uprzedziła.

– Dobrze, że w końcu wszystko wyszło na jaw... – oznajmiła, gestykułując energicznie.

Roześmiałem się. Pomimo pory, zmęczenia i mamy roześmiałem się. Ona nie.

– Co za przyjemne rozpoczęcie roku – powiedziała i włożyła sobie ciastko do ust. Potem wyciągnęła jeden z kwadratów patchworkowego koca, który dla mnie wyszywała, i zabrała się do pracy, przyklejając sobie włóczkę do twarzy. – Dziewczynki w ciąży, Edu nie żeni się z Toninem, czy jak tam się ten włoszczak nazywał, bo wiesz, nie chciałam się upierać, ale wcale nie uwierzyłam, że Tonino była dziewczyną... – Westchnęła i popatrzyła na mnie znad igieł. Uśmiechnęła się i ukazała przy tym czarne od czekolady zęby. – A Silvia... ach, jak to dobrze! Bez tych wszystkich podróży i tej pracy, a zwłaszcza bez... Petera – dodaje ciszej. Nagle wyciąga szyję, otwiera szeroko oczy i zaczyna mrugać, jakby o czymś sobie przypominała. – Zobaczymy, czy przy okazji przejdzie jej jeszcze to znerwicowanie i znajdzie sobie w końcu jakiegoś normalnego narzeczonego, jak ten wcześniejszy. Pamiętasz Sergia? Tak, to był fajny chłopak. Nawet twój ojciec go lubił, zupełnie nie wiem, jak to... a zresztą już nic nie mówię. Chociaż z drugiej strony, jeżeli podobał się twojemu ojcu, to może jednak coś było z nim nie tak, co?

Wzięła kolejne ciastko. Nie chciało jej się spać, a kiedy mamie nie chce się spać, szuka towarzystwa. Zaczyna mówić i mówić, próbuje zatrzymać cię przy sobie tą niekończącą się pogawędką, jakby miała w ręku grzechotkę i chciała cię nią uspić. Znowu przykleiła sobie włóczkę do twarzy, a ja poczułem ukłucie w sercu na myśl o tym, jak niszczy sobie wzrok.

– Mamo, na dzisiaj chyba już wystarczy – powiedziałem i wziąłem igły, które trzymała w ręku. – To nie ma sensu. Jeżeli tak ci się ten koc podoba, to możemy go kupić w sklepie.

Popatrzyła na mnie znad robótki z przymrużonymi oczami i zniecierpliwioną miną.

– Nie ma mowy – odrzekła stanowczo. – Chcę go skończyć. Nawet jeżeli zajmie mi to rok.

– Po prostu nie rozumiem, co cię nagle naszło z tym szydełkowaniem – powiedziałem, nie wypuszczając igieł z dłoni. – Ja tego koca nie potrzebuję, a ty tylko marnujesz sobie wzrok.

Zmarszczyła usta.

– Lepiej marnować go na prezencie dla ciebie niż na czymkolwiek innym – stwierdziła obrażonym tonem i uśmiechnęła się smutno. Nie wiedziałem, co powiedzieć. Wyjęła mi igły z dłoni i przez kilka sekund szyla w milczeniu. Potem stwierdziła: – Kiedy mnie już nie będzie, zostanie ci przynajmniej ten koc. Będiesz się nim przykrywał zimą, w czasie drzemki, a ja będę szczęśliwa, bo to jakbym dawała ci te wszystkie uściski, których tak ci potrzeba i na które nigdy mi nie pozwalasz.

Milczałem. Pomimo pozornego roztargnienia mama zawsze potrafiła celnie strzelać i to, co właśnie powiedziała, brzmiało jak ostateczne ostrzeżenie dla żeglarzy maruderów na morzu, którego ja wołałem sobie nawet nie tłumaczyć. Siedzieliśmy przez chwilę w ciszy, a kiedy na nowo wzięła się za szycie, zeskoczyłem na podłogę.

– Idę spać – powiedziałem. – Jestem wykończony.

Spojrzała na mnie ze zdziwieniem.

– Spać...?

– Tak.

– A co z psami...?

Popatrzyłem na Maxa i Shirley śpiące na kanapie – Shirley na plecach, z podkulonymi łapami, a Max z głową zwisającą z poduszki, aż do podłogi.

– Co z nimi?

– Musimy je wyprowadzić.

– Mamo, jest szósta rano.

– No właśnie – powiedziała i odłożyła robótkę. – Nie wychodziły od ponad dziesięciu godzin, nie możemy iść teraz spać, bo niedługo będziemy musieli wstać, żeby je wyprowadzić.

Miała rację. Pomimo senności, lenistwa i niechęci musiałem przyznać, że miała rację.

– No dobrze, to wyprowadźmy je teraz i przejdźmy się po placu, ale tak raz-dwa.

Wstała, zjadła ostatecznie ciastko w czekoladzie i zamknęła puszkę.

Chwilę później wyszliśmy przez szklane drzwi klatki schodowej na plac. Niebo przystrajał białawy welon rozpraszający nieśmiało panujący wokół mrok. Mama wzięła mnie pod rękę, a Shirley i Max człapały obok nas w otępieniu.

Było to przed kilkoma minutami. Przeszliśmy cały plac i teraz jesteśmy po drugiej stronie, obok kiosku i przystanku autobusowego. Spacerujemy w ciszy. Wieje delikatny poranny wietrzyk, który czuć zwłaszcza w tej części placu, gdzie nie ma tylu budynków, przepłatający ciepłe i zimne powietrze jak warkocze. Noc już się skończyła, ale jeszcze nie nastał dzień.

– Nie wiem, dlaczego w naszej rodzinie nikt nigdy niczego sobie nie mówi – oświadcza nagle mama, jakby nosiła się z tym od dłuższego czasu. – A tyle się dzieje...

Nie odpowiadam.

– Przecież czasem trzeba się komuś zwierzyć – ciągnie temat. – Sam widziałeś, że dzisiaj wszyscy wyszli zadowoleni.

Spacerujemy w ciszy.

– Nic nie sprawia człowiekowi takiej ulgi jak wyrzucenie z siebie niektórych rzeczy.

Czasem nam się wydaje, że świat wali nam się na głowę, ale potem okazuje się, że wcale nie jest tak źle – wymachuje ręką w powietrzu. – Że nie taki diabeł straszny.

Zatrzymuję się i odwracam do niej.

– Mamo, chcesz mi coś powiedzieć...?

Odwzajemnia moje spojrzenie z miną niewiniątka.

– Ja? – pyta z palcem wskazującym wymierzonym we własną pierś.

– Tak, ty.

Nie wiem, po co pytam. Znam przecież mamę i znam też z góry jej odpowiedź, ale nie

wiem, czy mam na nią ochotę. Kiedy docieramy do trawnika, kilka metrów dalej, mówi:

– Może to ty chcesz mi coś powiedzieć. – Odwracam się do niej i widzę, że świdruje mnie spojrzeniem, z przechyloną głową i miną zaniepokojonej matki, którą mnie peszy. – Nie? – pyta z udawaną niewinnością i siada na ławce. Potem ciągnie mnie za rękę, każe mi usiąść obok siebie i spuszcza ze smyczy Shirley, która od razu kieruje się w stronę trawnika i zadowolona zaczyna biegać po nim w tę i z powrotem. Ja spuszczam Maxa, a sam, w milczeniu, siadam obok mamy na zimnej ławce. Cisza na placu aż dzwoni w uszach, a niebo od strony morza dalej się rozjaśnia, farbując ciemność coraz jaśniejszymi odcieniami przypominającymi cienie. Upływają minuty, nowy rok zadomawia się u nas na dobre, a ja czuję, że mama chce wiedzieć – że długo na to czekała i że po tych kilku miesiącach spędzonych razem, po tej nocy i tych wszystkich ostatnich latach jestem jej winny wyjaśnienie. Muszę jej zaufać, wtajemniczyć ją we wszystko.

I chociaż wiele mnie to kosztuje, wiem, że jestem w dobrych rękach i w znakomitym towarzystwie. Siedzimy dalej w milczeniu, patrzymy na Maxa i Shirley snujące się po trawniku i oboje czekamy, aż odważę się odezwać.

– Wpadłem na tatę – mówię w końcu. Mama patrzy nieruchomo przed siebie. – Spotkałem go tego samego dnia, w którym się do ciebie przeprowadziłem. W kawiarni przy plaży.

Mama wypuszcza powietrze ustami, a potem mówi:

– Aha. – Jej „aha” brzmi jak małe zadrapanie, delikatne uderzenie. Potem znowu pogrążamy się w milczeniu. W końcu zadaje to pytanie na wpół zaciekawionym, na wpół zmartwionym tonem; pytanie Amalii o dwóch obliczach: jej oblicze B (to doroślejsze) boi się odpowiedzi, ale jej oblicze A (dziewczynki, która spiskuje po kryjomu ze swoją przyjaciółką Ingrid) chce wiedzieć. Zadaje proste pytanie, którego od początku się spodziewałem: – I co?

Dwa

Wszystko.

Opowiadam jej wszystko, a noc dalej zwija powoli swoje ciemne płótno i ustępuje miejsca jasności poranka. Psy kładą się na trawniku i wsłuchują się w odgłosy budzącego się dnia. Mówię jej o mojej nieprzespanej nocy po weekendzie spędzonym u Emmy i Olgi, o gasnących słowach neonowej reklamy, która przez te wszystkie lata przeżyte w kawalerce służyła mi za drogowskaz, o lustrze w kawiarni, o odbijających się w nim oczach taty, o kelnerze, o wspomnieniach o babci, o jej notatniku, o fioletowych kartkach, o moich „dlaczego?”. O wszystkich szczegółach tamtego poranka. Mama wodzi niewidzącym wzrokiem po placu i słucha mnie z uwagą. Kiedy dochodzę do momentu opowieści, w którym wstaję z taboretu i kieruję się w stronę stolika przy oknie z małą kartką w dłoni, milknę.

Mama po chwili odwraca do mnie głowę i mrużąc oczy, oślepiona światłem stojącej za mną latarni, pyta:

– A co się stało później?

Mija kilka sekund i jakiś samochód zatrzymuje się na żółtym świetle, niedaleko nas.

– Nic – odpowiadam, patrząc na odjeżdżający pojazd. – Nic się potem nie stało.

Wpatruje się we mnie nieprzerwanie, ale nic nie mówi. Musiała jednak coś w moim głosie usłyszeć, bo kładzie mi dłoń na ramieniu i czeka w bezruchu na dalszy ciąg. Ścisza mi palcami ramię, a potem opiera na nim głowę, czym zachęca mnie, bym dokończył opowieść.

Mówię więc dalej, zwierzam jej się tego ciepłego noworocznego poranka i wspominam, jak przy stoliku taty nie było nikogo. Bo to właśnie się stało: taty już nie było. Na stole leżała jego gazeta, obok niej znajdowały się resztki kanapki i pusta filiżanka, ale jego już nie było. Znieruchomiałem z kartką w dłoni, zwrócony plecami do lady i nie odrywałem wzroku od stolika, przy którym siedział, dopóki za oknem, po drugiej stronie szyby, ktoś stojący na chodniku nie podniósł ręki i nie zatrzymał taksówki. Tata nawet się nie odwrócił. Otworzył drzwi, wsiadł czym prędzej i zamknął je za sobą. Samochód ruszył.

I tyle.

To, co się stało potem, zachowało się w pliku moich najświeższych wspomnień jako „późniejsze wydarzenia”. Zatrzaśnięte drzwi taksówki były początkiem sekwencji, która w mojej pamięci ułożyła się w następujący obraz: wyszedłem z kawiarni, ale nie wróciłem do domu. Poszedłem na spacer po plaży, podczas którego bezskutecznie próbowałem uporządkować myśli. Czuję tak wielką pustkę w środku, że miałem ochotę zwymiotować. I żal. Byłem rozżalony. Bolało mnie wiele rzeczy, które zdawały się istnieć tylko po to, by sprawiać ból. Myślałem o babci, o Andresie i o mamie i winiłem samego siebie za to, że znowu czekałem na coś, na co nie powinienem czekać. Znowu. Nagle poczułem palący wstyd i sam sobie zacząłem wydawać się śmieszny, z tą moją listą pytań w kawiarni – jak wtedy, gdy byłem dzieckiem i któregoś roku, kilka tygodni przed świętami Bożego Narodzenia, Emma, Silvia i ja siedzieliśmy w salonie i pisaliśmy listy do Świętego Mikołaja, chociaż tata nie omieszkał oznajmić nam wcześniej, że to on zawsze kupował prezenty, a mama je rozdawała. Ponownie ujrzałem siebie, z kartką papieru w dłoni, i pomyślałem, że jestem głupcem, łudząc się, że ludzie się zmieniają. Jak mama, jak babcia. Jak Emma. Jak wszyscy, którzy nie są tatą.

Po spacerze wróciłem do mieszkania i zaparzyłem sobie herbatę. Max przywitał się ze mną, a potem wyszedł na taras i położył się w cieniu. Usiadłem obok niego z filiżanką w dłoni. Z sąsiedniego balkonu dobiegał nas dźwięk młotka uderzającego w jakąś metalową konstrukcję, a wilgotność letniego powietrza powoli stawała się nie do wytrzymania.

Max położył łeb na moich kolanach, pokazał mi zęby w uśmiechu i nagle, czując jego zaufanie, przywiązanie i bezbronność, wydałem się sobie maleńki, jakby wszystko mnie przerastało, jakbym właśnie zdał sobie sprawę, że jestem samotny i że życie z podniesioną gardą nie zawsze wychodzi na dobre. Zakręciło mi się w głowie, kiedy przypomniałem sobie pusty stolik w kawiarni i tatę wsiadającego pośpiesznie do taksówki, uciekającego ode mnie, jakbym był jego wrogiem, a nie synem.

W tym momencie przypomniało mi się pytanie Emmy, a jej spokojny głos odbił się echem w mojej głowie. „Jak długo jeszcze zamierzasz mieszkać w latarni?”. Od razu pojawiła się również odpowiedź na to pytanie. Nasze wspólne zdanie.

– Nie można odnaleźć spokoju, unikając życia, Leonardzie – powiedziałem na głos i popatrzyłem na Maxa, a on odsapnął z zadowoleniem i przeciągnął się, wyciągając łapy. Ja również odetchnąłem głęboko i usłyszałem swoje własne słowa: – Nie wiem, jak mam przestać unikać życia. Wiem tylko, że potrzebuję kogoś, kto by mi pomógł, kto by mnie nauczył, bo inaczej...

Nie dokończyłem zdania. Znowu rozległy się uderzenia młotkiem, a Max na ich dźwięk skoczył na równe nogi. Położyłem filiżankę na podłodze i wstałem, by zobaczyć, co się dzieje.

Po drugiej stronie ulicy trzech robotników uwijało się przy neonowej reklamie na dachu budynku. Musieli pracować już od kilku godzin, bo zdążyli zdjąć prawie wszystkie litery, a to, co z nich zostało, przypominało wielkie, metalowe i bezzębne usta z ogromną ilością dziur. Robotnicy palili na siedząco i żartowali. Kiedy zobaczyłem pięć liter, których jeszcze nie rozmontowali, poczułem skurcz w żołądku.

MA TK A

To wszystko, co zostało na dachu: dwie koślawe sylaby, jak gaworzenie dziecka. Zacząłem powtarzać to „mat-ka”, a potem wrzuciłem laptopa i kilka najpotrzebniejszych rzeczy do torby podróżnej i wyszedłem z Maxem na ulicę.

Szliśmy do domu mamy prawie dwie i pół godziny.

*

– Resztę już znasz.

Nie patrzy na mnie; dalej delikatnie opiera głowę na moim ramieniu. Niebo przecinają od wschodu coraz wyraźniejsze różowe pasy.

– Ach, Fernandzie – mówi tylko. A potem, wzdychając ciężko, powtarza prawie szeptem: – Ach, Fernandzie.

Zasycha mi w gardle. Ponad nami smuga samolotu przecina niebo, a ja przypominam sobie wtedy babcię, jej notatnik z kolorowymi kartkami i jej dobronny uśmiech, i zaczynam tęsknić za nią tak mocno, że muszę kilka razy przełknąć ślinę, żeby głos mi się nie załamał.

– Wiesz, co by teraz powiedziała babcia? – pyta mama, jakby odgadła moje myśli, po czym odsuwa się ode mnie i prostuje plecy.

Kręcę przecząco głową.

– Nie.

Nie odpowiada od razu. Kiedy już mi się zdaje, że wcale tego nie robi, mówi czystym głosem:

– Powiedziałaaby, że twój ojciec wyświadczył ci przysługę. Po raz pierwszy w życiu. – Nie wiem dlaczego, ale nie podoba mi się ten komentarz. I nie wiem dlaczego, ale przeczuwałem, że powie coś takiego. Bolą mnie jej słowa, niemal fizycznie, ale kiedy głębiej się nad tym zastanawiam, dochodzę do wniosku, że pewnie ma rację. – Wyświadczył ci przysługę, znikając w ten sposób – dodaje mama – bo teraz nie zostaje ci już żadna wymówka.

Odwracam się, żeby na nią popatrzeć.

– Wymówka? Jaka wymówka?

Spuszcza wzrok i pociera sobie rękę. Ciemność nocy stopniowo ustępuje miejsca światłu poranka, a wszystko wokół nas nabiera coraz wyraźniejszych kształtów.

– Żeby dalej ukrywać się przed życiem, kochanie – mówi. – Właśnie po to.

– Mamo, ja wcale nie ukrywam się przed życiem – odpowiadam bez namysłu.

– Ukrywasz się, Fernandzie – mówi z lekkim uśmiechem, który tak dobrze znam. –

Ukrywasz się, bo tak bardzo się boisz, że życie znowu sprawi ci ból, że wolisz nie przeżyć go wcale. – Uprzedza moją odpowiedź: – I wiem, synku, o czym mówię.

Milczę.

– Ale wiesz co? – nalega i kładzie mi pojednawczo rękę na udzie.

– Nie.

– Wykazałeś się wielką odwagą. – Patrzę na nią, a ona kiwa głową. – A odejście twojego ojca nie ma tak naprawdę żadnego znaczenia.

– Ach tak?

– Tak – mówi i kiwa wolno głową. – Ważne, że odważyłeś się zapytać. Że chciałeś wiedzieć. Nie wszyscy są do tego zdolni. – Milczymy przez chwilę; z sąsiedniej ulicy dobiega nas odgłos śmieciarki. To miasto nigdy nie odpoczywa. – Ja tego nie zrobiłam – oznajmia i spuszcza głowę. – Przeżyłam prawie pięćdziesiąt lat, obawiając się pewnych pytań.

Przełykam ślinę i chcę ją objąć, ale ona odsuwa się delikatnie, szuka wzrokiem Shirley i mruży oczy. Dostrzega ją przy płocie, a potem mówi:

– Nie chcę cię takim widzieć.

„Oj”.

Siedzę dalej na ławce, zaalarmowany, i nagle czuję napięcie w plecach. „Nie chcę słyszeć ani słowa więcej”, zamierzam jej powiedzieć. „Chcę, żebyśmy wrócili do domu, położyli się do łóżek i obejrzeni przed snem *Wiadomości*. I niech nic się nie zmienia. Potrzebuję czasu. Więcej czasu”.

„Nie chcę cię takim widzieć”, powiedziała mama.

– Jakim?

Wzrusza ramionami i mówi:

– Takim. Bez własnego życia. Szukającym schronienia u mnie w domu i czekającym, aż wydarzy się coś, co to zmieni – zaczyna nabierać rozpędu. Potem kręci przecząco głowę, ze zmartwieniem, może nawet ze złością. – Ale nawet jeżeli zmiany nadejdą, a ty ich nie zauważysz i nie wyciągniesz po nie ręki, to nigdy nie poznasz prawdy. Nigdy nic się w twoim życiu nie wydarzy. Nigdy.

Czuję w ustach gorycz. Nie podoba mi się to, nie mam ochoty tego słuchać. Nie mam ochoty słuchać tego z ust mamy. Już mam się podnieść i zakończyć tę rozmowę, kiedy ona po raz kolejny bierze mnie na celownik.

– Twój ojciec nie jest jedynym mężczyzną na świecie, kochanie – mówi, nie czekając na moją odpowiedź. – Tak jak ja nie jestem jedyną kobietą. Nikt z nas nie jest całym światem, nawet jeżeli wszyscy jesteśmy wyjątkowi. Można być podobnym, ale nie powtarzalnym. I właśnie o to w życiu chodzi: trzeba szukać ludzi podobnych i unikać powtarzalnych. Reszta przychodzi albo i nie; pojawia się albo i nie; boli albo i nie.

Ścisła mi udo swoimi kościstymi palcami i nagle czuję się przy niej maleńki. Super! w gardle powoli mi się rozluźnia. Zamienia się w wodę i sól.

– Musisz wyjść do ludzi i dać sobie szansę – ciągnie – bo jeżeli dalej będziesz bał się wszystkiego, to pewnego dnia obudzisz się w moim wieku i zaczniesz wspominać tylko to, kim

nigdy nie byłeś. A to jest, synku, bardzo smutne...

Odwracam się do niej i zdławionym głosem, którego nie rozpoznaję wśród głosów ze swojego katalogu lektora, mówię:

– Nie wiem, jak mogłaś wybaczyć tacie.

Kiedy słyszy te słowa, odchyła się lekko do tyłu, żeby zatrzymać uderzenie. Potem patrzy w niebo i się uśmiecha.

– Wybaczyłam swojemu mężowi – mówi, a przy tym zabiera dłoń z mojej nogi i opuszkami palców zaczyna masować sobie skronie, w miejscu, w którym, o czym wiem, ma bliznę po zderzeniu z balkonowymi drzwiami. Tamtego dnia wróciła ze szpitala cała pozszywana. – Waszemu ojcu nie.

Patrzemy przed siebie, na psy biegające po trawniku, które cieszą się, że tym razem nie ma przy nich żadnych innych czworonogów. Dwie osoby przechodzą przez plac i znikają nam z oczu.

– Nie wiem, od czego zacząć, mamo.

Patrzy na mnie, bierze mnie pod rękę i kładzie mi głowę na ramieniu.

– Już zacząłeś, kochanie.

– Tak?

– Tak – kiwa potakująco. – Zszedłeś ze swojej latarni na ziemię i zacząłeś zadawać pytania. Teraz tylko musisz zacząć samemu latać. Nisko czy wysoko, nieważne. Ważne, że samemu. Musisz znowu się potykać, wstawać, próbować szczęścia, a przede wszystkim ufać. Jesteś zbyt młody, żeby się poddać. Zbyt wiele rzeczy by cię ominęło. A ja nie chcę ci w tym pomagać. Nie prosź mnie, synku, o to.

Nagle czuję, jakby mnie od siebie odsuwała i popychała delikatnie do przodu. Daleko. W świat. „Nie chce mnie przy sobie”, myślę w duchu i chociaż staram się tę myśl od siebie odepchnąć, przez kilka sekund odbija się ona w mojej głowie echem i sprawia ból.

– Nie możesz wiecznie u mnie mieszkać, synku – mówi, odgadując moje obawy. – Proszę cię, nie złość się na mnie – dodaje i podnosi dłoń, żebym pozwolił jej skończyć. – Robię to dla ciebie. – Nie odpowiadam. Wiem, że robi to dla mnie, ale i tak czuję się zraniony. Do tego stopnia, że spuszcza głowę, bo nie chcę, żeby widziała moje łzy. – Ale przede wszystkim robię to dla siebie – dodaje i kuli się trochę w sobie. Niebo nad nami ukazuje nam teraz całą paletę swoich barw. Głos mamy jest zduszony. – Bo im dłużej będziesz u mnie mieszkał, im później się ode mnie wyprowadzisz, tym więcej sprawi mi to potem bólu. A ból będzie wtedy tak wielki, że nawet nie chcę go sobie wyobrażać. Więc zrób to i zrób to szybko, bo później zacznę za tobą tęsknić i chyba oszaleję z żalu. A to mnie przeraża – mówi, kładąc mi rękę na głowie i głaszcząc powoli po włosach. Ja oddycham teraz wodą i widzę, jak łzy uderzają o płytę chodnikową między moimi nogami.

Siedzimy tak przez kilka minut – ona głaszcze mnie po głowie, a ja tęsknię już za nią i nie wiem, jak wyrzucić z siebie wszystko, czego do tej pory jej nie powiedziałem. Chciałbym jej podziękować, ale jestem pewien, że nigdy nie znajdę właściwych słów, żeby wyrazić wdzięczność za to, że zawsze byłem dla niej wyjątkowy. Chciałbym jej powiedzieć, że jeżeli tego nie robię, to tylko dlatego, że nie znajduję odpowiedniego tonu i nie mam pojęcia, jak się go nauczyć. I że mieliśmy wielkie szczęście, że odnaleźliśmy się na nowo.

– Babcia zawsze wspominała coś o fioletowych porankach – odzywa się niepewnym głosem, nie przestając gładzić mnie po włosach.

Pociągam kilka razy nosem, wycieram sobie palcami oczy i mówię:

– „Szary księżyc i krzyżujące się wiatry zwiastują fioletowy świt”.

Przytakuję.

– Tak, ale potem mówiła coś jeszcze. Pamiętasz?

Widzę, że wpatruje się w niebo, uśmiecha się, a od jej mokrych policzków odbija się światło. Ponad nami fioletowe, różowe i błękitne wstęgi żegnają odchodzącą noc.

– Tak – mówię. – „Nie ma fioletowych świtów bez oczu, w których mogłyby się odbić, ani długich szlaków bez nóg, które mogłyby je pokonać”.

Mama się uśmiecha.

– Właśnie – mówi, kładąc mi rękę na plecach. – Przed tobą jeszcze długa droga do przebycia, synku. A ja chciałabym to zobaczyć – ciągnie zmęczonym głosem, po czym podpira się drugą ręką i wstaje z ławki. – Idziemy? – pyta i chroni ręką oczy.

Kroczymy objęci przez plac. Max i Shirley, spokojne i ufne, biegną obok nas, a na sąsiedniej ulicy słychać odgłosy pierwszych samochodów.

Kiedy dochodzimy do wyschniętej fontanny, mama nagle się zatrzymuje, patrzy w niebo i z radością dziecka oznajmia:

– Moglibyśmy zjeść na śniadanie croissanty z gorącą czekoladą. Co ty na to?

Uśmiech mamy jest lekki, tak jak jej ręka na mojej talii, a niebo barwi jej oczy na fioletowo i zostawia w nich ślady nowych świtów. Dostrzegam w źrenicach mamy swój własny portret, spowity chmurami, na które ona nie zwraca uwagi i które przepływają nad naszymi głowami i nad całym miastem rozpoczynającym nowy dzień. Dzisiaj, teraz, tym miastem, które budzi fioletowy świt, jesteśmy tylko ona i ja, na placu. Sami, razem, z naszymi nieobecnościami. Dzisiaj to mamę i mnie budzi fioletowy świt.

– Chętnie, mamo – mówię, głaszczę ją przy tym po nosie i całuję w czoło. – Chętnie.

Wtedy ona kładzie głowę na moim ramieniu i stoimy tak przez chwilę, patrząc na światło torujące sobie drogę od strony morza, jakby ktoś podnosił powoli płachtę oddzielającą nas od dnia błękitnymi i pomarańczowymi odcieniami. Potem idziemy dalej, niespiesznie, każdy w swoim tempie, a obok nas biegną nasze psy.

Idziemy, wsłuchując się w nieśmiały szmer nowego roku.

Do domu.

Podziękowania

Chciałbym podziękować Sandrze Brumie za wszystko, co razem przeżyliśmy; Quiqowi Comynowi za równie wiele; Ofelii Grande za powroty, które zawsze dobrze mi robią; Pilar Aguardzie za radość i zdecydowanie; wszystkim Graniterom/-kom (www.graniteandrainbow.com), upierającym się, by robić wszystko najlepiej jak się da; a przede wszystkim mojej ekipie z Facebooka: jesteście wielcy i tak bardzo pomogliście mi przy pisaniu tej powieści, że większa jej część należy do Was. Nie mógłbym wspomnieć jednych i zostawić innych w cieniu.

A przede wszystkim dziękuję kobietom z mojej rodziny, bo kiedy musiałem nauczyć się żyć na nowo, one jako pierwsze wskazały mi właściwą drogę.

Twitter: @Palomas_Alejand

Facebook: Avenidadeladesazon11

¹ Zgodnie z hiszpańskim zwyczajem w noc sylwestrową, o północy, zjada się dwanaście winogron, które mają symbolizować dwanaście uderzeń zegara. (Wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki).

² Hiszpańska Narodowa Organizacja Niewidomych (*Organización Nacional de Ciegos Españoles*, w skrócie ONCE) – fundacja wspierająca osoby niewidome, pomagająca, między innymi, znaleźć im zatrudnienie. Stworzyła własną loterię o nazwie ONCE, a zdraпки i kupony sprzedają osoby niepełnosprawne wzrokowo.